

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

PROMETEUSZE



INSTYTUT LITERACKI
RZYM

1946

Handwritten text, possibly a title or signature, in a cursive script, located near the top center of the page. The text is faint and difficult to decipher.

PROMETEUSZE

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

PROMETEUSZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603901

—
PRINTED IN ITALY
—



I. 300.461

ESZ 4770161

O. G. I. - VIA CESENA 14 - TELEFONO 717666 - ROMA

1947 2434/18

BRATU MEMU

TADEUSZOWI SZPOTAŃSKIEMU

POŚWIĘCAM

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Ludwik Blanc wstał.

Olbrzymia, hucząca gwarem sala ścichła. Każdy czuł, że patrzy w żywe oczy rewolucji, tej, która we wszechynającym się ruchu mogła obrócić się przeciw wszystkim, z którymi dziś w początku się sprzymierała, przeciw całemu społecznemu ustrojowi. Zebrani republikanie spoglądali niespokojnie na groźnego alianta. Od końca długich stołów podnoszono się i stawano za krzesłami tych, co naprzeciw niego siedzieli. Chwilę milczał, oczekując ogólnego skupienia, błyszczącymi oczami powiódł po sali. I nagle rozległ się głos jego dźwięczny i donośny:

— Władza, która wydawała się niedawno tak potężna, znajduje się w rozkładzie. Jakby jakaś siła niewidzialna leciała górą i siała w jej mózg głupstwo i występki. Nieoczekiwane czyny zwyrodnienia, przejawy idiotyzmu, niewyjaśnione zbrodnie budzą w społeczeństwie zgrozę i trwogę. Niepodobna, aby tak trwało dłużej! Trwać nie będzie! Gdy owoce gniją, lada wiatr strąci je z drzewa!

Krzesławski przedarł się przez ciżbę i stał tuż opodal. Mowa nie miała siły argumentacji, nie rozpięła się na rusztowaniu żelaznej logiki, ale trzęsła jak wichur zebranymi, waliła jak piorunami w monarchię. Wszyscy powoli poddawali się jej sugestii.

Król i ministrowie tracili resztki szacunku, z ramion generałów spadały szlify.

Ludwik Blanc jednym połączeniem gestu, akcentu i wyrazu tworzył arenę i przeprowadzał przez nią, jak psy na smyczy, wszystkich swoich wrogów, reakcjonistów i oportunistów politycznych. Kopał ich, smagał harapem. Czasem wstrzymywał potok słów żrących, przepojonych witriolem, mówił cicho, zwyczajnie, jakby chcąc pokazać, że nie ma nawet po co zadawać sobie trudu dla walki z tym światem zmurszałym. Jego ideały, niby zgniłe grzyby, rozgniatał w garści i otrząsał palce z obrzydzeniem.

I wtem, nieoczekiwanie, połopem głazów ciskał na ten świat — z otwartego nieba.

Był bardzo blady, wycieńczony, oczy tylko gorzały i promieniami swymi zapalały gwiazdy na sali.

Wyciągnął ramiona i zawisł nad zebranymi, jak skrzydlaty duch.

— Gdzie równości nie ma, tam braterstwo jest kłamstwem! Gdzie równości nie ma, tam wolność jest oszustwem! Zasadą władzy demokratycznej jest suwerenność ludu, głosowanie powszechne jej początkiem!

Krzesławski przemówienia by nie streścił i nie powtórzył z niego ani słowa, mimo to był przekonany zupełnie, do głębi duszy, był pewny, że świat, który mu obrzydł, w którym już nic, oprócz nieprawości, obłudy i kłamstwa, nie dostrzegał, pękał w samym środku. Wiadomości, nadchodzące z Włoch, Niemiec i Austrii, mniejsze czyniły na nim wrażenie, niż ta mowa rewolucyjnego maga. Ustępowały pod nią wątpliwości i tworzyła się pewność triumfu. We wstrząśniętym stanie duchowym myśli leciały raźnie, jak płaki ku słońcu. Francja powstaje — to wystarczy. Dopóki ogień błyskał poza nią, dopóty pożar nie mógł się rozniecić. Skończyłoby się wszystko jak w roku trzydziątym pierwszym, upadłoby jak wyprawa sabaudzka, jak wyprawa Zaliwskiego, skończyłoby się jak rozruchy szwajcarskie i niemieckie. Przez

zbyt wiele przeszedł rozczarowań, żeby wierzyć w potęgę lokalnych ruchawek. Od lat siedemnastu, od czasu gdy kraj opuścił, żył życiem emisariusza i rewolucjonisty, znał wszystkie konspiracje europejskie, przewoził druki emigracyjne, przechodził z Zaliwskim granicę Królestwa. Nic i nic. Nic, bo Francji w tym nie było, a bez Francji nic dokonać się nie mogło.

Opuściwszy natłoczoną salę, badawczo spoglął na Paryż. Szedł dzielnicami robotniczymi, ocierając się o ludzi wynędzniałych, przemarzniętych. Nędza biła z każdego kąta. Domiska wąskie, odrapane z tynku, szare, jak żebraki owinięte w dziurawe łachmany, ziały fetorem niezdrowej strawy, wilgoci i ludzkiego zaduchu. Zamyslił się. Niech ta cała bieda zapragnie jednego dnia najeść się, odziać, mieszkać. He! he! he! Nie powinno być nędzy, upokorzenia, głodu — ale dobrze, że jest. No, bo niechby każdy z nich miał tylko poduszkę pod głowę, jedną izbę ogrzaną, jedną parę całych spodni, w niedzielę kurę w garnku, jak chciał ten przemądry Henryk IV, i kilka ludwików oszczędności na książeczkę, jak chce drugi mądrala — Guizot — a z wszelką rewolucją, wszelkim postępem społecznym — amen! Świat zalałby się tłuszczem po same białka, zamieniłby się w złoty chlew. Żołnierzem rewolucji jest nędzarz. Kto chce rewolucji, musi zwalczać nędzę i jednocześnie pragnąć, aby istniała. Taki paradoks! Chrystus chciał inaczej. Chrystus rozstrzygnął wszystko w jednej nauce: „Bądźcie sobie braćmi i miłujcie się nawzajem”. No i przez osiemnaście wieków postępowano akurat tak, jakby powiedział: „Bądźcie sobie wilkami i pożerajcie się nawzajem”.

Przewrotny jest człowiek. Potrafił nazywać się chrześcijaninem, wznosić kościoły, odmawiać modlitwy, powoływać się na Ewangelię, jakby Chrystusa chcąc uspokoić, jakby się obawiając, aby Chrystus po raz drugi nie narobił mu kłopotu i dla jego zbawienia nie zstąpił na ziemię. Gdyby dziś Chrystus

przeszedł się po tych uliczkach, zajął w te zatęchłe nory i wnętrza fabryk, zobaczył ten cały wyzysk, ucisk i niewolę, a w kościołach przed swymi ołtarzami usłyszał modły wielkich tego świata, do siebie wznoszone — coby rzekł? Jego, Jego postawili na straży tego swojego ustroju! Niechże to wszystko diabli wezmą! I wezmą! Wezmą, gdy ci wszyscy nędzarze w całej Europie krzykną pospołu: „Chcemy jeść!” Byle razem, byle pospołu.

Przymknął oczy i przystanął przez chwilę, biorąc mroźne powietrze w piersi. Przypomniał sobie, jak w noc sierpniową w Warszawie Boski prowadził rozwścieczony tłum z okrzykiem: „Na latarnię psubratów!” Co stało się z tym drabem? Dzielna była bestia! Tu, w Paryżu, by'oby nierównie lepiej. Dowiedzieliby się łgarze, czym jest prawda. Bo w rewolucji jest prawda, bo rewolucja zastępuje dziś Chrystusa. Nędzarcz krzyż zamienił w miecz — prawdę boską zamienił w ludzką.

Nagle, znienacka, obrazy wąskich ulic paryskich, najeżone barykadami, place, zalane gwałtującym tłumem, ustąpiły przed jednym obrazem, przenikającym promieniami całą jego istotę. I w tejże chwili przyszło nań ukojenie, jakiego doznaje człowiek, gdy znajdzie się w ogrodzie pełnym róż, gdy w zapach kwiatów wsiąka pożerająca go męka i myśli z rozpalonego mózgu wyciągają skrzydła pod rosę. Spojrzał na zegarek. Nie mógł już iść do Czerlińskich, czekał na niego Mickiewicz. W ostatnim czasie, mimo różnego stosunku do Towiańskiego, zbliżyli się do siebie. Mickiewicz jakby szukał poza wyznawcami mistrza ludzi innych, ludzi bezpośredniego czynu, zupełnie nie zwracając uwagi na ich poglądy metafizyczne. Płonął od bijących ogni i był bratem tych, którzy płonęli.

Gdy Krzesławski wszedł, Mickiewicz odwrócony na pół od biurka, na którym paliła się lampa, przysłonięta zielonym abażurem, słuchał opowiadania młodego człowieka, siedzącego naprzeciw. Głębokie cie-

nie zaścielały pokój, gęstniały czarno w kątach, kładły się na meblach wytartych, na półkach z książkami. Kilka sztychów i portretów na ścianie, nie dających rozpoznać się w mroku, i popiersie Napoleona na biurku. Wyglądał starzej nad wiek, bujne, zarzucone w tył włosy szczerze przesiane były srebrzystą siwizną, brzozy przecinały czoło, zmarszczki występowały na skroniach i koło oczu. Lat dodawał mu i ubiór: surdut obwisły, chustka niedbale zawiązana. Podniósł się z krzesła, i od razu cała ta twarz poraźna, oczy głęboko osadzone, szare, przedziwnie mądre a marzące, ufne a przenikliwe, trysnęły życiem tak gorącym, że cały ten ciemny, z wygasłym kominkiem, pokój ożył i wycieplał.

— Bohdan Dziekański! Przybył z kraju, słuchaj, co on mówi — no, słuchaj!

Ból i rozpacz pasowały się w nim z buntem i gniewem.

— Słuchaj! — powtórzył.

Ale Dziekański stropił się i stracił słowo. Był to wysoki, smukły, dwudziestokilkoletni mężczyzna, jasny szatyn o oczach jak u dziecka. Krzesławski przy pierwszym podaniu ręki powziął do niego zaufanie.

— Niechże pan mówi — rzekł.

— Kiedy ja już powiedziałem wszystko panu profesorowi...

— Wiedz — i Mickiewicz położył dłoń na ramieniu Krzesławskiego — wiedz, że wszystko, co nas dochodzi, wszystko, co zawierają korespondencje w pismach emigracyjnych, na pół komponowane po redakcjach, wszystko, czego dowiadujemy się z listów prywatnych, niczym jest. Trzeba tam żyć, jak on, widzieć to, co on!

— Pan z Warszawy? — zapytał Krzesławski.

— Z Warszawy.

— I co w Warszawie?

— W Warszawie pobór — poddał Mickiewicz.

— Pobór — potwierdził Dziekański. — Chcą po-

prostu unieruchomić całą młodzież, wcielić ją do wojska rosyjskiego...

— I rzucić na rewolucję — dokończył Krzesławski.

— Tak. Paskiewicz nie tai, że w razie czego strąciłby cały kraj i zburzyłby Warszawę. Na jej miejscu stanąłby słup: „Tu była Warszawa”. Grozi, że imię Polski będzie zglądzone, że nazywać się będzie Nową Rosją...

Jest gorzej, niż zdoła opisać. Panowanie zbrodniczej siły doszło do zenitu. Polska cała to jakby męczennica, przywiązana do słupa, odarta z szat i bita po twarzy przez oprawcę. Język wyganiany zewsząd, prześladowany, więzienia pełne. Każde łotrństwo protegowane. Szerzy się donosicielstwo, szpiegostwo. Cały system polega na tym, aby to, co szlachetne, uczciwe, wyginęło, a została sama podłość — aby kraj spodłał. Paskiewicz przyjmuje i otacza się tą młodzieżą, która trwoni pieniądze, wyrzeka się wszelkiego ideału, bezecnie hula i marzy o dworskich zaszczytach. To są jego faworyci, im użyczają swej opieki.

— Gardzi nimi — rzekł Mickiewicz.

— Jednymi gardzi i tych osłania, drugich chce wytracić. Nikt pewny nie jest swego losu, swego spokoju. Ludzie boją się pisać z miasta do miasta, ze wsi do wsi. Boją się mówić głośno na ulicy, boją się okazać, że mają polskie uczucie. Kryją się z nim, jak chrześcijanie po katakumbach. Byle co pociąga represję, o byle co może spaść klęska na cały kraj. To w Kongresówce — a gdzie indziej! W Galicji głód i tyfus. Chałupy puste. Księża każą na ambonach, że to dopust Boży za rzeź.

— Mają rację — rzekł Mickiewicz.

— W Poznańskim rozpacz. Z powodu ostatniego procesu Mierosławskiego setki osób, które zajmowały posady, na bruku. A wszędzie wzajemne wyrzuty i oskarżenia, wszyscy nienawidzą się nawzajem. Nienawiść między chłopem a szlachcicem, nienawiść między tymi, co chcą się bronić, a tymi, co w żadną

obronę nie wierzą, między młodzieżą a pokoleniem starszym, między inteligencją a strwożonym mieszczaństwem.

I, schwyciwszy się za głowę:

— Czy my to wytrzymamy?! — zawołał.

Zaległa cisza, i dopiero po chwili Krzesławski jakby ocknął się.

— Nie bój się, chłopcze — wytrzymamy. Rosnie nowa polęga, jeszcze nieznaną, proleterzy. Ci nie boją się szubienicy, bo uwalnia ich od życia, nie boją się więzienia, bo mieszkają w norach, nie mają do stracenia nic, a wszystko mogą zdobyć. Odwet przyjdzie, już idzie i będzie straszny.

— Rzeź galicyjska — rzekł Dziekoński.

— Tam prowadził chłopca austriacki zbir. Proleter oszukać się nie da, on rządowego zbira zna, widzi go codzień w mieście. Proletera poprowadzi kto inny.

— Kto? — spytał Mickiewicz.

— My.

— To jest?

— My socjaliści i republikanie.

— Wy jedni — rzekł Mickiewicz — ja wiem, wy jedni, gdybyście szli z Chrystusem.

— Któż idzie z Chrystusem, jeśli nie my?

— Wy moglibyście iść, ale nie idziecie. Boicie się Chrystusa. Zdaje się wam, że przez nienawiść można zwyciężyć, że w miłości siły nie ma. Wiedzącie, że walka choć o ideał najszczytniejszy, lecz nie w uczuciu miłości a w uczuciu nienawiści poczęta, przeciw temu ideałowi się obraca. Wytknęliście drogę w kierunku przeciwnym waszemu ideałowi. Jakże pojedziecie? Będziecie coraz dalej. Idźcie do celu drogą prostą — drogą Chrystusa.

— Ziemia, panie Adamie, nie jest niebem.

— Chrystus z nieba zstąpił na ziemię.

— I wstąpił na powrót do nieba. My się pod tym względem nie porozumiemy. Zeby walczyć, trzeba nienawidzić wroga. Miłością się nie zwycięża. Miłość to prawda boska, ale nie ludzka.

Coś jakby uśmiech pobłażliwy przemknął przez usta Mickiewicza.

— Takis ty nienawistny? Sam siebie nie znasz. A gdybym ja przyłożył się do tego, co się dzieje, gdybym przystąpił do tego ruchu, wspomógłbys mnie?

— Dawno już odgaduję w tobie tę decyzję, panie Adamie.

— Bo widzisz — i Mickiewicz przeszedł się po pokoju — my wypracowaliśmy na emigracji prawdę, która teraz łaknie wcielenia. Prawdy, idee zaszczipiają się tylko w wielkich poruszeniach, a wielkie poruszenia są tęsknotą do prawdy. Straszniejszy jest głód ducha, niż głód ciała. Duch, w chwilach swych wzburzeń nienakarmiony, zdolen jest ziemię przemienić w piekło. My nie możemy jako emigranci umrzeć na francuskiej ziemi. Naszym obowiązkiem, naszą misją jest iść z prawdą naszą do tego głodnego świata, co powstaje.

— Jaka to prawda?

— Nie bać się Chrystusa! Żyć tak, jak Chrystus kazał.

II.

Od tygodnia przebywał Mickiewicz w Zurychu, usiłując przekonać Towiańskiego o konieczności wzięcia udziału w ruchu rewolucyjnym, w silnym już tempie rozwijającym się w Europie. Nie mógł. Pragnął z nim harmonii i rozchodził się coraz bardziej. Człowiek, którego czcił ponad wszystko, stawał się mu niemal obcy. Nie przyznawał się do tego uczucia, ale miał je w sobie. Dziś przyszedł do niego po raz ostatni, z postanowieniem niezłomnym wyjaśnienia wszystkiego do ostatka. Przypominał mu, jak wzywał do realizacji, jak z jej powodu Napoleona uważał za jednego z największych duchów ludzkości.

— Przeszły już czasy wznoszenia się duchem w krainę nadziemską, bez przynoszenia z tej podróży owocu dla ziemi. Sam mówiłeś!

Twarz Towiańskiego skamieniała, stała się jakby z marmuru.

— Sam mówilem i mówię, i nigdy mówić nie będę inaczej. Ale jaki ty owoc stamład przynosisz? Ziemski, nie niebieski, a za niebieski go podajesz. Grzechem sobie drogę oświecasz i po drogach błędu przewodnikiem się stajesz.

— Grzeszny jestem, lecz nie czuję, abym teraz grzeszył — zgo a czuję inaczej! Jesteśmy, jak żołnierze. Na cóż były te mustry ducha, te ćwiczenia, te ślubowania, jeżeli nigdy nie mamy iść na front, w bitwę?

— Zawsze jesteśmy na froncie i w bitwie.

— W jakiej?

— Jeszcze nie wiesz?

— Mistrzu — rzekł Mickiewicz — nie wymagaj od ludzi za wiele. Ci wszyscy, którzy koło nas są, cała ta młodzież, którą prowadzę, którą mi w Paryżu zostawięś, muszą mieć oparcie o czyn ziemski. Nie mogą być jak słupy ogniste, przy których tylko inni grzeją dłonie, bo spłoną i nie zostanie z nich, jak zimny popiół. Ani ty, ani nikt nie przerobi ich tak, żeby byli *comme une loi vivante* ponad wszystkim, co żyje, żeby byli życiem bez życia, ofiarą bez ofiary, męczeństwem bez męczeństwa...

— Co ty mówisz, Adamie?

— Za młodzi są, za gorący. Nakazy twoje spełniali w tęsknocie do tego, co nadchodzi teraz, w wierze, że ten cudowny kielich, wypełniający się ofiarą Francuzów, Polaków, Włochów, spełnią pospółu z innymi. Dziś chcesz ich odsunąć od kielicha? Chcesz odsunąć ich od rewolucji, co nadchodzi? Oni wyrabiali w sobie czyn dla niej, nie tylko słowo, nie tylko idee!

— Chrystus kazał Piotrowi schować miecz do pochwy.

— A Piotr w godzinę później zaparł się Chrystusa! Gdyby poległ lub zwyciężył, toby go się nie zaparł!

I Mickiewicz płonące oczy wlepił w Towiańskiego.

— Błóżniesz! Sam wyznałeś w tej chwili, żeś z duchem Chrystusa w niezgodzie. Grzeszysz tak teraz, jak zgrzeszyłbyś wówczas, gdybyś był na miejscu Piotrowym. Grzeszysz — i do grzechu przywoadzisz innych, tych wszystkich, których ci powierzyłem! Co z was się stanie, z Pierwszego Zastępu Pańskiego, gdy pojdziecie tam? Partia! Rozszczepicie się, jak promień słoneczny, pozostanie wam tylko parę barw. Całym promieniem słonecznym, czasem widocznym jako tęcza, być przestaniecie. Światło jednokolorowe błyszczy świetniej i potężniej razi ludzkie oczy. To świetne łyskanie, to rażenie ludzkich oczu cię nęci — nie tęczowa służba Boża!

— Cóż mam uczynić?

— Nowa epoka nie na ruinie starej, ale na starej oczyszczonej, sprostowanej wznosi się, o tym pamiętaj. Ja wiem, że idą czasy nowe, bardzo dla was ciężkie, wielkiej siły wymagające. Nie ujmujcie sobie ciężaru, rzucając się w walkę. Tobie już tego czynić nie wolno. Co dla niektórych jest jeszcze bohaterstwem, dla ciebie już jest obniżeniem, co dla jednych jest mozołem, dla ciebie jest ulgą, odsunięciem się od swego własnego mozołu. Nie bierz takiego mozołu, który cię od twego własnego uwalnia — nieś swój własny krzyż. Bez krzyża, po ułatwionej drodze możesz, po ziemsku biorąc, zajść daleko, ale od nieba i Boga będziesz coraz dalej.

— Mistrzu, nieprawda, abym chciał coś czynić dla ziemskiego celu.

— Rozwiązywanie praktyczne kwestii politycznych dla ziemskiego czyni się celu. Rewolucja niszczy wszystko, niszczy także stare wyroby ducha, dojrzeć nie pozwala dobru i złu. I zło się odradza w niej samej, bo owocować nie zdążyło. Dopóki naturalnego owocu zło nie wyda, odradzać się będzie zawsze.

— Więc co mam czynić?

— Powiedziałem ci.

— Kazesz zostać mi z dala od wszystkiego, co się dzieje!

— Nie! Ani tobie, ani twoim. Nie pozostaniecie z dala, gdy czynić będziecie, co czynić wam należy. Ale wasze działanie jest czysto duchowej, nie materialnej natury. Jako kapłani żyjącego Słowa Bożego, powinniście w dobie ogólnego poruszenia moralnie wspierać materialnie działających, podawać im ideę i wzywać do spełniania posłannictwa.

— Jak to sobie wyobrażasz? Co znaczy słowo, choćby najmocniejsze, gdy krew się leje? Znaczy, gdy gosi je ten, co razem z innymi walczy i umiera. Inaczej nie. My z twoich nauk nie wniesiemy tam nic, jeśli nie staniemy pośrodku i pośrodku nie rozwiniemy sztandaru. Ja i moi nie możemy, nie potrafimy nie stanąć w środku. Gdybyś miał mnie w tej chwili odtrącić, pójdę tam, gdzie iść muszę.

Wtedy Towiański podniósł się z krzesła.

— Wielka odpowiedź przed Bogiem na tobie ciążyć będzie, jeżeli dla ulżenia trudu w wielkiej chwili pełnienia powołania swego, czyn ten, ofiarę tę ducha swojego, na czyn, na ofiarę ciała, krwi, ziemi zamienisz, gdy stanowisko opuścisz, bo tym zdradzisz Boga i brata!

— Mistrzu, ja już odchodzę — rzekł cicho Mickiewicz.

— Niech Bóg litościwy ma cię w opiece swojej.

— Pożegnaj braci ode mnie.

— Modlić się za tobą będą, aby w postępkach twoich nie było ludzkiej mądrości i ludzkiej rachuby, abys nie odrzucał Chrystusowego jarzma wolności i nie przenosił nad nie interesu ziemi.

Mickiewicz spojrzał mu w oczy z wyrazem, w którym mieszało się zdziwienie, smutek, zaprzeczenie i odejście. Wydało się mu w tej chwili, że ten człowiek ponad wszystko przenikliwy, ten jasnowidz, który w duszy ludzkiej czytał pismo, ryte w niej przez losy i przez duchy złe i dobre, a dla niej samej zakryte, który był przy niej, jak przewodnik przy ślepcu,

i cudem słowa budził w niej życie kolorów niewidzianych, sam stał się ślepy. Czemu mu Pan wzrok odejmuje i moc odbiera? Jeszcze niedawno spełniłby wszystko, co Towiański spełniłby mu kazał — i spełniał. Wszelką wątpliwość, wszelkie wahanie łamał w sobie, jak zło, odganiał, jak zły podszept, kajał się. W bezgranicznej dla niego pokorze stał, jak w zbroi, przeciw najgłupszym, a przez głupotę swoją najbardziej krzywdzącym podejrzeniom i przeciw sztyderstwom. Dziś zbroja pękała, już nie mógł w niej iść w bój. Dotąd Towiański wiedział o nim więcej, niż wiedział on sam — wiedział wszystko — teraz przestał wiedzieć.

— Zegnam cię, mistrzu.

— Niech Bóg czuwa nad tobą.

Dzień był chłodny, ale słoneczny i kojący. Mieszkańcy Zurychu wylegli z domów, każdy z nich był jakby rodzonym bratem drugiego. Ten sam wyraz w oczach i ustach ludzi zadowolonych, pracujących i wypoczywających regularnie. Szwajcarki pełna przed sobą wózki z dziećmi, szczebiocące do stąpających obok mężów. Mickiewicza mężczy, ten widok. Wydostał się nad jezioro i szedł brzegiem, stawiając przed bacznią, nie dającą zwiesić się, myślą, każde słowo ze swojej rozmowy z Towiańskim.

Nieprawda, aby w postanowieniach swoich miał jakąś ziemską rachubę — nieprawda! Tak jak, przyjmując jego naukę z wiarą, że niesie ona szczęście światu, rzucał bez żalu swą wielką sławę na stratosowanie pod nogi polityków i pismaków, tak jak odkładał pióro i umiowaną sztukę opuszczał dla służby publicznej, tak i dziś gotów był to uczynić. Spaliłby wszystkie swoje dzieła, jakby kamień w tę wodę cisnął w zapomnienie wszystkie swoje słowa, powtarzane przez tysiące ust, zgasiłby to światło, co zapalało się przy każdym wymówieniu jego nazwiska, przyjąłby żywot żebraka, ostatek na ostatnim szczeblu hierarchii społecznej istoty, byle ziścił się w życiu jego ideał życia.

— Czysty jestem przed Bogiem i bratem!

Mewa zakolysała się nad jeziorem, przystanał i ogarnął wzrokiem horyzont. Oczy mu błysnęły. Woda, odbijając w sobie niebo, żywsza była od nieba zimnej doskonałości, której obraz na jej ruch rzucony dopiero życiem się staje i mówi do człowieka. Zapatrzył się w nią. W labiryncie prostych, kolistych i krętych dróg wodnych przebiegały i gasły złote i srebrne błyskawice słoneczne i złote iskierki na siatce drobnych fal. Wszystko — z pasmami gór, z szumiącym w dali miastem, z wózkami, zdążającymi tam z mlekiem — zbierał w jedno rytm życia, rytm, dający ziemi zrozumieć niebo i czyniący ziemię dla nieba niepojętą.

Wrócił do hotelu, spakował małą walizkę i kupił bilet do dylizansu. Odjeżdżał do Paryża. Już wiedział, co ma czynić, już postanowił niezłomie. W drodze tworzył się mu poemat nowego w dal pędu. Tęsknota do ludzi, którzy żyją bohaterstwem piękna, których słowo dumne jest prawdą, którzy na widok jej nie ślepną, ani jej skarbem nie wykupują u złęgo losu osobistego swojego szczęścia, podesała mu skrzydła pod duszę.

III.

W salonie Czerlińskiej znajdowały się meble i sprzęty poszukiwane u przeróżnych handlarzy i antykwariuszy, powynajdywane w kramach nad brzegami Sekwany. Wiele tych rzeczy podniszczonych było i wypłowiałych. Kóciły się ze sobą stylem i wyglądem, jednak stanowiły jedną całość, jedno wnętrze, mające swój styl własny, będące odbiciem indywidualnego gustu i upodobań. Na ścianach wisiało wiele sztaluchów, na kominku i stolikach stało wiele wazonów, pustych w tej zimowej porze. Nie był to właściwie salon, lecz pokój, w którym zawsze przebywała, czytała, pisała listy, przyjmowała przyjaciół. I ona miała swój styl indywidualny, sfałowany a harmónijny, obliczony na zniewalanie urokiem estetycznym.

Umiała uśmiechać się i patrzeć. A często, gdy mówiła, kolor słowa znaczył co innego, niż słowo. Treść należała do rzeczy w tej chwili mówionych, muzyka płynęła skądinąd. I wyraz niebieskich oczu się mienił, nie pozwalając odgadnąć, jaką myśl ukrywa. Melancholia w błyskawicznym mgnieniu przechodziła w żartobliwość, żartobliwość powlekała serdeczna czułość.

Krzestawskiego olśniła przy pierwszym spotkaniu. To olśnienie powtarzało się przy każdym ponownym. Nie przyzwyczał się do jej widoku, widział ją zawsze po raz pierwszy. Zawsze, gdy ją spotykał, ogarniało go wzruszenie tak głębokie, jakgdyby w jego życiu dokonywała się rzecz ważna, jedna z najważniejszych i pozostająca na zawsze. Uczucie przyszło nań późno, był w pełni wieku, a nie doznał go nigdy. W owym czasie wybujałych sentymentów, księżycowych rozmarzeń, elegji do kochanek, miłosnych rozdarć, pozostał z sercem nietkniętym. Nie znaczyło to, aby kiedyś, do jakiejś, rychło zapomnianej, jakby spostrzeżonej i nikałej w wirowym tańcu, nie miał mniejszej, niż dla innych obojętności, lecz z tego kiełkowania nie wyrosło i nie rozwinęło się uczucie. Mimo to, ta jego pierwsza miłość nie miała zupełnie podobieństwa do uczucia, zwanego powszechnie pierwszą miłością. Doświadczenie życiowe znaczyło w niej swój ślad, znajomość ogólna ludzi, pozwalająca wnikać w charakter każdej poszczególnej jednostki, odbierała jej gatunkową naiwność. I nieraz myślał, że Czerlińska w uczuciach i myślach chodzi jak w kwiatach, przypiętych do balowej sukni. A jednocześnie tak wierzył w gatunek jej duchowej istoty, że gdyby ujrzał ją w upadku, wiedziałby, że to nie jest jej prawda duchowa, w ten sposób się przejawiająca, tylko dysharmonia, wytworzona czy przez okoliczności zewnętrzne, czy przez uniesienia i omyłki temperamentu, czy przez jedno i drugie razem. Czerlińskiego znał od dawna, jeszcze przed powstaniem, był on wówczas urzędnikiem w Komisji Oświecenia. Potem nie widział go wiele lat, zapomniał o jego istnieniu, aż nagle

spotkał go w Paryżu. Czerliński wyemigrował zaraz po powstaniu, choć, nie biorąc w nim udziału, mógł bezpiecznie w kraju pozostać. Według Krzesławskiego wyemigrował po prostu przez tchórzostwo. Przeląkł się, że był na jakimś zebraniu Towarzystwa Patriotycznego, że znał wielu powstańców, że w ogóle przebywał podczas rewolucji w Warszawie. Losu sobie jednak nie popsuł. Ożenił się, bez posagu wprawdzie, bo z sierotą po emigrantach, ale z panną bardzo piękną, wychowanką hotelu Lambert i przez to należąca do najwyższych polskich kół towarzyskich. Dzięki jej stosunkom z Czartoryskimi dostał posadę. Mieszkał na prowincji i, dopiero niedawno przenieśli się do Paryża.

Dziś Krzesławski zastał ją samą i, siedząc przy palącym się kominku, opowiadał o rzeczy, wstrząsającej całą emigracją, o zerwaniu Mickiewicza z Towiańskim.

— Mickiewicz mówi „Chrystus” i Towiański mówi „Chrystus”, a jeden idzie tu, a drugi tam. I tak między ludźmi jest zawsze, było i będzie, bo miłość jest kłamstwem.

I Krzesławski wpatrzył się zamyślony w ogień, płonący na kominku.

— Kłamstwem? — spytała.

— Miłość jest kłamstwem społecznym. Rozwój społeczny zależny jest od zwycięstw, będących rezultatami walk wewnętrznych. Walka jest żywiołem społeczeństwa, bez niej żyćby ono nie mogło, a walka wyłącza miłość. Nie można kochać tego, z kim się walczy, cokolwiek prawilby o tym pan Towiański. Nie kocha się i tych, z którymi się idzie. Widziałem ludzi, przywiązanych do siebie jak bracia, gdy wierzili w jedno, i rozchodzących się, jak śmiertelne wrogi, gdy jeden wiarę zmienił. Ludzi się nie kocha, tylko idee, to jest kocha się samego siebie, bo idea jest przedłużeniem indywiduum na społeczną platformę i jego utrwaleniem.

— Nie kocha pan Polski?

— Polskę kocham, ale nie Polaków.

— A proleterów pan nie kocha?

— Nie. Ja kocham ideę wolności. Wolność jest we mnie, wolność mi jest potrzebna, bez niej duszę się i ginę, chcę przeto, aby była wszędzie. W człowieku jest takie dążenie, taka siła, która pragnie, aby wszystko było takie, jakim on jest. Jeżeli Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, to i człowiek chce świat na obraz i podobieństwo swoje przerobić. Skoro mnie pani tak osobiście zagadnęła... ja przed panią kłamać nie będę... nie kocham żadnych proleterów, idę do nich, bo oni jedni mogą dziś o wolność walczyć szczerze, a więc i skutecznie.

— Jak pan tak może mówić?

— Cóż w tym złego?

— Przecież to jest egoizm, straszny egoizm, kwintesencja egoizmu.

— Może.

— A pan nie jest egoistą.

— Widać, że jestem.

— Nie jest pan — wstrząsnęła głową z przekonaniem. — Coś więc jest w tej deklaracji nie w porządku. Ja już wiem.

— Wie pani?

— Uhm.

— Cóż takiego?

— Nie będzie pan ze mnie się śmiał?

— Ja z pani?

— Bo ja nie umiem mówić tak, jak pan, czuję dobrze, ale wyrażę się źle.

— Niech pani mówi, jak pani czuje.

— Czuję, że pan egoistą nie jest i że nieprawda, aby pan nie kochał ludzi. Tak panu się zdaje, a może panu nawet się nie zdaje, tylko tak pan mówi. Pan kocha wolność, pan jest człowiek bardzo wolny, ja już to zrozumiałam, ale wolność gdzieś się mieści — w ludziach się mieści, czyż nie? Musi więc pan kochać ludzi, którzy jej dążenie w sobie mają. Jakże

można kochać uczucia jakiegoś człowieka, a nienawidzić jego samego? Człowiek przecież z uczuć się składa. I nie jedno uczucie wolności jest panu drogie, są jeszcze inne, którymi ludzie żyją i które pan również miłuje. Kocha pan np. odwagę. Jakże ją pan może kochać bez człowieka? Tak jakby pan kochał zapach kwiatów, zieloność drzew, a nienawidził samych drzew i kwiatów.

Zamyślił się.

— Nieprawda? — spytała.

— Niech pani mówi.

— Nie dla siebie pan o wolność walczy, pan ją przecież ma, więcej, niż kto inny. Walczy pan o nią dla Polaków, dla tych, którzy są i którzy będą. Cóż to jest Polska bez Polaków? Walczy pan o wolność dla nędzarzy, dla ludzi najbardziej upośledzonych. Gdyby pan powiedział, że pan walczy o wolność Polski przez egoizm, to jeszcze... jeszcze dałoby to się obronić. Przestałby pan być emigrantem, pana wolność osobista stałaby się szersza. Lecz co panu z tego przyjdzie, gdy wszyscy we Francji będą mieli np. powszechne prawo głosowania? Pan i tak jako cudzoziemiec nie będzie z tego korzystać. Dla innych pan chce, nie dla siebie, i dla innych pan się naraża, bo co panu z tego przyjdzie?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Myli się pani.

— Czyż?

— No, naturalnie. Myli się pani, sądząc, że nic mi z tego nie przyjdzie. Może nie przyjdzie mi materialnie, bo może nie doczekam się realizacji mej idei. Ale czyż człowiek, czyniąc cośkolwiek, myśli, że owoców pracy się nie doczeka, że może umrzeć przed nimi? Nie wstrzymuje go to w każdym razie w pracy, przez nią bowiem zbliża się do warunków, jakie są jego celem, osiąga je w takiej postaci, w jakiej w danej chwili osiągnąć je może. Ktoś nie ma dachu i buduje dom, nikt mu nie zaręczy, że będzie w nim mieszkał, że dokończy go przed śmiercią, a jednak

przez samo budowanie, przez samo rozmyślanie o planach mniej jest bez dachu, niż gdyby nie budował wcale. Pani pyta, co mi z tego przyjdzie? Buduję sobie dom. Ja w społeczeństwie dzisiejszym jestem bezdomny, i moja wolność, o której pani mówi, jest fikcją. Wolność łączy się u mnie z drugą ideą, z prawdą. Nienawidzę kłamstwa, a nie mogę poznać prawdy, nie wiem nawet, jak wygląda, wiem jedynie, jak wygląda kłamstwo. I otóż jestem pewny, jest to moja głęboka, gruntowna pewność, że prawdy nikt znać nie będzie, że ona się nie narodzi, dopóki nie nastanie kompletna wolność społeczna i w tej wolności społecznej kompletna wolność indywidualna. Bez tego nie będziemy wiedzieli nic o Bogu, ani o sobie. Niewolnik ma myśl niewolniczą, a myśl niewolnicza nie doleci do prawdy, nie odszuka jej — i nawet jej nie szuka — głosząc, że to czyni, szuka innego pobocznego celu. Czegóż szukali duchowi poprzednicy rewolucji francuskiej? Czy prawdy? Szyli nowe buty na te same, stare, od kajdan opuchłe nogi. A byli niby najwolniejsi. Jesteśmy niewolnikami od wieków, może od samych początków naszego istnienia. W niewoli utworzyła się nasza myśl, uformowała, opierzyła i, jakkolwiek w czyimś tam mózgu przestrzeni i swobody ma więcej, początek jej jest jeden. Człowiek myśli tak, aby coś zyskać, coś obronić, coś utrzymać. Myśl stała się funkcją praktyczną, instrumentem praktycznego życia, jakże więc może osiągnąć prawdę? Prawdą jest to, co jest czyimś interesem, aby było prawdą. I w ten sposób kłamstwo, za prawdę podane, przenika wszędzie, nie tylko we wszystkie stosunki społeczne i polityczne, ale i we wszystkie stosunki prywatne.

— Nie ma innych stosunków, niż oparte na kłamstwie? — spytała.

— Nie ma.

— Pomiędzy nami, pomiędzy mną a panem, jest też kłamstwo?

— Też — odparł twardo.

— Dlaczego?

— Bo jest — burknął.

— Jak mi pana żal.

W przedpokoju rozległy się czyjeś kroki.

— Karol — rzekła.

Nadśluchali, wiedząc oboje o sobie, że pragną jednego, aby nikt teraz nie wszedł.

— Nie, nie Karol — odetchnęła.

— Dlaczego więc pani mnie żal?

— Pan się męczy. Pan jest dziwny człowiek. Zyjemy w epoce dziwnych ludzi, ale takich jak pan nie znałam. Chce pan jakiegoś szczęścia dla ludzi i gardzi pan wszystkimi z góry, chce pan prawdy, nie wierząc, aby była do osiągnięcia, buduje pan dom i mówi pan, że nigdy nie będzie zbudowany. To jest życie bez radości. Ja bym tak nie mogła żyć! Jak się w panu tworzą te myśli? Mnie się zdaje, że przez reakcję. Pan jest bardzo czuły na fałsz, jest pan, jak przyrząd muzyczny, kontrolujący fałszywe tony. Ale czy z reakcji może powstać nowa harmonia, nowa synteza, w której znalazłoby się miejsce nie tylko dla wysokich dążeń, ale i dla codziennej pracy, utrzymującej przy życiu i rozbudowującej odwieczną radość?

— Odwieczne radości?

— Ależ tak. Pan nie rozumie, co to jest radość życia, pan jest dziwnie sam. Niech pan obserwuje rytm życia codziennego, skalę zainteresowań ludzi zwyczajnych, przeciętnych, urzędników biurowych, farmaceutów, właścicieli kamienic, handlarzy. Pan ich wogóle ludźmi nie będzie nazywał, pan bardzo mały procent nazwałby ludźmi. I pan błądzi, pan błądzi, sądząc, że ponieważ są bezbarwni, ponieważ nie mają wielkich aspiracji, wielkich ambicji, więc należy podnieść przeciw nim klasę nędzarzy i na ich grobach postawić nowy świat.

— To niezupełnie jest tak.

— Może niezupełnie tak, ale niech mi pan pozwoli dokończyć. A wreszcie to jest zupełnie tak, bo

ci nędzarze przeciw wszystkim pójdą, więc i przeciw nim także, i pan ich przede wszystkim przeciw nim poprowadzi. Pan raczej oszczędziłby magnatów, rasowych arystokratów, ja to tak czuję, nie ich. A przeciw ci filistrzy, jak dziś się mówi, są potrzebni.

— Na co?

— Widzi pan. Pyta pan na cō! Jak ja doskonale pana przenikam. Zdumiewające — prawda? Na co? Na to, że oni, gdy wielka idea zwycięża, chociażby pańska, będą ją realizować, będą budować ten właśnie dom, którego plan pan nakreśli.

— I poprawić go nigdy nie dadzą.

— Ale będą zwozić do niego sprzęty, kupować meble, pokrywać je pokrowcami. I gdy kto mimo ich woli poprawi, będą pilnować, aby naprawa się nie popsuka. Proleterzy będą ciągłym protestem, a oni będą realizować i tę ideę, którą proleter wygra, wszystko jedno jaką, byleby była gdzieś wygrana, byle przez swe zwycięstwo stała się niezbędna w życiu. Na ich ramionach całe życie spoczywa. Nie są twórcami, ale są cieślami i murarzami domu, a potem są jego ładem i spokojem. Oni właśnie dlatego, że z ducha są materialistyczni, wcielają w materię idee innych. Tak było i chyba tak musi być. Niechby pan przejął się tą myślą, że wszyscy są potrzebni, a byłby pan radośniejszy. I gdyby pan walczył o szczęście, o prawdziwe szczęście, a nie o wolność...

— Czy wolność nie jest szczęściem?

— Nie. Człowiek wciąż jeszcze potrzebuje słu chać i potrzebuje, aby nim kierowano. Silni idą na przód sami, słabsi chcieliby iść również, bo to leży w ludzkim charakterze, lecz, nie mając takich czy innych sił w sobie, nie widząc drogi lub nie umiając jej torować, szczęśliwi są, gdy mogą iść z przewodnikiem, gdy mogą wierzyć, że dzięki niemu nie potamia kości po drodze i że gdzieś dojdą. My nie mamy jeszcze takiego rozwoju, w którym wolność staje się warunkiem dalszego. Wolność raczej nas niszczy, nie mamy jeszcze dla jej udźwignięcia dość silnego

kręgosłupa. Niech pan to przemyśli. Pan jest człowiek wolny, posiada pan moc oddziaływania, nie powinien więc pan wprowadzać zamętu. Ja widzę przepaść, jaka istnieje między panem a tłumem, i jak pana droga dla tłumu jest niebezpieczna. Dla tłumu, to jest dla nas wszystkich, którzy nie są tacy, jak pan. Pan powinien wiedzieć, co można, a czego nie można, powinien pan wiedzieć, że nie tylko ogień, ale i woda działać powinna, powinien pan widzieć przyszłe efekty swych czynów. Inaczej do czego pana misja się zredukuje? Do szerzenia niepokoju i chaosu, a chwila jest taka, że wszyscy z chaosu wyjść pragniemy.

Słuchał, uderzając nerwowo palcami po stole.

— Jeszczebym panu chciała coś powiedzieć, przepraszam, że się ośmielam...

Zachnął się, ale serdecznie.

— Niech pani nie sądzi, że słucham obojętnie, nie, naprawdę nie.

— Pan mówi, że bez wolności nie można osiągnąć prawdy, ja tego nie wiem, ale wiem, że jej nie można osiągnąć bez szczęścia. Przez łzy źle się widzi. Pan jest bardzo smutny. Nie pokazuje pan tego, jednak to się dostrzega, przynajmniej ja dostrzegam. Pan częściej mówi „śmierć” niż „życie”, „śmierć” mówi pan bardzo często, a gdy pan mówi „życie”, to pan mówi o nim źle. I wiele jest takich smutnych wyrazów, których pan używa, smutnych i niedobrych, złych. „Miłość jest kłamstwem!” — nigdy pan nie powie — „miłość jest dobrem, miłość jest szczęściem”. Przez usta panu by nie przeszło.

— Może i nie.

— Nawet gdyby pan kogo kochał, to by panu przez usta nie przeszło? Jak z taką goryczą może pan poznawać prawdę? Pan nigdy nikogo nie kochał?

— Dotąd nie — rzekł.

Drgnęła, wargi jej przybladły, zdawało się, że zrozumiała i prosi, aby nie mówił nic. Ale w nim wszystkie już uczucia klęły przed jednym, nakada-

jącym koronę. Głębokie wzruszenie nie pozwoliło mu użyć słów wielkich i sugestywnych, i mówił jakby rzecz zwyczajną, prostą, codzienną, tylko zdania wpadały jedno na drugie, szarpały się, biły z sobą.

— A teraz tak. Teraz... Teraz mam uczucie, mam wielką miłość dla pani.

Nie chciałem pani tego mówić, bo po co? Jeżeli teraz mówię, to żeby się nie zaprzec. Są rzeczy, których nie godzi się zapierać, człowiek sponiewierałby je, gdyby się ich zaparł. Mam wielką miłość dla pani.

— Od dawna? — szepnęła.

— Od pierwszego spotkania. Ale nie mówiłem, bo po co? Cożby z tego wyniknęło? Coż ja mogłem pani przynieść? Pragnienie szczęścia? Tylko pragnienie! Uczyniłbym wszystko, z głębi sumienia mówię, uczyniłbym wszystko, żeby pani była szczęśliwa, a nie dla pani uczynić nie mogę, pani zresztą niczego nie potrzebuje. Czymże więc byłbym przy pani? Mówiła pani o męcie i chaosie. Męt i chaos — tak. Niech pani wybaczy, że powiedziałem, nie mogłem się zaprzec! Jeżeli pani pragnie, jeżeli tak musi być, jeżeli to potrzebne dla pani, to odejdę i nigdy pani nie zobaczę. A jeżeli nie, to niech pani wie, że powiedziałem, aby się nie zaprzec, i że już tego nigdy nie powtórzę.

— Pan jest człowiek uczciwy — rzekła.

Zrozumiał, że wszystko z tym powiedzeniem skończyło się i minęło, i skinął głową na znak. Nie był w stanie odejść, ani podjąć na nowo rozmowy. Czerlińska też milczała, aż wreszcie:

— Niech pan spojrzysz radośniej na życie.

— Gdybym mógł.

Klucz zgrzytnął w drzwiach. Czerliński wrócił z biura.

Pierwsze wrażenie czynił niedobre. Miał ten nieprzyjemny wyraz, w którym pełzają uczucia i myśli, budzące nieufność, tylko że zatarty naturalną szpetotą, a stąd mniej rażący i łatwiej ulegający zapomnieniu, niż to się dzieje u ludzi łaskawiej obdarzonych przez naturę. Gdyby był piękny, byłby ohydny,

lecz że był brzydki, więc brzydotę jego wewnętrzną składało się na karb brzydoty zewnętrznej. Ta znowu nikła w żywości ruchów, w układnym uśmiechu, i ostatecznie tak pierwsze wrażenie się zacierało, że nie był ani szpetny, ani niemily.

Uradował się, że zastał Krzesławskiego. Chciał mieć dokładne, ścisłe wiadomości, czy będzie rewolucja. Był w najwyższym stopniu zaniepokojony, na mieście opowiadano Bóg wie co, koledzy jego biurowi — a w przekonaniu Krzesławskiego i on także — nie wiedzieli, w którą stronę się pokłonić, chcieli się więc jak trzciny, tu i tam.

— Słuchaj, będzie rewolucja?

— Czy ja wiem. — Krzesławski podniósł ramiona.

— Ale jak ci się zdaje?

— Będzie.

— Masz takie wrażenie, czy dane ścisłe?

— I wrażenie i dane ścisłe.

— Więc dlaczego powiedziałeś, że nie wiesz?

— Nie chcę prorokować. Wszystko idzie ku rewolucji, ale może stać się coś takiego, że do niej nie dojdzie.

— Ale, według ciebie, będzie?

— Będzie.

— I kto weźmie górę?

— Rewolucja.

— Tak mówisz, bo jesteś rewolucjonistą.

— Oczywiście.

— Kto wie jednak, czy nie masz racji. Rozmawiałeś z kim z kierowników ruchu?

— Z Ludwikiem Blanc.

— To jest bardzo porządny człowiek!

— Znasz go?

— Nie, ale wiem. Tak wszyscy mówią, i ja mam osobiste zaufanie do jego charakteru. Nie podzielam jego poglądów, lecz je szanuję, bo wypływają z głębokiego przekonania.

W tej chwili Krzesławski pomyślał, że wszystko,

co Czerlińska mówiła o wartości w życiu ludzi zmaterializowanych i dlatego umiejących realizować w materii cudze idee, byle tylko one gdziekolwiek zwyciężyły, wynika z jej przywiązania do męża. Pogląd na życie wyrobiła sobie według miary swojego mażonka, ideałem jej jest społeczeństwo, gdzie tacy mają zawsze swoje miejsce i znajdują rację swego bytu. A on tych wywodów słuchał poważnie, sądząc, że wynikają z głębokich przemyśleń i wypowiedziane są przez jakieś współczucie i sympatię dla niego. Począł się żegnać. Zatrzymała go.

— Niech pan jeszcze zostanie — rzekła ciepło.

Został i gadał z Czerlińskim.

Do domu wrócił późno, ale chodził jeszcze długo po pokoju. Zahamowane przy wyznaniu wzruszenie szło burzą przez uczucia i myśli. „Pan jest uczciwy czowiek” — ścięło go mrozem. Wszystko trzeba zniszczyć w sobie, trzeba się poddać, złamać. Ona jest żoną tej miernoty. Jak może żyć z tym czowiekiem? Jest coś obrzydłego w takich połączeniach, coś przeciwnego naturze. Czerliński co innego. Typ niższy może pożądać połączenia się z wyższym, jest to nawet jego cechą dodatnią, aspiracją wzwyż, ale typ wyższy, łączy się z niższym, zwłaszcza wyższy typ kobiety, łączący się z niższym męskim, budzi uczucia, od których ciarki przechodzą. Jak ona mogła! Jak mogła poniżyć się do tego stopnia!

Refleksje te, na korzyść Czerlińskiego, a na niekorzyść jej czynione, moralnie zupełnie inny, niż intelektualnie, brały skutek. Nad nią się rozżalała, a do niego antypatia jeszcze bardziej rosła.

„Pan jest uczciwy człowiek — powtórzył w duszy — pan jest uczciwy czowiek”.

Położył się w ubraniu nad ranem. Spał, marząc. Przez świat jego uczuć płynęły teraz słowa inne — „niech pan radośniej spojrzysz na życie” — „niech pan jeszcze zostanie”. Uśmiechnął się przez sen do szczęścia.

Obudził go Dziekoński. Przychodził od Mickiewi-

cza, który postanowił utworzyć dla walki z Austrią legion polski we Włoszech. Krzesławski porwał się z łóżka.

— Legion polski we Włoszech?

— Mickiewicz uznał, że podstawa działania znajduje się w Rzymie, stolicy chrześcijaństwa.

— Według mnie, w Paryżu, w stolicy wolności.

— Tu rewolucji jeszcze nie ma, a we Włoszech już jest poruszenie narodu, należy iść tam, gdzie ono już jest, a nie czekać na to, które będzie.

— To inna racja.

— We Włoszech zaczyna się rewolucja przeciw Austrii, najprzewrotniejszemu państwu, od którego Bóg odwrócił się na zawsze po rzezi galicyjskiej.

Krzesławski, zajęty niezupełnie zrozumiałymi jeszcze dla siebie projektami Mickiewicza, nie zauważył, że Dziekoński się zmienił, że mówi innym tonem, niż zazwyczaj.

— Więc cóż pan Mickiewicz?

— Więc Mickiewicz tworzy legion polski we Włoszech przeciw Austrii.

— Z kogo?

— Z emigrantów polskich. Sam najpierw wyjeżdża do Rzymu z Geritzem, a my, którzy z nim jesteśmy, zajmujemy się rekrutowaniem polskich emigrantów. Mickiewicz mówi, że cała emigracja wyruszy, bo emigracja wie, że tu bezczynnie pozostać nie może, że inne jest jej posłannictwo. Rewolucja — rewolucja chrześcijańska zaczyna się w Rzymie i przeciw państwu, które Bóg od siebie odepchnął. W papieżu Piusie IX wielkie bije serce. Garną się do niego całe insurekcyjne Włochy, garnie się do niego Irlandia. Jakżeby Polska tam nie była? Gdy Polska tam będzie, ona stanie na czele rewolucji w Europie.

— Z papieżem?

— Z papieżem — odparł Dziekoński.

Oczy mu zajaśniały.

— Z papieżem — powtórzył. — Na czele ludów,

rwających się do wolności, na czele milionów uciśnionych, któż ma iść jak nie Namiestnik Chrystusa?

— Tak by powinno być — rzekł Krzesławski — ale...

— Ale?

— Ale tak nie będzie.

— Dlaczego?

— Cóż tu dużo mówić. Nie będzie. Jednak legion polski we Włoszech wielka rzecz. Nie tylko papież tam jest. Pius IX! Pięknie mówi i piękne czyni gesty! Na początku każdej wielkiej rewolucji są tacy, co jej chcą białą lilię zatknąć w rękę. Lecz z lilią w bój się nie idzie. Ciska się ją prędko wraz z tym, co ją podał. I słusznie! I pan Mickiewicz, gdy legion chce formować, będzie ją musiał cisnąć — a lepiej jeszcze, żeby jej nie brał.

— Chodź pan do Mickiewicza.

— Pójdę, tylko że on mnie nie przekona. Walka jest walką. Ma ona swoje prawa i swoją duszę.

— Mickiewicz chce walki. Niczego więcej nie żąda, jak walki. Walki z Austrią.

Krzesławski wdziewał już palto.

— Idę do pana Mickiewicza — rzekł.

CZEŚĆ DRUGA

IV.

Gdyby przed kilku dniami wróżbita jaki przepowiedział Krzesławskiemu, że wyjedzie z Mickiewiczem do Rzymu, to śmiałyby się z tej przepowiedni w gronie swoich przyjaciół politycznych. Ci sronili od Mickiewicza. On wprawdzie poddawał się osobistemu urokowi poety, lecz poglądy jego uważał za utopię, za ideę bez życia, nieomal za obłąd polityczny. I nagle!

Nie tylko poszczególne idee, lecz całe wykończone na świat poglądy są odbiciem stanu psychicznego człowieka i ulegają zmianie, gdy ten stan psychiczny się zmienia. Jeżeli, mimo tej zmiany, idee dawne utrzymują się jeszcze w intelekcie, to nie tylko tracą na sile aktywnej, ale stają się balastem, obciążającym dalszy rozwój, są przeszkodą życia i myślenia. Na początku było Słowo, a więc na początku była Psyche; z niej wszystko powstało i wszystko jest jej odbiciem. W jednostce ludzkiej przejawia się Psyche w powstających uczuciach, które, będąc częścią uczuć, istniejących we wszechświecie, tym samym na życie wszechświata wpływają. Psyche ludzka bierze więc zawsze w siebie prawdę, tylko biorąc ją częściowo i indywidualizując, stawia ją w przeciwieństwie do prawdy drugiej jednostki. Prawdę poznaje Psyche nienawidząca i Psyche kochająca, ale nie widzi nic

ta, która, miłosną będąc, orientuje się według nienawiści, i ta, która, nienawidzącą będąc, orientuje się według miłości. Taka jest w obłądnie, jest jak malarz, któremu odebrano by farby i pędzel, a dano nieznaną instrument muzyczny, jak muzyk, któremu instrument muzyczny by odebrano, a dano farby i pędzel. Wytworzenie jednego uczucia ważniejsze jest dla poznania prawdy, niż przestudiowanie stu filozofów.

Krzesałowski pesymistyczny pogląd na świat, negujący możliwość zaszczepienia w życiu społecznym pierwiastka miłości, był odbiciem jego stanu duchowego, wytworzonego w walkach rewolucyjnych, w długiej kolei klęsk i rozczarowań. A widząc nieustanny triumf siły materialnej, przestał wierzyć w wartość źródeł ustawicznie pokonywanej siły moralnej. Starego świata nie odmieni się przez religię, przez ideały humanitarne i narodowe, ale przez walkę z nim nowego, nienawidzącego go żywiołu. Ważniejsze jest, żeby proletariusz nienawidził kapitalisty i wszystkiego, co z kapitałem jest związane, niż żeby kochał Boga, ludzkosć, naród i wszystkie stąd powstałe ideały.

Teraz, pod wpływem powstającego z uczucia dla Czerlińskiej optymizmu, poglądy jego traciły swoją ostrość, niektóre myśli gauchy od dzwonów szczęścia, tonęły w jego spienionej fali. Świat wypromieniał i gorycz odchodziła. W pewnej chwili to spostrzegł i nazwał wtedy Czerlińską w myśli: mój cud.

Nie mówiąc z nią nigdy o swojej miłości, ciągle z nią o niej mówił. We wszystkich rozmowach, najbardziej od uczucia odległych, melodia uczucia grała. Tak za niego, jak i za nią mówił nastrój, i Krzesałowski z dniem każdym bardziej był pewny, że, jeżeli nie jest jej w tym stopniu, co ona jemu, drogi, to jednak jest przez nią kochany.

Ta dokonująca się przemiana sprawiła, że egzaltacja Mickiewicza, poezja jego słowa, rozmach rysowanych obrazów przyszłości porwały go. Nabrał animuszu, chęci do wzięcia udziału w rewolucji, jakiej

jeszcze nie było, legion z poetą, prorokiem na czele uderzył jego wyobraźnię. Zyjący w nim duch rewolucyjny szukał nowej formy i treści.

— Tylko w Rzymie przejawienie ducha chrześcijańskiego w polityce może się zacząć — mówił Mickiewicz.

— Może i w Rzymie — myślał Krzesławski.

Wyjechał, nie usłyszawszy od niej słowa, które nawet w chwili skonu dałoby mu z wdzięcznością zegnać świat, tak zawsze dla niego okrutny i twardy. Może wówczas odmieniłby się zupełnie i pogodził z życiem naprawdę, bo znalazłby w nim miejsce, łączące go z całością istnienia, uznałby, że jest, jak wszystko, poddany najwyższemu prawu miłości, że nie stoi poza prawem. Osiadłe w nim przeżycia ciężkich smutków zmieniłyby swoją treść, okazałyby się potrzebne, jako do tego prawa go prowadzące, przestałby ich nienawidzić, i wtedy stałby się istotnie cud, przemieniający w ogród rajski pustynny piach. Nie powiedziała mu jednak nic. O słowie tym nie śmiał marzyć, ale brak jego w dzień odjazdu czuł jak krzywdę. Tylko to mógł z sobą zabrać i tego nie zabrał.

Dopiero teraz po dwóch miesiącach pobytu w Rzymie otrzymał list od niej. Odczytywał go ustawicznie, nosił go przy sobie, wpatrywał się w litery, chcąc z nich wydobyć wszystko, co w sobie kryły, a co powiedziane w nich nie zostało, kładł w nie całą duszę, jakby od niej przemówić miały żywym słowem. W okna bił łomot manifestacji rzymskich, ciągle się teraz powtarzających, a dziś z powodu rewolucji w Paryżu na wszystkich szalejących ulicach, wdzierały się krzyki przeraźliwe, trzęsły się szyby od oklasków. O rewolucji w Paryżu pisała właśnie Czerlińska:

„Gdyby mnie kto zapytał, jak idą moje osobiste sprawy, jakie me zdrowie, co robić zamysłam, nie zdobyłabym się na inną odpowiedź, niż ta: w Paryżu rewolucja! Taka straszna, olbrzymia, wszystkie egzystencje pochłaniająca jest ta rzecz, która się tu dzie-

je. Zanim to zobaczyłam, nie mogłam sobie wyobrazić, że taką burzą, takim żywiołem nieokiełznanym może stać się tłum ludzki! I nie wiedziałam, że taki bezmiar ludzki Paryż zawiera. Jedna głowa w tym bezmiarze tłumy to tyle, co kropla wody w oceanie.

Zaczęło się to 22 lutego: jak się zaczęło, każdy inaczej mówi. Mój konsjerż opowiada, że wie od swego siostrzeńca, mieszkającego w dwunastym obwodzie, jakoby odbyć się tam miało zebranie zwolenników reformy, jakoby sam miał tam iść, ale się trochę spóźnił i usiadł na ławce w ogrodzie Tuileries, gdy usłyszał straszny gwałt od placu de la Concorde. Tłum śpiewa Marsyliankę. Biją się, wpadają w ogród, tłoczą. On się cofa i widzi ogień w bocznej alei. Przestraszył się, niewiedomo czemu pomyślał — tam poliejantów żywcem pałą. Nie wie dotychczas, co to było, ledwo uciekł do domu i cały wieczór nosa nie wychylił.

Cały dzień następny upłynął w niepokoju. Opowiadano o manifestacjach w robotniczej stronie Paryża, o łączeniu się z nimi gwardii narodowej, a ustępstwach króla, o formowaniu nowego ministerium. Wielu promieniało, lud zwyciężył, mówiono. Byłam podniecona, wieczorem poszliśmy w parę osób na bulwary, zobaczyć z bliska, jaki nastrój miasta — i wtedy to ujrzałam rewolucję! Z początku nic, wielkie oświetlenie, tłum, różniący się od zwyczajnego tłumy bulwarowego, wśród eleganckich kobiet i mężczyzn jakieś twarze twarde, z dzikim wyrazem, fanatycznym wyglądem i wycostki wyglądają, jakgdyby wszystkich zaczepiać chcieli. Łączyły się te żywioły w bandy i przeciągały bulwarami. Nagle jakiś huk ze strony bulwaru des Capucines, nie zdałam sobie sprawy co znaczy, i stanęłam, nad słuchując. Nagle z tejże strony podniósł się krzyk i lament, i w jednej chwili uniesiona zostałam prądem uciekających. Zanim zrozumiałam, zostałam popchnięta, rzucona o bramę, którą szarpały wściekłe pięści, i wraz z setką może osób wtłoczyłam się w wąskie schody kamie-

nicy, uciekając co tchu, słysząc nową salwę strzałów i nowe krzyki i jęki. Krzyk rósł, ale już nie strzelano, myśmy tam na schodach wytrzymać nie mogli, już nie miałam nikogo swego przy sobie, porwał ich tłum w inną stronę, ale dołączyłam się do towarzystwa Francuzów, obok którego stałam, i wszyscy razem gorączkowo komentowaliśmy wypadki. Byli to ludzie ze sfery inteligentnej, nawet, zdaje się, zamożnej, z dobrego towarzystwa, ale namiętni zwolennicy reform i przeciwnicy króla. Najgorętszy z nich był młody Francuz, wyglądający na południowca. Zeszliśmy razem ze schodów, byliśmy bowiem dość wysoko, i puściliśmy się na ulicę. Było strasznie. Właśnie koło bramy przejeżdżał wóz ciężarowy, naładowany po wierzch trupami, otoczony ludźmi z pochodniami. Mieli twarze wykrzywione z wściekłości, pochodnie wciąż podnosili i pochylali nad trupami, aby je dobrze widziano, i krzyczeli: „On assassine les citoyens! aux armes!” Ten zew „do broni” i ten widok trupów był tak przejmujący, że nawet mnie przeszedł dreszcz rewolucyjnej egzaltacji. A tłum szalał, pienił się, lżył zabójców i wciąż rósł, i tak noc całą szliśmy za trupami po wszystkich ulicach, pociągając za sobą coraz nowe tłumy i rzucając w nie hasło: do broni! Budowaliśmy barykady. Ja sama pomagałam ustawiać jakiś wóz, opuszczony przez woźnicę — na to trzeba halucynacji takiej nocy, jak ta.

Wróciłam do domu rano i nie miałam sił wyjść znowu na miasto, ale Karol poszedł i wrócił wieczorem ze słowami: „Już nie ma Ludwika Filipa”. Opowiadał najście ludu na pałac królewski w Tuileries, kiedy król już w zamkniętej karocy siedział i ledwo umknął w ulicę. W pałacu strzelano do jego biustów gipsowych, wyrzucano je oknem, z pasją żgano portrety jego rodziny bagnętami. Były tam sceny diabelskie i komiczne zarazem. Niektórzy z napastników po-przebierali się w garderobie królewskiej w aksamitne szlafroki i naprędcę z powyrywanych ze ścian makat porobili sobie czapki frygijskie. W piwnicach znale-

ziono beczki z winem i pito na zabój. Ale to wszystko nie by'ło najbardziej charakterystyczne. Slepą egzaltacją można było nazwać ten nastrój, który ogarnął większość.

Już późną nocą wpadł kolega Karola, prosząc, aby mu dać co zjeść, gdyż jest na czczo, cały dzień biegał po ulicach. Mówił, że rewolucja się organizuje, że rano króla wygnała, a wieczorem już rząd prowizoryczny się utworzył. Pchany przez tłum, dostał się przez ulicę Jean Jacques Rousseau aż pod okna redakcji „Reformy”, gdzie, jak słyszał, wielkie figury rewolucji kwaterowały, i widział Ludwika Blanc, jak z okna proponowaną przez nich listę rządu czytał. Tłum okrzykami każde nazwisko przyjmował, a po ukończeniu czytania jakiś głos zawołał „Louis Blanc! Albert!” (Albert to podobno jakiś robotnik, fanatyk, zwolennik rewolucji socjalnej) — i te nazwiska, powłózione przez wielotysięczne głosy, weszły na listę. Tegoż dnia w Izbie odczytana była ta właśnie lista, i to wtedy, gdy posłowie radzili nad nowym królem i regentką chcieli mieć księżnę Orleanu, obecną ze swymi dziećmi przy naradach. Lecz tłumy przerwały naradę, rozproszyły posłów, jakiś kapitan wskoczył na trybunę i z chorągwią trójkolorową w ręku proklamował suwerenność ludu, potem, w zgiełku straszliwym, Ledru Rollin listę odczytał.

I skąd ludzi Paryżowi starczyło! Przed Ratuszem były znów takie tłumy, jakby do ostatniego człowieka cała ludność Paryża tu się zbiegła. Tam się ostatecznie rząd prowizoryczny ukonstytuował, otrzymał akklamację ludu i republikę przyjął jako formę rządów Francji.

Co będzie dalej? Co dalej? Obecność Lamartine'a w rządzie jest gwarancją, że nie dojdzie do walki wewnętrznej i do terroru, że straszne sceny z trupami, obwożonymi po Paryżu, już się nie powtórzą.

Mój drogi, kochany panie — dziś wierzę i ja, że wstępujemy w nową erę...”

„Mój drogi!”... Zatrzymał wzrok na tych literach.

To by'y słowa, do których dążył z utęsknieniem poprzez cały opis wypadków. Nigdy tak nie rzekła do niego w Paryżu. Widział teraz każdy jej uśmiech i każde spojrzenie. Każda chwila, przy niej spędzona, stawała się obecna, radowała wspomnieniem i dręczyła bezpowrotnością. Śmierć wciąż się staje. To, co by'o przed okamgnieniem, już umarło, już takim samym nie wróci. Widział kolor jej sukien, uczesanie włosów, przechylenie głowy. Gdzie jest, co myśli, co robi w tej chwili? I przez straszne szyderstwo wyobraźni ujrzał ją w ramionach Czerlińskiego. Zasyczał z bólu, rozpalone żelazo wkręcało się mu w sam szpik kości.

— Po tym, gdy pisze do mnie, gdy pisze „mój drogi!”

Zdawało się mu, że wolałby widzieć ją, rzucającą się komuś na ulicy na szyję, niż to.

I znowu list czytał.

Nad koronką jej uczuć i przekonań, osoby z dobrej sfery, damy z towarzystwa, nie odstępującej od ogólnie tam przyjętych zasad moralnych, choćby dlatego, że to nie wypada i nie przystoi, załopotwały skrzydła czerwonego anioła. Załopotwały, i tu i ówdzie popękała delikatna koronka. Wierzy w Lamartina, ale „w nową erę wstępujemy”. Przez ulice ciągną bandy, dzieją się rzeczy diabelskie, lecz sama przy stawianiu barykad pomaga. Acha! acha! To dobrze, to bardzo dobrze.

Aby nie zmącić jej harmonii psychicznej, w sumienie jej piekła nie wprowadzić, indywidualności jej nie zniszczyć, nie śmiał wyciągnąć do niej ramię, ale dziś zmienia się wszystko — i ona zmienia się także.

Brała przed nim w obronę istniejący ustroj społeczny przez przywiązanie, jak mu się zdawało, do męża, a dziś dlaczego egzaltuje się do rewolucji? Jeszcze nie śmiał sobie odpowiedzieć.

Niewątpliwe jednak dla niego było, że wszelkie zjawisko społeczne uderza najpierw w warstwę uczuć

osobistych i przez nią dopiero przedziera się do warstwy uczuć społecznych. Nie zawsze mechanizm ten jest widoczny, najczęściej nawet działanie jego wzrok myli. Psychika człowieka skonstruowana jest w taki sposób, aby autoanaliza była jak najtrudniejsza lub zgoła niemożliwa. Tyle jednak o sobie wiedział, a przez siebie o innych.

Tu zastanowił się, że naprawdę nie wiedział nic. Życie jest zbiorowe, człowiek częstkowym jego przejawem, a nie do ludzkiej tylko zbiorowości należy, bo ta jest znowu tylko innej częstkowym przejawem. Żeby poznać i zrozumieć siebie, poznać i zrozumieć człowieka sobie najbliższego, trzeba byłoby poznać prawa, przemiany i wędrówki energii psychicznej, wszystko żywiącej.

Musiał już iść na zebranie Polaków, skupiających się koło Mickiewicza i gotujących się do wymarszu do Lombardii. Przedzierał się przez tłum. Cały Rzym wrzał, wszystkie ulice i uliczki, Corso i zaułki nad Tybrem, huczały zrywającymi się grzmotami oklasków i okrzykami: „Niech żyje Papież! Niech żyje wolność! Precz z barbarzyńcami! Precz z Austrią!” Z okien zwisały dywany, bratnio obok papieskich powiewały republikańskie chorągwie. Okna pełne — głowa przy głowie — dłonie, bijące oklaski na widok przeciągających z chorągwiami pochodów. Między tłumem figury charakterystyczne, operowe, w kapeluszach na czoła naciśniętych, w czarnych płaszczach, wielką połą zarzuconych na ramię, przechadzały się dumnie, z zemstą w oku, jakby pod płaszczami chowały sztylety. Tu i tam grały się sceny improwizowane, jedna od drugiej odmienne, a zlewające się w całość z dekoracją okien i wyglądem ulic. Wielkim gestem wyciągając rękę, mówił przygodny trybun, z ręką na sercu deklamował wiersze uliczny poeta.

Trójkolorowa chorągiew zatknięta w rękę Marka Aureliusza! Krzesławski miał chwilę wesołości. Chorągiew trzepotała na wietrze, a posąg otaczał tłum, klaszcząc, wołając „Brawo!!” i „Niech żyje Pius IX!

Niech żyje wolność! Włochy zjednoczone! Niech żyje Francja!”

— Ciceruacchio!

— Ciceruacchio!!! — rozległo się i niosło wokół.

Na wzniesieniu koło posągu stał, jak drugi posąg, nieruchomie, sławny Angelo Brunetti, Ciceruacchio zwany, pan i władca plebejskiego Rzymu, jednym skinieniem masy te umiejący gromadzić i rozpraszać, mózg tysięcy mózgów, serce tysięcy serc, do samego papieża dopuszczany i słuchany.

— Ciceruacchio! Cicho!! Słuchać!!! Ciceruacchio!!

Wieczór zapadał, gorzały w złocie kopuły miasta. Popolani, tworzący straż przyboczną trybuna, wzniesli wysoko zapalone pochodnie. Stał w ich blasku, czerwony od rzucanego przez nie światła, jak piorun zaklęty w chwili spadania. Nagle setki kapeluszy wyleciały w górę.

— Ciceruacchio!! — szalano.

Popolani dzierżyli bez drgnięcia pochodnie, niczym kariatydy koło posągu.

Znając mało język włoski, Krzesławski rozumiał poszczególne tylko słowa. Próżnię między nimi dopełniał domysłem, treścią, która, jak mu się zdawało, logicznie łączyć je była powinna. Mniej więcej wiedział, że Brunetti mówi o sprawach włoskich, o konieczności zbrojeń przeciw Austrii. Wtedy entuzjizm rósł. Wspomniał o rzezi galicyjskiej i niedługo potem wymienił nazwisko Adama Mickiewicza. Dotychczas oszczędny w geście, zaczął słowo swoje tak ilustrować, że Krzesławskiemu prawie wszystko stawało się jasne.

Na czele uciemiężonych przez Austrię Słowian staje największy mąż Słowiańszczyzny, słowiański prorok, polski poeta — Adam Mickiewicz. Na jego głos powstanie rewolucja w Kroacji, Dalmacji, Czechach, Morawii, Ilirii. Mickiewicz gości w Rzymie, od Słowiańszczyzny niesie pozdrowienie Italii.

— Brawo! brawo! — krzyczano. — Niech żyje Mickiewicz! Niech żyje!

— Nie na darmo — wołał — znikły z kopuły kościoła świętego Piotra relikwie patrona Słowiańszczyzny, świętego Andrzeja! Relikwie patrona Słowiańszczyzny, świętego Andrzeja, zostały skradzione tej nocy! Skradli je ci, którzy chcieli tę siłę świętą odciągnąć od Rzymu, aby nie stał się cud słowiański!

— Austriacy skradli! Austriacy! — gwałtowno. — Do ambasady austriackiej! Do ambasady austriackiej.

Z zanadru błysnęły noże, las zaciśniętych pięści chwiał się górą.

Uciszył wzburzenie jednym ruchem ręki.

— Nie! Jeszcze nie! Jeszcze nie, obywatele!

Krzesałowski nie słuchał dłużej. Przeciskał się dalej, gubiąc ustawicznie kierunek, nie poznając ulic, ciskany ludzką falą. Przeciągali studenci z pochodniami, oświecającymi tablice z napisami przeciw Austrii.

— Bravo! Bravissimo!

Pośrodku ulicy zatrzymała się chwycona za koła karetą. Dojrzał w niej purpurę kardynalską.

— Niech żyje Papież! Niech żyją kardynałowie! Niech żyje wolność!

Pergaminowa twarz kardynała wyjrzała przez okno pojazdu. Uśmiechał się, pochyleniem głowy i drobnym ruchem ręki pozdrawiał.

— Niech żyje rewolucja francuska!

Nie cofnął się w głąb. Przeciwnie, wyjrzał jeszcze bardziej, uśmiech stał się jeszcze łaskawszy i dobrotliwszy, pochylecie głowy i drobny ruch ręki jeszcze żywsze.

— Niech żyją kardynałowie!!

Dwóch muskularnych robotników, w rozpiętych koszulach, okazujących włochate piersi, niesło potężny łańcuch, aby rzucić go do Tybru. Tłum koło nich się wściekał, ryczał, wydawał okrzyki przeciw niewoli

i na cześć rewolucji francuskiej. Z okien padały na nich kwiaty.

Piekielny wrzask i śmiech. Na osłe, brzęczącym dzwoneczkami, chwiał się wystrugany z drzewa ogromny orzeł austriacki. Kiwał się pociesznie na grzbiecie ogłupiałego, ciągniętego z przodu i popychanego z tyłu zwierzęcia.

— Spalić!! Spalić!!

I już leżała kupa starych, morską słomą wyplatanych krzesel, próżnych pak, trocin i wszelakiego śmiecia. Rosta w oczach. Prowadzono na nią osła z uciechą niebywałą, z żądzą widowiska. Gamonie śmigaly kozły w powietrzu. Wtem drogę zagroził jakiś człowiek. Twarz miał rozśmieszoną, grymas komiczny, obiecujący blaźństwo. Wyglądał nader sympatycznie.

Machał kapeluszem, krzyczał, wygrażał.

— Spalić! Orła spalić. Ale od osła wara. Osła bronię. Osioł jest rzymianinem!!!

Śmiech targał trzewia, pokładano się na ziemi. Płonał sam orzeł austriacki.

— Komedia!

Zbliżał się już do miejsca, gdy usłyszał za sobą:

— Janusz!

Odwrócił się i ujrzał Geritza.

— Idziesz na zebranie? — spytał Geritz.

— Tak.

— Wracaj, nie masz po co chodzić. Nikogo nie ma, drzwi zamknięte. Rozleciało się wszystko po ulicach.

— A wiesz, dosyć mam tego! — zawołał Krzesławski z pasją. — Tylko patrzeć, jak zagrają na mandolinach i puszczą się w taniec. W Paryżu rewolucja, a tu karnawał.

— Karnawał?

— A cóż innego?

— Wesele.

— Z czegoż się oni tak weselą?

— Z tego, że rewolucja w Paryżu zachwiała Traktatem Wiedeńskim, że nastąpiło porozumienie mię-

dzy włoskimi prowincjami, że jest nadzieja zjednoczenia Włoch.

— Dopiero nadzieja.

— I wiara, że tak się stanie. Ty nie pojmujesz rewolucji bez barykad. Ja zaś myślę, że z rewolucji francuskiej nic nie będzie, a z tego poruszenia wszystko. Rewolucja francuska jest lokalna...

— Rewolucje francuskie nigdy nie są lokalne.

— A lipcowa? Jeden rząd upadł, nastał drugi.

— Teraz upadła monarchia, a nastąpiła republika.

— Wszystko jedno.

— Jakto wszystko jedno?

— Pan Guizot czy pan Thiers, wszystko jedno.

— Ludwik Blanc jest w rządzie!

— Ten sam materializm, w inne przyodziany słowa.

Weszli do pobliskiej trattorii i usiedli przy szklanecce wina.

— Dawno widziałeś Adama? — spytał Krzesławski.

— Wczoraj przez chwilę. Dostać się do niego nie można.

— I co?

— Jest dobrej myśli.

— A jak sprawa się posuwała, co się dzieje?

— Adam uzyskał posłuchanie u papieża.

— Nareszcie.

— Idzie tam z deputacją polską, z księżmi, arystokracjami, demokracją.

— Tak wszyscy razem?

— Tak.

— Cóż to się stało? Skąd taka nagła zgoda?

— Zgody nie ma, wszystko, jak było. Myślą oni tylko o jednym — odsunąć Adama od wszystkiego. Ale to się nie da. Jakże odsunąć Mickiewicza? Więc i z tą deputacją Adam się nie narzucił, ksiądz Jełowicki go zaproponował, bo jakże mogło być inaczej?

— Ach! — ksiądz Jełowicki!

— Dziwi cię to?

— Zaczekaj... audiencję wyrabiał, naturalnie, ksiądz Jełowicki.

— Naturalnie.

— Kiedy Adama zaproponował do deputacji, po wyrobieniu posłuchania, czy przed?

— Po wyrobieniu. Jełowicki wrócił z Kwirynału, oznajmił, że papież przyjmie delegację polską i od razu rzekł, że Adam w niej być powinien.

— I ty nic nie rozumiesz?

Geritz wstrząsnął głową.

— Papież powiedział, że pragnie, aby Adam był. Papież, nie Jełowicki!

— Prawda! prawda! — Geritz uderzył się w czoło. — Ty jednak jesteś polityk.

— Polityk jestem kiepski, ale na ludziach lepiej znam się, niż wy. Nie dopuściliby Adama! Karta im wypadła z ręki. Więcej ci powiem: kiedy Jełowicki do Kwirynału chodził, to po kancelariach szeptał, że Mickiewicz jest sekciarz — aby go Ojciec Święty widzieć nie chciał. I nie udało się. Cha! cha! cha!

— Nie może być! — I Geritz z irytacją odstawił szklanę.

— Tak było na pewno — śmiał się Krzesławski. — Jakbym widział! Czymże oni będą przy Adamie?! Bez niego każdy z nich by coś znaczył, przy nim będą tylko jego świtą. Woleliby oni, żeby do Rzymu nie przyjeżdżał.

— Ze woleliby, to z pewnością.

— I o co ta delegacja prosić będzie?

— O pobłogosławienie sztandaru Legionu polskiego.

— A kto na czele Legionu stanie?

— Arystokraci chcą Zamoyskiego, księcia pułkownika Jełowickiego.

— Co Adam na to?

— Adam przeciw Zamoyskiemu oponuje, jako że monarchista — dziś nie ten duch — przeciw Jełowickiemu powodu nie ma.

— Adam sam na czele Legionu stanąć powinien.

— Tego samego chcą ci, co już się zapisali, ale to niemożliwe. Adam nie wojskowy.

— Ci, co tego chcą, mają rację. O wojskowość chodzi najmniej, komendę kto bądź obejmie, ona zresztą pod ogólną wioską komendę pojdzie. Chodzi o to, aby Adam stał na czele. On jeden ma ideę Legionu — w całej emigracji jedyna idea, posiadająca dziś wartość polityczną. Ja to od razu zrozumiałem i dlatego tu z nim jestem. Mówi się o nim poeta, a on lepszy polityk, niż Czartoryski.

— Ja tak samo myślę — rzekł Geritz.

— Lepszy! On jeden rozumiał, co należy czynić. I jeżeli ruch Słowian istotnie przeciw Austrii się zacznie, to on jeden może uczynić z niego wielką rzecz — kto wie, czy nie jedynie wielką w tej rewolucji. Nie wierzysz we Francję, a ja i we Wiochy nie wierzę. Bo gdyby nawet! Tam republika, tu zjednoczenie, ale świat od tego się nie zmieni, nie zmieni się to, co najważniejsze. A gdyby Słowiańszczyzna wzięła górę, ten lud świeży, bez historycznych sugestii feodalnych, bez rentierów i filistrów, bez całej kanalii! I gdyby Mickiewicz przyniósł mu swój ideał, czysty, ludzki ideał!

— I narodowy — dodał Geritz.

— I narodowy także. Lecz narodowy już wszędzie żyje, a ludzki koło niego rozkwitnąć nie może. W teorii człowiek człowiekowi jest bratem — w praktyce wilkiem — a tu i w teorii, i w praktyce naród narodowi wilkiem. Ja republikaninem się mianuję, lecz to mi nie wystarcza, ja patrzę dalej.

Zamarzył się.

Iluzja wieku, iluzja przemiany jednym wysiłkiem psychiki narodów i warstw, narody składających, zgaszenia wulkanów wiekowych zbrodni, co dymy swoje ścielą nad ziemią, uwolnienia ludzkiej duszy z kajdan społecznych i indywidualnych dla wolnego lotu w wieczność i nieskończoność porwała go i niosła. Iluzja — największa i najszlachetniejsza siła człowieka. Bez niej nie zna się rozwoju, nie zna się pochodzenia

w przyszłość, bez niej nie zdobywa się prawdy. Ciągłą jest męką i ciągłym wytchnieniem i ciągłym cudem, co fata morgana w rzeczywistość przemienia, czyni ją chlebem prawdziwym i wodą prawdziwą, karmi nią i poi, a niemniej fata morgana zostawia. Bez niej, bez otarcia się o nią, bez wprowadzenia jej w siebie, właściwości jej przeciwne — praktyczny rozum i rozsądek — nędznieją i giną. Czy człowiek sam wytworzył w sobie tę cudowną siłę dla ochrony swego gatunku, czy przyszedł z nią, różny od reszty stworzenia, czy ona jest przeczuciem tajemnic nieodgadniętych, czy tylko jego bytu zabezpieczeniem, czy może jednym i drugim, czy poza nim istnieje we wszechświecie — nikt nie wie. Czy tworzy się przez sugestię, padającą od wartości istniejących, czy auto-sugestią jest człowieka, w nim tylko wytwarzającą wartości i przez niego rzucającą je w życie, ale bez niego i poza nim nie istniejące — nikt nie wie.

V.

Parowiec mknął wzdłuż wybrzeża. Na pokładzie, obok Mickiewicza, otoczonego kilku legionistami, stał kapitan statku, słuchając w najwyższym stopniu ciekawości i przejęcia opowiadań o manifestacjach rzymskich. Był mały, czarny i niezmiernie ruchliwy. Każde słyszane słowo podkreślał gestem, łyskiem zębów, grą oczu. Zaciskał pięści i marszczył brwi, łącząc się duchowo z okrzykami przeciw Austrii, w isny wpadał zachwyty, gdy rzecz szła o papieżu, wybuchał śmiechem, gdy ktoś wtrącił opowieść o jakiejś scenie ulicznej. Mickiewicz spoglądał nań przyjaźnie i sam opowiadać zaczął swoje wrażenia, a potem mówił o ludzie rzymskim. Robił się chłod, i wieczór zapadał szybko. W mroku twarze coraz niewyraźniejsze się stawały, i tylko chwilami, gdy padały na nie błyski morskich latarni, widać w nich było tę rzeźbę, jaką tworzą mocne wzruszenia, gdy nad ich ujawnieniem

człowiek panować nie stara się i nie potrzebuje. Mickiewicz mówił coraz bardziej sam do siebie, czyniąc długie pauzy, aż zamilkł, wpatrzony w przestrzeń.

Stłumiony szept pobiegł za jego ostatnimi słowami i zmienił się niebawem w rozgłośny gwar. Podróżni, którzy jechali z Neapolu do Livorno i dalej do Genui — wśród nich wędrowna trupa aktorska — nie widzieli manifestacji rzymskich i wypytywali o nie tych, co wsiedli na statek w Civita Vecchia. Młoda dziewczyna, obwieszona różnokolorowymi paciorkami z drzewa cedrowego, sznurkami szklanych pereł, z takimiż szafirami w uszach, z pierścionkami na palcach, z wstążką we włosach, stała we drzwiach kajuty. Chwyliła przechodzącego Marconiego za rękę.

— Kto wy jesteście? Dokąd jedziecie? Powiedziecie, będzie wojna Austrii z Włochami? Kroaci będą bić się z Włochami?

— Kroaci — odparł Marconi — są częścią wielkiego słowiańskiego szczepu, powołanego przez Boga do braterstwa z Włochami i do wspólnej walki z ciemnością.

— Alberto — przerwała — jest Kroatem, a ja z matki Kroatką, a z ojca Włoszką. Jestem artystką i jeżdżę z trupą po całych Włoszech. Alberto jest marynarzem w austriackiej flocie. Odbywa służbę między Fiume a Anconą, na takim okręcie, jak ten. Gdy jestem z trupą w tamtych stronach, to się spotykamy. Czy będzie musiał bić się z Włochami?

— Niech pani nakłoni Alberta — rzekł, podchodząc, Zieliński — aby opuścił służbę austriacką i połączył się z nami, z Legionem polskim, walczącym o wolność Włoch i wszystkich ludów słowiańskich.

— To pani narzeczony ten Alberto? — spytał Siodłkowicz.

— Mój narzeczony.

— Kroat?

— Kroat.

— W służbie austriackiej?

— W służbie austriackiej — załamała rękę.

Mówili głośno i na dziewczynę padły ze wszech stron zie wioskie spojrzenia. Kroat, nienawistniejszy od Austriaka, dziki i łupieżca, znany z okrucieństw swych w Mediolanie — Kroat jej narzeczony, kochanek. Podniósł się szmer zły, wrogi, obelżywy.

— Spia. W włóczęgach swoich Włochów szpieguje.

Ale Siodółkiewicz, który do Włochów umiał przemówić, bo mieszkał wśród nich od lat, i na statku już zdążył zdobyć sobie reputację, jako stary oficer napoleoński, waleczny *colonnello*, dążący na wojnę przeciw Austrii, zażegnał burzę. Nastrój zmienił się równie szybko, jak powstał. Anita w oczach wszystkich stała się narzeczoną człowieka, który z miłości dla niej dezerceruje spod austriackich sztandarów. Noc, morze, napoleoński pułkownik, ojcowskim ruchem głaszczący ją po głowie, ułożyły się w jeden rapsod, w romantyczną opowieść, w czysto włoskim stylu, uderzającą południową wyobraźnię.

Statek płynął już pełnym, wichrem rozkołysanym morzem. Rwały się ku niemu z głębin spienione grzbiety fal, połyskujące w ciemności. Unosił się na nich w górę i nagle spadał jakby w przepaść. Chwiano się na nogach, chwytało parapełu pokładu. Rozmowa umilkła, na pokładzie było coraz puściej, rozlegał się tylko głos kapitana i szybkie kroki służby okrętowej. Ci, którzy zostali na pokładzie i trzymali się jeszcze na nogach, czepiali się ramion przechodzących majtków, wciąż jedno zadając pytanie:

— Czy jeszcze daleko Livorno?

— Już niedaleko, jeszcze z godzinę.

Choć wiedzieli wszyscy, że dopiero północ i że droga do Livorno trwa noc całą, odpowiedź ta działała uspokajająco.

Anita, nic sobie nie robiąc z rozkołysania się statku, siedziała na pokładzie i opowiadała Marconiemu swoje zawilości sercowe i swoje nadzieje. Jej słowa proste, nawet prostacze, przenosiły go w jej życie, zupełnie mu obce, życie dziewczyny na pół z ludu, która

po raz pierwszy, pod wpływem tworzącego się we Włoszech insurekcyjnego nastroju, wyszła poza wąski krąg swej codzienności. Poczucie, że jest Włoszką, rozkwitło dopiero teraz, a związane z tym uczucie konieczności walki o wolność kraju tak było dalekie od dotychczasowego jej życia, że sprawiło w niej zupełny przewrót. Nic nie znaczyło, że była aktorką, że grała wszystkie role w prowincjonalnych teatrzykach, wykształcenia nie miała, i pojęcia jej były nader mgliste. Tego, co Marconi mówił, rozbudzając świeży jej patriotyzm, słuchała z przejęciem, choć nie rozumiała dostatecznie. Pozostawało jej wrażenie, że nie tylko Włosi, ale i Kroaci mają bić się o wolność i że ten pan z srebrzystymi włosami i pięknymi oczami, który opowiadał kapitanowi o manifestacjach rzymskich, wypędzi Austriaków z krocackiego kraju.

— *Signorina non ancora ammalata?* — spytał, przechodząc, kapitan.

— Ja miałabym być chora?! Jeszcze czego! — odpowiedziała głośnie śmiechem.

— Córka marynarza jest pani chyba — i dużymi krokami, kołyszając się, poszedł dalej.

Gdy nazajutrz przybijali do portu, Anita stała pośród swej trupy i tylko spojrzeniem żegnała się z Marconim. Już o niej nie myślał. Patrząc na brzeg. Szybko wdychał słone, zaprawione zapachem smoły powietrze. W duszy grała się mu epepeja od napoleońskiej większa. Z jakimś okrzykiem, z jakimś wspólnym gestem chciał stanąć na jej progu — i milczał. Włoch po ojcu, Anglik po matce, Polak z uczucia — w Polsce urodził się i wychował — miał w sobie angielską żądzę przygód, włoską potrzebę zewnętrznego wyrazu pasji i polską delikatność i marzenie. Powiódł wzrokiem po legionistach: wpatrywali się w brzeg, skupieni i uroczyści. Mickiewicza nie widział, bo stał na samym przodzie, wsparty o parapet.

Podpłynęły łodzie i powiozy ich do brzegu. Port był duży. Potężne parowce stały rzędem na kotwicy, na masztach żaglowców suszyły się czarne i rdzawe

sieci; przeświecane przez słońce, czyniły z dala wrażenie cennych koronek. W ulicy, ciągnącej się wzdłuż portu, pełno było kawiarni, oberży i zajazdów, rozbrzmiewających różnymi językami, krzykiem i śpiewem ze wszech stron świata spędzonych tu marynarzy. Weszli do pierwszej, więcej, niż inne, budzącej zaufanie kawiarni. Swoim wyglądem, obszernością płaszczów, nałożeniem kapeluszy, czynili wrażenie jakiejś artystycznej wycieczki. W kawiarence siedziało kilku marynarzy, pijąc czarną rozwodnioną kawę z chlebem. Kazali sobie podać to samo.

— Patrz, twoja Ofelia. — Krzesławski trącił lokciem Marconiego.

Anita uśmiechnęła się od progu i, puszczając swoich kolegów przodem, aby zajęli stoliki, przystanęła przy nich.

— Spotykamy się — rzekła.

— A tak.

— Panowie dziś do Florencji?

— Dziś.

— Jaką drogą?

— Żelazną.

— To jeszcze kilka godzin czasu. My także, pojedziemy razem. Ja jeszcze nigdy taką drogą nie jeździłam — starała się przedłużyć rozmowę.

— Do Florencji ta droga nie dochodzi — odezwał się od stołu stary marynarz o białych i gęstych, jakby z waty, faworytach, z wargą wykrzywioną od ustawicznego trzymania fajki — można nią dojechać tylko do Empoli.

— A dalej?

— Dalej, jak Bóg da. Dylizanse pewnie chodzą. Panowie z daleka?

— Z Rzymu.

— Panowie nie Włosi?

— Polacy.

— Polacy! Patrzajcie! A ja Serb — Małkowie — kapitan statku handlowego „Argentyna”. — Podniósł

dwa palce do beretu. — To moi koledzy, Słowianie, jak ja. Kapitan statku „Zwei Schwester”.

— „Zwei Schwester”? — spytał Mickiewicz.

— „Zwei Schwester”, ja.

— Pan Słowianin?

— Ja. Z Dalmacji.

— A załoga?

— Także.

— A statek austriacki?

— Austriacki.

— I flaga austriacka?

— Austriacka.

— Kapitan Słowianin, słowiańska załoga i słowiańskie zboże, którym handlujecie — a flaga austriacka. I to tak na wszystkich okrętach?

— Prawie na wszystkich.

— I jakże wy pod takimi flagami pływać możecie, jak się tak możecie pokazywać światu?

— A pod jakimiż?

— To wy nie wiecie nic? Nie wiecie, że Austriacy już z Mediolanu wygnani, że Metternich uciekł z Wiednia, że w Niemczech rewolucja, że we Francji republika? Nie wiecie, że dziś może wasi rodzeni bracia biją się już z Austriakiem?

Coś niecoś wiedzieli, ale mało, na morze wieści nie dochodzą, dopiero od wczoraj stoją w porcie. Wstali od swego stołu i podeszli.

— To panowie może na tę rewolucję jadą? — spytał Małkowiec.

— My idziemy bić się z Austrią — odparł po serbsku Mickiewicz.

— To pan po serbsku mówi? — rozjaśniły się im twarze.

— Mówię.

Wiedział i czuł, że wymawia źle, bo nigdy języka tego w praktyce nie używał i znał go tylko ze starych tekstów. Ale właśnie ten styl uczony i zawilły, to słowo, rodzące się z trudem, jeszcze bardziej na nich działało.

Krzesławski, jak i inni, nie rozumiał nic, lecz widział, że marynarze przekonują się do głębi.

W pewnej chwili zakotlowało się między nimi, wpadali w słowo jeden drugiemu, uderzali pięścią w stół, kogoś klęli, chwyłali za ręce legionistów, wstrząsając nimi kordialnie, Małkowie pluł z obrzydzeniem fajczaną śliną na środek izby.

— Austria!

— Daj mi nasz akt wiary — rzekł Mickiewicz do Geritza.

Geritz wyjął z torby paczkę małych pólarłuskuszy, zawierających tekst „Symbolu”, aktu politycznej i społecznej wiary legionistów. Tekst włoski był tylko i polski. Mickiewicz chciał oddać go po serbsku. Tłumaczyć go więc w tej chwili począł na odwrotnej, białej stronie, a że często słów mu brakło, zastanawiał się, albo jednego z kapitanów, którego osądził, że językiem włada biegle, pytał, jakby to na serbskie przełożyć.

Stół otoczyli aktorzy, czytając przez ramię Geritza kartki papieru — zbliżył się gospodarz.

— To przecież po włosku — rzekła Anita.

— Po włosku.

— Niech pan mi da taki papier.

— Proszę.

— Jeszcze jeden.

— Dla Alberta? — spytał Marconi.

— Dla Alberta.

Przykładem jej osmielali się inni.

— I dla mnie! I dla mnie!

— Będziecie we Florencji? — pytała Marconiego.

— Będziemy.

— My tam gramy.

— S i g n o r e ! — zawołał wygolony Włoch, jakby przewodnik tej wędrowniej trupy — ona ma talent Racheli! Pan wie, kto jest Racheli? Wie pan —

naturalnie! Ona grać będzie kiedyś na dworze księcia Toskanii — ja to jej prorokuję. S i g n o r e ! P o l e c a m się pamięci... — dawał adres przedmieścia, gdzie występować miała jego trupa. S i g n o r e , honorem dla nas będzie wielkim, jeżeli raczycie.

— Przyjdziemy — zapewniał Geritz.

— I wasz komendant także?

— Może.

Mickiewicz tymczasem tłumaczenie skończył i głośno po serbsku „Symbol” odczytywać począł. Krzesławski krytykował w Rzymie styl i redakcję tego aktu, który nie miał charakteru wezwania, w którym nie było nic z płomienności rewolucyjnych i insurekcyjnych proklamacji. Ułożony w suchych, a ciężko wyrażonych artykułach, nie mógł się chwycić myśli, lecących szybko. Teraz widział, że się omylił. Od pierwszych słów na twarzach słuchaczy wyrło się takie wzruszenie, jakiego nie widział przy żadnej rewolucyjnej mowie. Tam latały oczy, wznosiły się pięści, padały najbrutalniejsze wyrazy, tu nikt ruszyć ani szepnąć by się nie ośmielił. Twarze były skupione, zaśluchane.

Mickiewicz czytał:

„Duch polski Ewangelii sługa, ziemia polska ze swym społeczeństwem ciało. Polska zmartwychwstaje w ciele, w którym cierpiała i złożona została w grobie przed laty stu. Polska w osobie wolnej i niepodległej staje i Słowiańszczyźnie dłoń podaje.”

Czytając te słowa wyglądał, jak święty.

A kiedy skończył: „Pomoc chrześcijańska wszelkiemu narodowi jako bliźniemu” — ci wszyscy kapitanowie, jak stali, przypadli mu do ręki. Przyciskał ich do piersi i nad głowę każdego czynił krzyż.

— Idźcie! Dokąd przypląacie, mówcie, coście słyszeli. Niech z portów austriackich w głąb Słowiańszczyzny pójda wieści o legionie, który się tu tworzy, niech każdy, komu obrzydło panowanie austriackie, do tego legionu się przedziera. Idźcie i mówcie, coście słyszeli.

VI.

Było to w drodze z Empoli do Florencji. Mała oberża ledwo pomieściła piętnastu legionistów. Zajęli wszystkie izby, układając się do snu z płaszczami pod głową, dla Mickiewicz tylko znalazł się kąć osobny. Krzesławski wyszedł przed dom; spać nie mógł — Siodółkiewicz chrapał przy nim, aż ciężkie powietrze dudniło. Noc była cudna, pachnąca i ciepła, jedna z tych, co między dwoma dniami jest jakby wjazdem i rozłożeniem się innego świata na ziemi. Wszystkie gwiazdy wysypały się na nieba szmaragdowe, jasne smugi kładły się między głębokimi cieniami cyprysów i drzew oliwnych, ani drżenie liścia nie mąciła ciszy.

Po zgrzytliwym turkocie pociągu i powitalnych manifestacjach w Empoli Krzesławski odetchnął — nie chciało mu się wracać do przetłoczonej izby. Zgiełkliwe, ze zgiełku i mgnięniococznych spostrzeżeń rodzące się myśli i wrażenia, niby kosz szpilek się rozsypujące, przestały mu w mózgu doskwierać. Starła się mu z oczu piętnastogłowa, bez broni i mundurów, pierwsza kolumna legionu, chuderława w niej postać Zielńskiego, który, i nie jeden zresztą, karabinu nigdy w rękę nie trzymał, zabawny wśród tej młodzieży wygląd starego Siodółkiewicza. Wszystko to znikło. Pozostała jedynie myśl o rozbiciu armii austriackiej przez zanieśenie do jej słowiańskich szeregów wieści o polskim legionie, podnoszącym sztandar wyzwolenia Słowiańszczyzny. W ogniach rozpalonej wyobraźni rewolucyjnej przedsięwzięcie to rosło do proporcji ogromnych, a następujące po sobie wypadki kładły pod nie podstawy realne. Włosi wiąźali z nim nadzieje istotne. Przekonał go o tym entuzjizm ludności w Empoli na widok Mickiewicza. Sława jego w powietrzu rosła i leciała powietrzem. Z tych kilkunastu artystów, malarzy i rzeźbiarzy, twórców piękna — naprawdę może powstać piękno społeczne. Piękno społeczne — co to takiego? Pierwszy raz idea ta,

Cóż niezrozumiałego w zasadzie czystości wewnętrznej? Cóż bardziej naturalnego, że do czystości takiej zstępuje prawda? Widzimy w tej chwili gwiazdy i księżyc, bo nie ma chmur na niebie. Gdyby były, przesłoniłyby je, choć słabsze są od ich światła. Czym jest grzech człowieka wobec wielkości Boga, a jednak Boga człowiekowi przesłania.

Począł rozwijać naukę Towiańskiego, obchodząc jej zazębieńia metafizyczne, podając ją tylko od strony ziemskiego życia. Lecz w miarę, jak mówił, w Krzesławskim rosła irytacja.

— Wara jednemu człowiekowi do duszy drugiego! Wara! Niech chociaż w tym będzie wolny.

— O wolność tu przecież idzie, nie o co innego. Człowiek, wyzbywający się grzechu, staje się wolny.

— Jego rzecz, czy chce go się wyzbywać, czy nie. Nie czyja inna. Są chwile, gdy bardziej kocha się chmurę, co gwiazdy zasłania, niż te gwiazdy, co za nią są.

— Są takie chwile — rzekł Mickiewicz — są. Ja to znam — i ty to czujesz, a gdy czujesz, powinieneś wiedzieć, co za ofiary, co za bohaterstwa wymaga wewnętrzna czystość ludzkiej duszy. Więcej trzeba mieć bohaterstwa, niż w boju, więcej ofiar złożyć, niż tego wymagają wszystkie społeczne i polityczne ideały. Czasem człowiek po prostu uczynić tego nie może, nie może wyrzec się tej chmury, o której rzekłeś, a gdyby spróbował, to tylko szatana rozśmieszysz.

— Widzi pan.

— Ale i anioły nad nim zapłaczą, i łza aniołów coś warta, sam wysiłek coś wart.

— Jeżeliby w nim nie zginął, jeżeliby jeszcze bardziej w przepaść się nie pogrążył.

— Może i zginąć, i jeszcze bardziej w przepaść się pogrążyć, ja to wiem. Był między nami taki, znalazł go także — Pilchowski Seweryn. Miano go za duszę silną, i dusza to była duża, ale nie tak silna, za jaką ją miano i za jaką on sam ją miał. Wymagano

od niego ofiar większych, niż mógł złożyć, i on sam jeszcze większe na siebie nakładał. I co z człowieka tego się stało! W obłąd wpadł prawie. Najczystsze dążenia przeobrażały się w najbrudniejsze. O amnestii począł myśleć, o prawosławiu. Ja to wiem. Ja też nie niewolę nikogo — w Kole to czynilem, i zamęt taki rósł, że włosy z przerażenia stawały na głowie. Przestałem, nie niewolę nikogo, niech każdy daje z siebie to, co może, nie więcej. I tobie nie każę twoich chmur rozpędzać, skoro ci gwiazdy zastępują. Ale gdy wiesz sam, gdy wiesz przez siebie, jakiego trudu, jakiego bohaterstwa wymaga osiągnięcie czystości w życiu wewnętrznym, dlaczego nie chcesz uznać wielkości męża, który ją osiągnął?

— Wielkości pana Twiańskiego?

— Wielkości Andrzeja Towiańskiego.

— Sam od niego odszedłeś.

— Nie, to nieprawda. Była taka chwila, gdy mnie nie pojął. Widziałem to, a więc widziałem, że się myli — co do mnie się mylił. Lecz nie ta omyłka sprawiła, że jestem tu bez niego. Pojmij to dobrze. On żądał od ludzi, od swoich, za wiele. Żądał, aby udźwignęli to, co tylko on jeden mógł udźwignąć. Aby w tym ruchu byli, po ziemsku biorąc, ponad ruchem. Aby człowieka kochali: zarówno w Moskalu i w Niemcu. Powiedz to Włochom! Aby nie zwalczali zła, dali mu dojrzeć i odpaść. Owoowanie zła rodzi: do zła obrzydzenie, i zło staje się bezsilne. Prawda, ale obrzydzenie to nie rodzi się u wszystkich od razu, zło u jednych staje się bezsilne, a u innych zwycięża. Działanie jego przenosi się. Ludzka rzecz je tępić. Towiański żądał od ludzi za wiele — aby byli tacy, jak on. Nie mogli, nie chcieli, i odtrącił ich. Chrystusa za przykład podaje, a przecież i apostołowie nie byli tacy, jak Chrystus, a Chrystus ich nie odegnał. Chrystusa naukę w życie on wciela, prawda — ale Chrystusa wyrozumiałości nie ma i przez swój ucisk grzech tworzy. Bo czy ty wiesz — wielu zostało przy nim takich, co po prostu iść się z nami bali, i tę

swoją bojaźń za bohaterstwo podali i ofiarę. I jeszcze gorzej — bo byli między nimi i tacy, co wmówili w siebie, że nie przez bojaźń, ale przez bohaterstwo przy nim zostają, i w to bohaterstwo uwierzyli. Jeden tam jest tylko prawdziwy bohater, prawdziwy że nierz — Karol Różycki. Ale inni? Fałsz od nich wiał, a on tego fałszu nie widział!

Wracali tą samą drogą. Switało.

— Widzisz — mówił dalej Mickiewicz — Tówiański bliżej urodził się celu, niż ja, on już jest w prawdzie, starszy jest duchem, niż ja. Zaszedł już tak daleko, że poznał, co jest istotne, a co nie ma znaczenia w duchowym rozwoju człowieka. Umie wybierać i odrzucać, a ja jestem, jak napięta struna, wszystko we mnie gra.

— Jeżeli on jest w prawdzie, to ty wojujesz o prawdę — odparł Krzesławski — i stąd zasługa twoja na ziemi jest większa. Ja rozumiem, że Tówiański, jeżeli czystość taką osiągnął, to wysiłek jego był wielki, ale cierpienie twoje było większe.

— Może.

— On ma gładką prawdę, taką gładką, że aż mi się po niej ręka ślizga. Ty ręce sobie krwawisz o tę kolczastą skorupę życia, aby jądro prawdy z niej wydobyć, on waży ją bezpiecznie na dłoni, sok z niej wyciska, miksturę przyprawia i rozdaje ją we flaszkach, jak lekarstwo w aptece. Co mi z niego! Ja do tej apteki nie pójde! Jest w prawdzie, a wyrozumiałość jego mniejsza jest, niż twoja — bo nie uczynił tego, co ty. Tyś w dziełach swoich uczynił rachunek za człowieka.

— Wszyscy poeci, wszyscy twórcy to czynią — rzekł Mickiewicz — mało który z nich poza to wyszedł.

— Dlaczego?

— Bo wrażliwsi są, niż inni, na walkę, nędzę i nieszczęście człowieka w świecie stworzenia, i oświadczenie bardziej ich one dojmują. To też mało dano nam stosunkowo wizji w słońcu. Nawet fizyczne słoń-

ce wpływa na typ wielkiej sztuki. Czy mogliby Niemcy i w ogólności północne narody stworzyć malarstwo tak rozanielone, jak włoskie? A przecież klimat duchowy jest ważniejszy. Odgrodzenie się od świata, stworzenie własnego centrum duchowego łatwiejsze jest w dobrych, niż w złych warunkach. Taki Michał Anioł za wiele cierpiał. Jego twórczość byłaby jeszcze wyższa, gdyby pracował w szczęściu.

— To pan, panie Adamie, wrogiem jesteś cierpienia?

— Od cierpienia dezertować nie należy, ale nie należy z niego czynić kultu — cierpieć dla cierpienia. To objaw niezdrowy. Naturalnym dążeniem człowieka jest dążenie do szczęścia, cierpienie znosi wleady, gdy sądzi, że wiedzie go ono do szczęścia, inaczej by go nie znosił. Pojęcie piekła nie jest niczym innym, jak pojęciem wiecznego cierpienia, bez przejścia przez nie do radości.

Zamyślił się.

— Chrześcijaństwo radością jest i radość daje. Nie na to Chrystus zstąpił na ziemię, aby być umęczon, lecz na to, aby wznowić utracony związek ludzi z niebem, aby dać ziemi wyższe uczucia i dążenia. Ziemia Go nie przyjęła, odepchnęła i umęczyła. Był to jej grzech, nie zaś konieczność odkupienia. To, co Chrystus przyniósł ziemi, wyrazić można przez krzyż biały — symbol ofiary ducha. Krzyż biały, to dążenie ludzkości do spełnienia swego duchowego dążenia i swych duchowych celów w entuzjazmie i radości, bez udręki, ascetyzmu i ekspiacji.

Już pola rozbrzmiewały świągotem ptaków, i wielki wóz, zaprzężony w muły, ciągnął drogą. Przed oberżą stał Siodońkiewicz.

— Co to? Pułkownik już wstał? — zawołał Krzesławski.

— W moim wieku snu wiele nie potrzeba, ale wyście wstali jeszcze przede mną.

— Myśmy się prawie spać nie kładli.

— Nie trzeba się tu było zatrzymywać, trzeba by-

ło jechać dalej razem z tymi komediantami, jak mówiłem.

— I cóżbyśmy zrobili, gdybyśmy w nocy przybyli do Florencji?

— Znaleźlibyśmy lepsze albergo, niż to.

Wyprostował się służbiście, przepuszczając Mickiewicza do środka.

— O czym mówiliście z bratem Adamem?

— Ano tak, o różnych rzeczach.

— Gdybym wiedział, że spacerujecie, poszedłbym z wami. Wiele jest do rozważenia. Trzech nas tu tylko wojskowych — ja, brat i brat Geritz. Proponowałbym, abyśmy stanowili radę Legionu — pod przewodnictwem brata Adama naturalnie. Obmyślić trzeba komendę, mundury, żołd.

— Jeszcze czas.

— Kiedyż?

— Jak pułkownik Kamiński z Paryża do Mediolanu przybędzie. Wtedy dopiero będzie legion, przynajmniej jego początek. Kilkuset ludzi przyprowadzi, starych żołnierzy. Ja myślę nawet, że cała wojskowa emigracja do nas przystąpi.

Siodońkiewicz zasumował się.

— To pułkownik Kamiński naczelną komendę nad tą formacją by objął?

— A któżby?

— Nie oponuję, choć służbę i wiekiem jestem starszy.

— Komenda przypadnie z wyboru. Trudno zaś przypuszczać, żeby żołnierze emigranci wybrali innego, niż oficera emigranta, którego znają z listopadowej insurekcji i który ich z Paryża przyprowadzi.

— Ja też nie oponuję.

Zaczerwieniony z irytacji, wytarł głośno nos i spytał:

— W jakich brat byłeś bitwach?

— Pod Grochowem, pod Iganiami, pod Ostrołęką...

— A ja! Brat zresztą wiesz!

— Wiem.

— Więc, powiedz brat, co mi z tego?

— Ależ mój pułkownik, czy ja tu komendy rozdaję?

— Mnie o komendę nie chodzi.

— A o co?

— O sprawiedliwość. Ja bratu Adamowi głowy tym zaprzętać nie mogę, on ma idee za wysokie. Ale wy powinniście mu to przedłożyć.

Z izby wychodzili legioniści jeden po drugim.

Odurzeni jeszcze przyjęciem w Empoli, na wschodzący dzień patrzyli nowymi oczami. — Każdy z nich marzył o sławie, i każdego tęsknota artystyczna do realizowania życia wyobraźni ku legionowi popchnęła. Inny był Geritz. Ten, choć w mistyczne sprawy się mieszał, patrzył na rzecz po żołniersku i politycznie, łącząc się tym z konkretnym przez Mickiewicza jej ujmowaniem. Legion polski to rewolucja w słowiańskich krajach Austrii, to zagrodzenie Rosji drogi do Słowiańszczyzny, jak mówił Mickiewicz. Inaczej też patrzył Siodołkowicz. Stary i sterany żołnierz, po wielu latach w życiu pokojowym biedy i poniewierki, za tęsknił do lepszych czasów. Oficer profesjonalista. Łata i wyjście z ordynku przytępiły w nim dawne cnoty żołnierskie, ale nie stworzyły możliwości normalnego poza wojskiem życia. Wraciał na utracone stanowisko, myślał o randze i o żo dzie, i o wiernej służbie Ewangelii, jak wierną była kiedyś jego służba Napoleonowi. A tamci, choć rozumowali podobnie, jak Geritz, bo takie argumenty były im podane, lecieli ku życiu, wyzutomu z wszelkiej banalności i konwenansu, życiu o wielkich rzutach, zdolnemu przejawiać całe piękno człowieka.

Dyliżans zbliżał się do Florencji, gdy nagle dobiegł ich uszu szum już znany — jak w Empoli. Większy! Rósł radośnie w powietrzu przeczystym. I dyliżans stanął wśród setnych mas, mężczyzn, wyrzucających kapelusze, i kobiet, niosących kwiaty.

— Niech żyje Polska! Niech żyje Mickiewicz!

Wysiedli z dyliżansu.

— Onorate l'Altissimo Poeta!

Mickiewicz sponął. Słowa Danta z najcudniejszego poematu. Przeciśkały się ku niemu delegacje władz municypalnych, prasy, artystów i literatów.

Czar wiał od tego tłumy, co, jak rzeka, cicho po obu stronach płynął, miarkując każdy gest, nie wydając okrzyków. Kobiety, jak na obrazach florenckiej szkoły, stąpały z gracją niewypowiedzianą, z kwiatami w rękach, mężczyźni głowy mieli odkryte. Czasem róża, niepostrzeżenie rzucona, w powietrzu zakwitła i u nóg padła. Na czele pochodu paliły się w słońcu sztandary. Jeden wielki okrzyk na placu Katedralnym, nabitym tłumem, ścisł na ulicach, jak oko sięgło, wszystkie okna pełne i przybrane w kwiaty i barwy polskie i włoskie. Szpalerem szli do przeznaczonego sobie hotelu, i niebawem Miciewicz ukazał się na balkonie. Wtedy dopiero powitał go przeciągły, entuzjastyczny grzmot oklasków i okrzyki:

— Niech żyje Dante polski!

Dał ręką znak, że chce mówić, i stało się cicho, jak w kościele.

— Ludu toskański! Przyjaciele i bracia!

W płaszczu na ramionach, skurczonym jeszcze z drogi, z włosami srebrnymi, był jak natchniony pielgrzym, co z Bogiem długo obcował. Królewski majestat i potęga poezji były w tłum.

Mówił o Polsce, o zbrodni, na niej dokonanej, i jej Gulgocie.

„I była taka chwila, że się zdawało, jakoby Bóg oddał ziemię szatanowi, jej dawnemu panu, i zapomniano, że Pan nasz Jezus Chrystus zstąpił z niebios, aby przynieść ziemi wolność i pokój!...”

I mówił o Polski posłannictwie.

„Bo woła jest Boga, aby chrześcijaństwo w Polsce i przez Polskę stał się nie martwą literą prawa, ale prawem żywym państw i społeczeństw ucywilizowanych.”

Kończył:

„Wy, florentczycy, spełniliście dzisiaj akt chrze-

ścijańskiego braterstwa. Witając nas — obcych pielgrzymów — co bez broni jeszcze idą przeciw mocarzom ziemi, uczciliście to, co w nas jest nieśmiertelnego — naszą wiarę i nasz patriotyzm. Chodźmy podziękować Bogu!”

Ukazał się na placu, otoczony swoimi, i wśród kwiatów i szlandarów wszedł do kościoła, w mgnieniu oka wypełnionego po brzegi. Padł krzyżem, pochylono nad nim szlاندary. Księża wstępowali na stopnie ołtarza, intonując: „Niech będzie pochwalony Pan, który nawiedził i odkupił swój lud”.

VII.

Pałac Boratyńskich tonął w światłach. Na ulicy czekały tłumy, aby ujrzeć przybywającego Mickiewicza. Legioniści, prócz Geritza, byli już wszyscy. Największe koło tworzyło się koło Siodolkowicza. Błyszcząc gwiazdą legii honorowej, tłumaczył ciekawym swój plan kampanii z Austrią. Nie należy ograniczyć się do wypędzenia Austriaków z Lombardii, ale przejść ich granicę i pokój dyktować w Wiedniu.

— Jak to odrazu znać napoleońskiego oficera!

— Dobra szkoła!

— Był pan pułkownik z Bonapartem we Włoszech?

— Z Cesarzem? — poprawił.

— Jeszcze wówczas cesarzem nie był.

— Wstąpiłem do wojska, gdy już był cesarzem, w r. 1806. Miałem wówczas lat piętnaście.

Boratyńska przedstawiała jednego po drugim legionistów Karolowi Poniatowskiemu.

— Roźniecki?

I Poniatowski nachylił ucho, jakby coś sobie przypominając.

Roźniecki zaczerwienił się. Wszedł do mickiewiczowskiego zastępu, aby zmyć hanbę ojca, rosyjskiego generała.

- Tak, syn generała Roźnieckiego — rzekł hardo.
- Ach, tak! C h a r m e . . .
- Pan Rubincondi? Ależ pan jest Włochem!
- Tyle, ile Polakiem; matka moja Polka.

Zieliński zapatrzył się w panią Keller. Niemka, zdumiewająco piękna, przebywała z mężem we Florencji.

Wraz z malarzem Karolem Finckiem, też znajdującym się w salonie, brali udział we wszystkich manifestacjach na cześć Mickiewicza. Poza nimi cudzoziemców było mało. Sami Włosi, wszystkie nazwiska ze świata artystycznego, literackiego i politycznego Florencji.

— Piękna? — zagadnął Zielińskiego Boratyński i, ująwszy go pod ramię, rzekł: — Przedstawię pana.

Ksiądz Lambruschini wypytywał Marconiego, jak odbyło się błogosławieństwo legionowego sztandaru. Lambruschini we Florencji miał tę siawę, jaką ksiądz Lamennais na świecie.

Przez salon przepływały fale głów, porywających oczy kobiet, głosy z przyległych pokojów mieszały się z gwarem ogólnym.

Krzesałowski nie przerywał swej rozmowy z Traversim. Republikanin i socjalista, Leopold Traversi musiał już raz opuścić Toskanię. Zaznał chleba emigranckiego. Mieszkał na prowincji francuskiej, ostatnio w Paryżu. We francuskim prowincjonalnym mieście znał polskich emigrantów.

- Kogo? — spytał Krzesałowski.
- Państwa Czerlińskich.
- Czerlińskich?
- Pan ich zna?

Krzesałowski miał już odpowiedzieć, że zna ich bardzo dobrze, gdy nagle zawahał się i rzekł wymijająco:

- Prawie wszystkich Polaków znam w Paryżu.
- Oni teraz są w Paryżu?
- Tak.

— Spełniły się marzenia pani Czerlińskiej, tak pragnęła opuścić prowincję.

I Traversi urwał.

— Ona swego męża poznała dopiero we Francji? Prawda? — spytał po chwili.

— Prawdopodobnie. Na emigrację przybyła z rodzicami, jako bardzo młoda dziewczyna.

— A pan ją może zna z Warszawy?

— Nie.

— Ani jego?

— Jego znałem w Warszawie.

— Czy prawda, że on brał żywy udział w waszej rewolucji?

— Czy żywy, nie wiem, musiał jednak się skompromitować, skoro emigrant.

— Z tego, co mi opowiadał, wynikałoby, że brał bardzo żywy. Mnie to trochę nawet dziwiło, bo nie wygląda na burzyciela porządku społecznego — uśmiechnął się. — Ale prawda, że w pewnych chwilach ogólna emocja porywa nawet tych, co nigdy się nie emocjonują. Gdy silny wiatr wieje, to i opadłe liście unosi w górę. Miły zresztą człowiek.

Krzesławskiego tknęło, że Traversi chce mówić o Czerlińskiej i że trudno mu zacząć.

— Pan, widzę, znał ich doskonale — rzekł.

— Owszem, było nas tylko troje emigrantów w tym miasteczku — to do siebie zbliża. Ona osoba inteligentna. Pan jej prędko nie zobaczy?

— Cóż można wiedzieć? Wojna!

— Niech żyje Mickiewicz!!! — rozległo się za oknami.

— Mickiewicz przyjechał — rzekł żywo Traversi. — Gdyby ją pan zobaczył, niech pan powie, że spotkał pan jej dobrego i dawnego przyjaciela i że dał mu pan szczęśliwą chwilę rozmowy o niej.

Cisnięto się do okien, Boratyńscy śpieszyli ku wejściu. Mickiewicz wchodził z Geritzem w tej samej odzieży, jaką miał podczas drogi — w jasno-brązowym długim surducie, opadającym na szaro - niebie-

skie spodnie, w ciemno – niebieskim płaszczu, spiętym pod szyją kłamrą, wyobrażającą lwia głowę. Wysoki kapelusz i laskę trzymał w ręku.

Traversi znał ją tak dobrze. Ostatnie słowa mogły być dwornym komplementem, a mogły być także czym innym. Krzesławski miał wrażenie, że właśnie by y czym innym. Wrażenie przemieniło się w pewność. Naturalnie. Mając takiego męża, mogła była ulec temu Włochowi. No więc cóż? Jej prawo. Człowiek jest wolny, człowiek nie jest własnością drugiego człowieka. Lecz prawda ta, tak długo w przeżyciach jego wyrabiana, stała się nagle pustym frazesem. Nie był w jej życiu pierwszy i nie będzie ostatni. Nie będzie ostatni. Może już teraz jest koło niej ktoś inny, człowiek mniej „uczciwy”. Ten Francuz, którego poznała podczas paryskich zaburzeń. Nie wspomniałaby o nim, gdyby jej nie obszedł. Chciwa jest wrażeń i żadna mi ości. Za jakiego durnia musiała go mieć, gdy nie śmiał nawet mówić o swoim uczuciu. Udawała, że jest mu za to wdzięczna — taktyka instynktu. Bo nie był pierwszy i nie będzie ostatni. Szukał Traversiego oczami po salonie. Chciał wiedzieć. Miał taki wstręt do wdzierania się w tę tajemnicę, jak do otworzenia cudzego listu — i chciał wiedzieć. Skąd te podejrzenia? Cóż dziwnego, że Traversi ją znał, że o nią pytał? Dziwnego nic, ale... Ale on nie był jej pewny. Teraz o tym się przekonał. Mimo czci dla niej, mimo idealizowania jej duchowego obrazu, nie był jej pewny. Więc czyż naprawdę zmieniliby się coś w stosunku jego do niej, gdyby z Traversim by o tak, jak przypuszczał? Nie. Nie zmieniliby się nic, bo nie jest upadkiem namiętność i uczucie — tylko jest poniżeniem postawienie na miejscu namiętności i uczucia obowiązku i cnoty. Nie zmieniliby się więc nic, tylko nie by pewny, że jest ostatni. Lecił do niej myślą. Gdyby odgadła, z kim o niej teraz mówił. Nie powie jej nigdy. Rozglądając się po salonie, zobaczył Zielńskiego przy pani Keller. Rozśmieszy'a go jego mi-na wniebowzięła, i zdjęła ironia do siebie samego.

Czy nie wyglądał podobnie przy Czerlińskiej? Stał z boku i uważnie przyglądał się Kellerowej. Uroczą Niemka siedziała oparta o poręcz fotelu, z głową pochyloną, zasluchana. Przez oczy niebieskie, jak morze, to płynęła mgła, to skrzy y się światłem, a śliczne usta były zimne, jak marmur — nie mówiły nic. Co ten smarkacz jej prawi? Przybliżył się i stanął prawie za fotelem, gdy podszedł do niego szybko Borałyński.

— Pan taki sam!

— Bynajmniej.

— Pozostawiłem Mickiewicza samego z Poniałowskim. To przyszy król polski.

— Mickiewicz?

— Doskonale pan zagadnął.

— Ja spytałem serio.

— I może z racją. Gdyby była elekcja, na Mickiewicza z pewnością bym głosował, ale że elekcji nie będzie, a racje polityczne pozostaną, więc książe Karol będzie pretendentem.

— Widzę, nowe stronnictwo monarchiczne we Florencji się formuje, bo w Paryżu jest nim Czartoryski.

— Książe Poniałowski bliższy krwią ostatniego króla.

— To wystarcza?

— Niechże pan nie sądzi, że za nim agituje, ale wszystko być może.

— Tylko nie to.

— Dlaczego?

— Bo przeszłość nie zmartwychwstaje, świat idzie naprzód, a rewolucja nie po to jest, aby się cofać. Niechże pan patrzy, pański kandydat będzie nam grał.

Poniałowski usiadł przy fortepianie, uderzył w klawisze i pięknym barytonem śpiewać począł Don Giovanni Mozarta.

— Na prośbę Adama — szepnął do ucha Krzesławskiemu Geritz.

W tej chwili Krzesławski spostrzegł Traversiego.

Spiew zatrzymał go w przejściu przez salon, i stanął tuż przy nim. Słuchał z tym wyrazem, jaki budzą wspomnienia.

— A pan wie — rzekł, gdy zamilkły oklaski — że Mozart to ulubiona muzyka pani Czerlińskiej?

— Nie wiedziałem — odparł Krzesławski.

— Tak, grałem go jej często. Kiedy pan ją widział ostatni raz? — spytał i pociągnął go w róg salonu.

Z zadawanych sobie pytań Krzesławski coraz bardziej utrwał się w przekonaniu, że stosunek między Traversim a nią przekroczył zwykle granice, przyjaźnią zakreślone. Czy trwał w dalszym ciągu? Traversi wiadomości od niej nie miał, nie wiedział nawet, że opuściła powincję i zamieszkała w Paryżu. Nastąpiło przeto zerwanie. Odsunęła się prawdopodobnie ona, bo w nim dotychczas znać było sentyment.

— Polki — mówił Traversi — mają jakby instynktowną świadomość istnienia zjawisk, znajdujących się poza rzeczywistością, co rodzi w nich ciągłą tęsknotę. Nie zdają sobie sprawy z tego instynktu, nie wiedzą, skąd tęsknota ich płynie, często nie wiedzą, że ona w nich jest, a jednak bardzo jest określona i sprawia, że samą rzeczywistość ujmują inaczej, niż np. Włoszki lub Francuzki. To też Włoszka czy Francuzka o wyższym typie moralnym, o typie zdolnym do budowania ideału, jest w życiu czynnikiem harmonizującym abstrakcję z rzeczywistością, przez to niesłuchanie kojącym, posiadającym balsamiczne własności. Takie własności balsamiczne, taką zdolność kojenia — u was może mieć chyba tylko kobieta polspolita. Bo u Polki ideał wytwarza się poza rzeczywistością — czasem się nie wytwarza, ale jest, jest, choć nieznany, choć nie wie się, że istnieje. Niechybny dowodem jego istnienia jest ta tęsknota, o której mówię, i ona w locie do niego rozbija ciągle rzeczywistość, którą nasza kobieta swoim ideałem uzupełnia i rozbudowuje. Włoszka czy Francuzka zostanie w pustce duchowej, gdy mieć nie będzie robotki, do-

mu, rodziny, kwiatów, obrazów itd. wzwyż, — Polka, mając to wszystko, będzie w pustce, jeśli tworzyć nie będzie życia według potrzeb i praw swojej tęsknoty. Ja doskonale wiem, co w mojej rodaczce jest cnotą, a co grzechem, a w Polce nie wiem, choć przejaw życiowy może być ten sam.

— Pani Czerlińska ma w sobie to poczucie rzeczywistości, o którym pan mówi, kocha życie takim, jakie jest.

Traversi wstrząsnął głową.

— Nieprawda! — rzekł — nieprawda!

Ja wiem — mówił dalej żywo — mogą być w niej pozory, upoważniające do tego krytycyzmu, bo w ustach pana określenie kogoś jako miłującego życie takim, jakie jest, jest krytycyzmem; ale to są tylko pozory. Pani Czerlińska wzrosła, wychowała się i formalnie przyjęła inną sferę pojęciową i uczuciową, niż, dajmy na to, pan i ja, wobec tego broni jej przed nami.

— I przez przywiązanie do męża.

— Nie.

— Nie jest przywiązana do męża?

— Tego nie powiedziałem. Naturalnie, że jest — dlaczegożby nie miała być? Ale widzi pan, mąż w życiu kobiety ma rolę albo bardzo wielką, albo nie ma jej wcale. Nie sądzę, aby ten człowiek, bardzo zresztą zacyjny, miał w jej życiu wielką rolę.

— Przeto nie ma żadnej?

— Raczej. Nie przez przywiązanie przeto do męża wytwarzają się owe pozory solidarności ze swoją sferą uczuciową i pojęciową, ale przez dumę. Duma jej każe mówić — to, w czym ja żyję, to, co mnie otacza, nie jest mniej warte, niż to, co jest wasze, więcej jest nawet warte, ale tęsknota pcha ją gdzie indziej, i Bóg wie, gdzie ją popchnie.

— O czym pan myśli?

Traversi spojrział po sali, po światłach i po ludziach.

— Ja dla pani Czerlińskiej miałem gorącą przy-

jażn i mam ją zawsze — rzekł. — Wiem, że ma oczy otwarte, ale broni siebie przed swoim własnym wzrokiem. Broni się tak, że odepchnie każdego, kto osądziłby przed nią to, co ona już sama osądziła. Człowiek odrywa się z trudem od tego, do czego przywarł, lub co do niego przywarło. Przecież i z ciała gdy strup się odrywa, to boli. Ale strupem tym nŕe jest mąż, jak pan myślał. Ach, gdyby on nim był, to sprawa byłaby łatwa, obyłoby się bez bólu. Tym strupem jest wszystko, wymagania, stawiane sobie i innym, poglądy, przyzwyczajenia, w które długi czas wkładało się uczucie. Uczucia już nie ma, odeszło, było mu tam źle, lecz duma, duma polskich kobiet nie pozwala do tego się przyznać, nie pozwala abdykować, boi się obudzenia litości — rozumie pan?

Krzesławski się zamyślił. Nie wiedział, jak prowadzić rozmowę, aby wyjaśnić sobie istotny stosunek Czerlińskiej do męża, który, zdawało się mu, Traversi znał dobrze, wreszcie zapytał wprost:

— Więc jakże to, według pana, się stało, że ona go poślubiła. Musiało być przywiązanie.

— Dlaczego?

— Nie było chyba innych powodów.

— Ja z panią Czerlińską nigdy o tym nie mówiłem, nie mogłem mówić. Ale z nieuchwytnych spostrzeżeń, słów nieobliczonych mogę wiele sobie odtworzyć. Przede wszystkim była młoda i musiała być rozbudzona. W dziewczynach w tym wieku uczucie jest bezprzedmiotowe, jest w nich miłość bez obiektu, pada na taki obiekt, na jaki przypadek je zaniesie. Trafi dobrze, to dobrze, trafi źle, to przychodzą głębokie, tragiczne rozczarowania. Słowem, bo na to pytanie chciałem panu odpowiedzieć, przywiązanie nie jest konieczne. Byłoby, gdyby obiekt obudził uczucie, nie ma go, gdy uczucie poprzedza poznanie obiektu. Może przyjść później, naturalnie. Mówi się dużo o perfidii kobiet; niech mi pan wierzy, mężczyźni są perfidniejsi. Na sto przypadków dziewięćdziesiąt dziewięć kobiet jest oszukanych. Perfidni są tak inteli-

gentni, jak głupi, tak dużo wari, jak nieponie. Otóż jeżeli taki perfidny niepoń chce skorzystać ze stanu uczuciowego młodej dziewczyny lub kobiety, to skorzystać potrafi. Od jego temperamentu i inteligencji zależy, co z siebie robi. Albo wybada jej marzenia i umodeluje się według nich, albo zagra na innych strunach, bo strun jest dużo.

— Czerliński nie jest perfidny.

— Nie? Tak pan myśli? — Traversi roześmiał się. — Zresztą on nas nie obchodzi, nie mówmy, dlaczego się on ożenił, tylko dlaczego ona go poślubiła. Umiał stać się obiektem jej uczucia. Miał oczywiście jakieś racje pozytywne.

— Zakochał się.

— Niewątpliwie. Tylko on należy do tego gatunku ludzi, który nie umie zakochać się, ani w ogóle wzbudzić w sobie jakichkolwiek uczuć bez racji pozytywnych.

— Jeżeli pan myśli, że chodziło mu o posag, to pan się myli. Skąd? Córka emigrantów!

— Ja nie nie myślę, twierdzę tylko, że on należy do tego gatunku ludzi, którzy nie mogą wzbudzić w sobie żadnego uczucia bez racji pozytywnych. Gdy istnieją racje pozytywne, najczęściej pieniężne, to kochają się nawet na zabój. Więc się zakochał. W pióropusze się nie stroił, padł jej odrazu do nóg całym ciałem, plackiem, to najbardziej w jego charakterze leżało, i tym zdobył kobietę pyszną. Pan nie sądzi? Zeby zaś ją do siebie przywiązać, oddał się jej w opiekę, powierzył jej siebie. Ja wciąż obserwowałem tę przez niego wywieraną sugestię, że bez niej moralnie zmarniałby. Dobrze — co? Pan tego nie nazywa perfidią? Prawda, że w tej perfidii jest i niejaka naiwność. Obowiązek opieki się spełnia, ale wyswobadza się z niego bez bólu.

— Zabawne było — zmienił nagle ton i mówił poufale, jakby znał Krzesławskiego kopę lat — widzieć go przy żonie i bez żony. Ona miała go za baranka o bielutkiej wełnie i nie wiedziała, jakie tam

łaily się kleszcze. Nie tylko nie był niewinny, ale skorumpowany, powiedziałbym — robaczywy. Nie zdradzał jej — co znowu! — nie miał na to odwagi, ani inicjatywy. Zresztą nie potrzebował, wystarczały mu swoistego rodzaju rozkosze wyobraźni. Ją też czynił przedmiotem swych rozmów. Nie ubliżając jej — o ile można w takich razach nie ubliżać, ale... — przewał. — Nikogo nie ma już w salonie, a myśmy tego nawet nie spostrzegli.

Istotnie, salon pustoszał, wszyscy śpieszyli do ogrodu. Tam, pośrodku stały oparte o drzewa karabiny, zawieszono ładownice, pasy żołnierskie i mundury granatowe, z krzyżem z białego sukna, przyszytym po lewej stronie na piersiach.

— Dar Boratyńskich — objaśnił Krzesławskiego Zieliński.

Krzesławski się zachnął, uczyniło mu się bardzo nie miło, spojrzął po legionistach, żaden z nich tego co on, wrażenia nie miał, stali wzruszeni, wzruszony był i Mickiewicz. Boratyński w imieniu swoim i swojej żony w słowach prostych prosił o przyjęcie broni i mundurów, i Boratyńska, mając łzy w oczach, podszła z szablą do Siodońkowicza. Wtedy Krzesławski cofnął się i skrył w tłumie. Bał się, aby jemu nie wręczyła karabinu, wstyd mu było na oczach wszystkich odbywać tę ceremonię. Był zły straszliwie. Po raz pierwszy był rozdrażniony na Mickiewicza. Nie powinien był na to pozwolić. Poeta! Żołnierz bierze karabin po prostu, bez takich namaszczeń... wdziewa mundur zwykły, nie podaje się za apostoła. Munduru tego nie włoży. Ze stanowiska oficera wzruszył ramionami. Białe krzyże, przyszyły na samym sercu, jakby cel. Poza tym — symbol to z nauki Towiańskiego, a on nie był tej nauki wyznawcą.

Wracano do pałacu. Zieliński znowu się znalazł obok Kellerowej, Siodońkowicz opowiadał Poniatowskiemu o jego kuzynie, księżcu Józefie, którego był jednym z adiutantów. Roznoszono wina i lody.

— Panie — rzekła Boratyńska do Mickiewicza —

nie opuści pan tego domu, nie zostawiwszy w nim swego słowa.

Zgodził się i poszedł z nią do jednego z oddalonych pokojów. Na stole płonęły świece, leżał przygotowany biały pergamin i złote pióro. Boratyńska stanęła opodal. Wysoka, w białej sukni, z żółtą różą przy gorsie, z wysokim upięciem jasnych włosów, była jak wróżka tego wspaniałego pałacu.

Pisał:

„Biada temu, kto nie dzieliłby cierpień milionów, a większa jeszcze temu, kto nie dzieliłby ich radości i nie dziękował Bogu za ulgę, sprawioną milionom jego bliźnich.”

Nie śmiała przeczytać w jego obecności podanego sobie pisma.

— Panie — rzekła — ja z krwi nie jestem Polką, poetą mego narodu był Byron. Walczył o wolność Grecji i marzenie jego się spełniło: Grecja jest wolna. Florencja to miasto Danta — Włochy stają się wolne, jak pragnął. Zyjemy w czasie, gdy łaska Boża czuwa nad poezją, gdy ziszcza się to, do czego dążyli poeci, gdy okazuje się, że w czynie siła jest wówczas, skoro on poprzednio przeszedł przez marzenie.

Mickiewicz się wyprostował, przez oczy mu przeszła chmura.

— I Dante, i Byron umarli nie na swojej ziemi. Idea ich zwyciężyła, lecz oni zwycięstwa nie ujrzeli, obydwaj umarli nie na swojej ziemi. Niech pani nie przeczy — wstrzymał ją gestem — niech pani już nic do swoich słów nie dodaje. Przyjmuję z nich, że idea nasza zwycięża.

A Krzesławski natarł na Geritza.

— Czyjego pomysłu są te mundury?

— Pomysłu Adama.

— Jemu się nie dziwię. Żołnierskiego rozumienia rzeczy nie ma, nie wie, co to jest obóz i koszary. Jeśli formacja Legonu dojdzie do skutku, z różnych elementów będzie się składała, nie tylko z takich, które krzyż biały nosić będą. Emigrację to odstraszy, ochot-

ników nie będzie. Iluż was było koło Towiańskiego? A ilu było przeciwko wam? Myślisz, że ci, którzy go zwalczali, godło jego zechcą przyjmować?

— To nie jest godło Towiańskiego — odparł Geritz.

— A czyjeż?

— Symbol ofiary ducha.

— Dajżeż spokój! Żołnierzom będziesz teologię tłumaczył, mistykę będziesz im wykladał. Wy to rozumiecie, lecz spytaj choćby Siodońkiewicza. Spytaj, co to symbol i co to ofiara z ducha.

— Siodońkiewicz, jeżeli nie pojmuje umysłem, to pojmuje czuciem.

Krzesański przygryzł wargi.

— Siodońkiewicz i czuciem i umysłem pojmuje jedno, że należy się mu komenda Legionu. Dla komendy każdą odznakę przyjmie, jaką mu dacie, tak biały krzyż, jak każdą inną. Z waszego nawet punktu widzenia czynić tego nie należy.

— Powiedz to Adamowi — rzekł Geritz, wskazując na Mickiewicza, wchodzącego z Boratyńską na salę.

— Powiem.

— Panie Adamie, czy te mundury są już ostateczne?

— Masz co przeciw nim? — spytał z niepokojem Mickiewicz. — Niedobre?

— Mundur, jak mundur, taki czy inny, wszystko jedno. Ale ten krzyż... ten biały krzyż należy odpruć.

— Krzyż odpruć?!

— Nie jesteśmy legionem apostołów. Ja w ten sposób odznaczać się nie chcę, munduru takiego nie w'ozę. Krzyż mogę nosić w sercu, ale nie na sercu! — mówił gwałtownie. — Przy tym krzyż ten oznacza naukę, której ja nie przyjąłem.

Mickiewicz stał się purpurowy.

— Krzyża nie chcesz! Oznaki krzyża się wstydzisz!

— Nie wstydzę się...

— Wstydzisz się! Więc idź precz! Nie jesteś między nami!

Odrzącił go wzburzony i poszedł w głąb salonu.

Krzesławski opuszczał sztandar, był pierwszym dezertorem... Ideę realizacji chrześcijaństwa w życiu społecznym i politycznym mierzył łokciem z politycznego kramiku. Człowiek mały! A było w nim coś, co ludziło, co kazało mniemać, że może brać udział w tworzeniu nowego życia. Tymczasem zwykły to doktryner emigracyjny, należący do starego świata, z instynktu nienawidzący świata nowego. Renowacja socjalna! Tak! Lecz jaka ona będzie, gdy zatruje się ją tym jadem, w którym toną fundamenty, mające być odnowionymi? Ci ludzie zburzą wszystko, każdy ustrój i każdą instytucję w imię idei humanitarnych, w imię równości, wolności i braterstwa, ale przeciw nienawiści nie wystąpią, nienawiści ze stosunków ludzkich nie usuną, choć przy jej panowaniu ani wolności, ani równości, ani braterstwa być nie może.

— Monarchia czy republika, socjalizm czy własność prywatna — wszystko jedno — jeśli energia je ożywiająca jest ta sama, jeśli ten sam duch przewodzi ludzkiej powszechności. Cóż to za ludzie nowi, gdy ducha swego z najstarszego grzechu nienawiści wyswobodzić nie potrafią? My idziemy z krzyżem przeciw Austrii, która jest zaprzeczeniem krzyża, niesiemy go widocznie, aby lud słowiański — chrześcijański z ducha — pojął i ujrzał, dlaczego z Austrią walczymy, a on nieść go nie chce, bo mu do munduru nie pasuje! — Krzyż ten trzeba odpruć — powiedział. — Niechże idzie precz! Wygnałem go i wygnam tak każdego, kto przyjdzie do nas tylko dla boju, tylko przez nienawiść do tego, co jest, a bez miłości do tego, co się rodzi i co będzie!

Legioniści w pierwszej chwili chcieli udać się do Krzesławskiego tłumnie, skruszyć go, przekonać, porwać za sobą. Teraz, po słowach Mickiewicza, wyrzekli się tego zamiaru. Niechaj odejdzie!

Opuszczali nazajutrz Florencję w drodze do Lom-

bardii. Odziani byli w mundury, z białym krzyżem na piersiach, rozwinęli sztandar legionu. Krzesławski patrzył na nich z tłumu. Ogarnął go smutek rozłąki ze złudzeniem. Przez złudzenie tylko był z nimi. Zalu do Mickiewicza nie czuł, ale obce stało się mu wszystko, co on wyobrażał, i on sam.

VIII.

Wanda Czerlińska od czasu zaburzeń paryskich wiedziała, że dokonał się w niej głęboki przewrót, ale z jego istoty nie mogła zdać sobie sprawy. Nie była nim zmiana poglądów. Wychowana w czci dla Adama Czartoryskiego, w nienawiści dla dni sierpniowych i Towarzystwa Demokratycznego — ojciec jej jeszcze przed śmiercią z zaciętością starego emigranta obwiniał demokrację o zgubę kraju — miała odrazę do rewolucyjnych poruszeń ludowych. Po matce, także już nie żyjącej, która przed insurekcją była ozdobą salonów warszawskich i, jak mówiono, zwróciła na siebie uwagę Aleksandra I, odziedziczyła zamiłowanie do elegancji, do form delikatnych, wstręt do rozpasania i do wszelkich przejawów brutalnych. Poglądy, oparte na tradycji i przyzwyczajeniach, a także na wysokim rodzaju towarzyskiego gustu, nie zachwiały się i harmonia ich naruszona nie została. Niepojęte było, że dała porwać się uniesieniu, skąpać się w szale ulicznej burzy, że napisała tak do Krzesławskiego. Lekki wstyd ją przejmował, gdy myślała o tym, a jednocześnie poilo ją rozkoszą samo wspomnienie tych chwil, rozkoszą, nigdy dotąd niedoznaną. Dusza, wyrwana z wszelkich więzów, stała się sama sobą. Przestały grzać ją i fałszować swym odbłaskiem jej własne odbicia, w cudzych znajdujące się źrenicach, gasło jej życie poza nią, czyniące, że jakby nie jedna była, ale wielorakim, mnożącym się wciąż istnieniem. Stała się sama sobą, jedną i prawdziwą. Rozkosz i jednoczesna męka to ten powrót w siebie

i to oderwanie od swoich przejawów nieprawych. Konieczność duchowa i pragnienie takich chwil powodem jest szaleńcza walka, natchnień twórczości, religijnych ekstaz i miłosnych uniesień. Wszystkie rodzą się z jednej psychicznej potrzeby, a zwane zapomnieniem, są jedynie niepamięcią zewnętrzną i najwyższą świadomością samoistnienia.

— Krzesławski ma rację, prawda w wolności jest — myślała.

W dniu wybuchu rewolucji była wolna. Wolny był każdy jej gest i każde słowo, rodzące się nie na urobionym łożysku przyzwyczajęń, nałogów i konwensów, ale w łonie jej duchowej istoty, przez to zawierające treść jej własną i przez to jedynie prawdziwe. W tym wolnym poruszeniu pisała do Krzesławskiego tak, jak nie napisałaby przedtem ani potem. Wracając do dawnego rytmu życia, zawstydzona była swoim porywem, w owych zaś chwilach niesfałszowanych własnych przejawów wstydziliby się swej urobionej formy duchowej. I tak jest zawsze. Każdy człowiek ma swoją kukłę — nieliczne tylko jednostki, na szczytach rozwoju duchowego się znajdujące, jej nie mają — i każda kukła ma swojego człowieka. Kukła utworzona jest z tych samych elementów duchowych, lecz tak poprzestawianych i połączonych, aby całość stała się kłamana i podlegała wpływom wprowadzonych do niej elementów obcych, w człowieku elementy duchowe znajdują się w układzie naturalnym, dając przez to całość prawdziwą, i obcych elementów nie dopuszczają. Kukła wstydzi się swojego człowieka, człowiek wstydzi się swojej kukły; prawda wstydzi się kłamstwa, kłamstwo wstydzi się prawdy. Panowanie kukły nad człowiekiem jest tym, czym byłoby panowanie błazna nad monarchią, a jednak kukła panuje, kukła jest panią i królową. Z niej płynie wszelkie kłamstwo indywidualne i społeczne, wszelka nieprawość i wszelka niecnota. Zbrodni w niej nie ma, są tylko grzeszki plugawe, i cnot w niej nie ma, są tylko cnotki. Człowiek przeciw swej kukle

buntuje się jedynie w chwilach uniesień i wzburzeń namiętności, i w chwilach wzburzeń społecznych, ona uciska go co dzień. Gdy on na chwilę zwycięża, łączy pieśń swoją z pieśnią żywiołu, ona ciągle piszczy i nuci według nut sobie podanych.

Czerlińska przeszła przez doświadczenie wewnętrzne zwycięstwa człowieka nad kukłą, i chociaż teraz szła znowu trybem ustalonych przyzwyczajzeń, tęskniła do stanu, kiedy one dla niej na chwilę istnieć przestały. Z tęsknoty powstawało marzenie, tworzące obraz innej rzeczywistości, i do jej spełnienia nowa rodziła się tęsknota. Tęsknota taka — siła twórcza — idzie drogą wiasną i, czy zgodnie z wolą czy na przekór woli, czy w harmonii z poczuciami obowiązku i sumienia, czy przeciw nim, wytwarza i układa warunki życia, posłuszna jedynie marzeniu, które ją zrodziło. Czerlińska drżała z przerażenia, czując, do czego ona ją wiedzie, i z upojeniem jej się poddawała.

W powietrzu pachniało wiosną, na ulicach sprzedawano pęki białego bzu i bukieciki fiołków, wesołość widniała w oczach, i nikt, przechadzając się po Paryżu, nie poznałby, że ludzi on swym wyglądem, że wrze we wnętrzu nową burzą. Nie zmieniło się nic: nie było króla, był Lamartine. Entuzjazmowało się do tego poety, zasiadającego na fotelu prezydenta rządu tymczasowego, mieszczaństwo liberalne, przekonane, że nikt tak rewolucji nie ulagodzi, nie skokietuje i nie okpi. Piewcã duchowych podniosłości czcił piękno demokratycznego postępu, wielkość idei humanitarnych i kosmopolitycznych, braterstwo ludzi i braterstwo ludów — i to go teraz poniosło na najwyższe we Francji stanowisko. Na nim zaś myślał, aby idee te nie zakłóciły spokoju i pozostały na swoim miejscu. „Wszystko jest piękne i wielkie, co jest na swoim miejscu” — w poezji już swojej rzekł. Umiał mówić do każdego, słowo miał barwne i aromatyczne, szlachetne i kuszące, i prezencję przepyszną, ożywioną przekonaniem o swej wielkości. „Większy je-

stem, niż Cezar i niż Napoleon" — zawołał, dowiedziawszy się o ilości otrzymanych głosów. Był popularny i był w modzie. Zaden z Burbonów ani Orleanów nie wypełniał tak sobą po brzegi Paryża, jak on... „Lamartine” było na wszystkich ustach, zachwytył wzniecał każdy jego gest, każda mowa publiczna. Poślawą swoją i polityką budził zaufanie, że, unikając walki z europejską reakcją, w niczym na szwank nie wystawi znaczenia, jakie Francja przez swą ideę wolności miała na świecie. Wolność stawiała się rodzajem *s a v o i r v i v r e'* u Francji, towarzyską w życiu międzynarodowym jej manierą, i tę należało zachować, lecz nie można było z tego powodu prowadzić walki o wolność Polski czy Włoch. Lamartine miał doskonałą francuską manierę międzynarodową, precudnie kwiatami słowa wieńczył idee liberalne i wyciągał je w stronę Wiednia i Petersburga z ukrytym uśmiechem, że przecież nie trują. Miał takt.

Czerliński go ubóstwiał. Wybuch rewolucji nie tylko nie zachwiał jego urzędniczego stanowiska, lecz przeciwnie umocnił je. Pozycja polskich emigrantów lepsza stała się, niż kiedykolwiek, nikt bowiem nie wiedział, jak ułożą się losy Europy, czy wielu z nich roli politycznej nie odegra i do wielkiego nie dojdzie znaczenia. Znakomici polscy jenerałowie wyjeżdżali do Węgier dla walki z Austrią, ks. Czartoryski wchodził w układy z rządami, Adam Mickiewicz tworzył legion we Włoszech. Co znaczniejsi emigranci ruszali w świat, na tych, którzy zostali, patrzono przychylnie, tym bardziej, że w sferach ludowych popularność ich rosła. I tak się jakoś stało, że Czerliński zwrócił na siebie uwagę zwierzchników i że otworzyła się przed nim kariera. I wtedy ten człowiek, który dotychczas pragnął jedynie stałej pensji, dającej pewne utrzymanie, mieszkanie wygodne i jaki taki dostęp do przyjemności paryskich, roznamiętnił się i rozgorzał. Odżyły w nim utracone nadzieje, obudził się duży apetyt do życia.

Dwa razy już łamała się mu kariera. Na urzędzie

w Komisji Oświecenia, podczas Królestwa Kongresowego, mógł, przechodząc szczebel po szczeblu, zająć w hierarchii miejsce okazałe; gdyby powstanie listopadowe zwycięstwem się skończyło, potrafiłby awansować jeszcze szybciej. Obydwie sytuacje zostały przebrane. Mieniając się umysłem pozytywnym, wiedział, że we Francji nie ponad to, co osiągnął, osiągnąć nie zdoła, wyrzekł się przeto tych pragnień, których przed udaniem się na emigrację mu nie brakło. Wiedział, jakie w nowym jego położeniu może być maximum zadowolenia, i maximum to posiadał. Przez żonę opanowany wprawdzie został zupełnie, ale się nie bunłował. Na ogół kobieta panuje nad mężczyzną indywidualnie, gdy zaś zostaje matką, on zaczyna nad nią panować społecznie.

Czerlińscy nie mieli dzieci. Małżeństwo to długo było przedmiotem emigracyjnych rozmów. Starano się odgadnąć, co skłoniło pannę, która zwracała na siebie oczy doborowej polskiej młodzieży, do poślubienia człowieka tak przeciętnego. Wokół roilo się od ludzi nie bylejakich, a ona najbardziej bylejakiego wybrała. Przypuszczano rzeczy różne, nie odgadując najprawdopodobniejszej, że to właśnie sprawiła jego bylejakosć; w chwili dojrzewania jej uczuć jej instynkt wolności strzegł ją od połączenia się z kimś, kogo naprawdę zostałaby żoną. Nie wiedziała o tym tak, jak gąsienica nie wie, dlaczego na listku przybiera zieloną barwę. Instynkt psychiczny, ochraniając ukryte siły i dążenia, potrafi same uczucia okłamać i nakierować tak, aby tych sił nie zgniotły i tym dążeniom w poprzek nie stanęły. W człowieku odbywa się walka jemu samemu nieznana, walka sił psychicznych o swój byt, prowadzona z taką przebiegłością i finezją, na jaką nie stać walki, toczącej się świadomie. Instynkt ów wkłamał w nią uczucie przywiązania do Czerlińskiego, a gdy dążenie do indywidualnej wolności stało się dość silne, gdy samodzielność w samym pożyciu z mężem tak się skryształizowała, że cudza indywidualność nie mogła jej zagrozić, prze-

stał kłam podtrzymywać. Czerliński coraz bardziej jej obojętniał, coraz bardziej nudził, prawdziwe zaś, niczym niespowiite uczucia zapragnęły miłości i wyciągały się w kierunku charakterów niepospolitych, indywidualności silnych, tak samo lecących swoim pędem, ale już nie grożących jej złamaniem. Na tę jednak nową fazę wywierał ucisk intelekt, konserwujący wszystkie poglądy, do dawnego stanu należące. On sprawił, że na samym progu rozeszła się z Traversim. lecz cofnął swoje straże przed następującym uczuciem dla Krzesławskiego. Krzesławski przejął Czerlińskiego niepokojem. Nie pokazał tego po sobie, rozmowy o tym podjąćby się nie ośmielił, lecz nieopstrzeżenie szpiegował ich stosunek i coraz mocniej upewniał się, że się nie myli. Przyszło mu do głowy, że może ją stracić. Struchlał. Byłoby to dla niego kłeską, a ponadto nieznośnym upokorzeniem. Gdyby umiała, byłby ją przebolewał, lecz żywej nie mógł utracić, i gdyby w tak niemożliwy sposób ułożyły się okoliczności, że przykułby ją do siebie, życie jej ryzykując, zaryzykowałby je bez wahania. Przeróżne najniedorzeczniejsze myśli snuły się mu po mózgu, gdy nagle Krzesławski wyjechał. Odetchnął. Powoli jednak obawy wracały, dociekać począł, jak Krzesławski mógł wkraść się w jej uczucia. — Ten blagier zaimponował jej — rozstrzygnął. Zastanowił się nad sobą i zrozumiał, że sam nie imponował jej nigdy. Poczęta myśl w związku z drugą o wielkiej karierze rozwijała się, rosła, aż wreszcie wylęgła się i zakwilila. Doznał olśnienia. Było to pod wieczór, kiedy wracał z biura. Przyspieszył kroku.

— Wiesz, co ci powiem — rzekł, wchodząc do pokoju żony — zostanę sekretarzem Lamartine'a.

Podniosła oczy z nad książki.

— Ty — sekretarzem Lamartine'a?

— Nie uśmiecha ci się to?

— Uśmiecha? Cóżby się miało mi uśmiechać?...

Ale w jaki sposób? Kto ci proponuje to stanowisko?

— Dotychczas jeszcze nikt.

— Więc?

— Zdziwiłaś się? Posłuchaj... ja już od dawna — nie przypuszczałaś tego — zastanawiałem się, co powinienem robić. Emigracyjna polityka do przekonania mi nie trafiła. Z demokratycznych konspiracji nie wynikało nic. To by y idea y, które prowadziły na szubienicę. Rozumiem, że dla ideału można stracić sto franków, ale dla ideału wisieć! — roześmiał się, kontent z żartu.

— No, mów dalej.

— Dyplomacja Czartoryskiego także nic. Z początku ludziłem się, że może on coś osiągnąć, bo niewątpliwie był najrozsądniejszy i z dawnych czasów posiadał stosunki. Kiedy jednak zaczął myśleć o koronie, straciłem do niego zaufanie kompletnie. Dyplomacja to jest dyplomacja. Ja np. czuję, że na tym polu mógłbym dokonać bardzo wiele, bo nigdy w życiu nie rozstałem się z rzeczywistością. Ale nie miałem pola, nie było z kim mówić. Były niektóre rzeczy do wygrania, i czułem, że ja bylbym je wygrał, lecz trzeba było posiadać środki, stanowisko, pieniądze. Nie miałem ani pieniędzy, ani stanowiska.

Słuchała wywodów męża, coraz bardziej zdumiona.

— Ty istotnie myślałaś kiedykolwiek o rzeczach publicznych?

— „Myślałaś kiedykolwiek?” — powtórzył za nią. — Widzisz, jak pytasz! Wandziu! Ty mnie jednak wcale nie znasz. Znasz mnie, a nie znasz, ja wiem. Myślałem ciągle, ale nie mówiłem, bo z samego myślenia nic nie przyjdzie. Opowiadanie swoich myśli jest zwykłą blagą. Możesz o mnie powiedzieć, co chcesz, lecz żebym był blagierem, tego nie powiesz ty, ani nikt. Krzesławskim nie jestem.

Sciągnęła lekko brwi, lecz nic nie rzekła, on jednak zmieszał się.

— Nie chciałem nic o nim złego powiedzieć, wiesz, jak go cenię, ale u niego, jak u wszystkich

emigrantów, słowa i myśli przerastają czyn. Ja to nazywam błagą — trudno.

— Więc jakże z tym twoim sekretarzowaniem Lamartine'owi? — przerwała.

— Pójdę do niego i ofiaruję mu swoje usługi, powiem, że chcę mu być pożyteczny.

— Po prostu chcesz dostać lepsze stanowisko.

— Wcale nie! Dziś moje stanowisko jest bardzo dobre i może być coraz lepsze, przeciwnie, nawet — ja swoje stanowisko ryzykuję. Przyjdę do Lamartine'a jako Polak, jako Polak chcę mu być pożyteczny. Wszyscy się rozjechali, z przywódców polityki emigracyjnej nikogo nie ma, nikt nie czuwa nad tym, co się dzieje. Lamartine dziś wszystko może — i ani jednego przy nim Polaka! Tylko my na świecie jesteśmy tak lekkomyślni, tak nie posiadamy zmysłu rzeczywistości. Przy Lamartine'ie musi być ktoś, kto go o naszych sprawach powiadamia, kto mu je przypomina, i do kogo by on miał zaufanie.

— Do ciebie będzie miał?

— Będzie. Ofiaruję mu usługi bezinteresownie, do nas przyłgnęła opinia bezinteresowności. Każdy Polak nosi przed sobą bezinteresowność, jak słoń trąbę. Mój plan jest taki. Ofiaruję mu swoje usługi. Jestem urzędnikiem francuskim, doskonale notowanym. Nic na mnie nie ciąży. W żadnych manifestacjach, w żadnych spiskach nie brałem udziału. Zasłużyłem sobie na zaufanie. Jeżeli moją propozycję przyjmie, ode mnie już zależy, aby zostać jego prawą ręką.

— Ja się na tym nie znam — rzekła — lecz wszystko to wydają się mi jakoś dziwne. Jakież ty możesz mieć wpływ na Lamartine'a? Ofiarujesz mu swoje usługi — dobrze — czy z tego jednak wynika, że byś został jego sekretarzem? Dajmy na to, że zostaniesz. Więc co? Przypuszczam, że jakiegokolwiek jest dziś twoje stanowisko, przy Lamartine'ie będzie lepsze — i to wszystko. Nie trzeba się łudzić, że to będzie miało jakiegokolwiek wpływ na jego politykę względem Polski.

— Podejrzewasz mnie, że pod pokrywką interesów narodowych chcę zrobić swój własny interes.

— Nie podejrzewam, lecz nie chcę, abys się ludził.

— Ty mnie nie rozumiesz, Wandziu! — zawołał.

— Więc mi wytłumacz.

— Nie rozumiesz, że ja to chcę zrobić dla ciebie.

— Dla mnie chcesz zostać sekretarzem Lamar-tine'a?

— Tak.

Teraz roześmiała się szczerze.

— Chcesz mnie uraczyć tytułem pani sekretar-zowej? Nie, ja tego nie potrzebuję. I jeżeli myślisz, że mi potrzebny jest jakiś okazalszy byt materialny, to się mylisz, mnie tego wcale nie potrzeba. Bardzo ci dziękuję, że chcesz coś dla mnie zrobić, bardzo ci jestem wdzięczna, ale nie rób tego. Nie trzeba na polach spraw publicznych siać swojej hreczki — mówi-ła z perswazją.

Brzydka i pospolita jego twarz na chwilę wy-subtelniała.

— Ja nie wystarczam ci, Wandziu — rzekł me-lancholijnie i przejmująco — tobie potrzeba ludzi niezwyčajnych, burzycieli przyjętych form, takich, którzy czymś się odznaczają. Zwykle, prawie zawsze, niewiele więcej oni są warci, niż inni, ale ty jeszcze tego nie widzisz. Dla pozorów żyją fikcjami, a w rze-czywistości robią to, co reszta. Tak samo jedzą, pija, trawią, i to jest dla nich najważniejsze, wierzaj mi. Walczą, prawda, ja nie zaprzeczam — ale o co? Zeby lepiej jeść, pić i spokojniej trawić. Robią to, co wszyscy, tylko na inny sposób. Ci pogardzani przy rondlach, oni na barykadach. Kiedy w rzecz tę wej-rzeć głębiej, poza fikcjami, jakimi jest omotana, to podnioslejszy wydaje się człowiek przyziemny, niż oni. Bo naprawdę o co chodzi w tych wszystkich wal-kach rewolucyjnych — mówmy pozytywnie, nie pod-dając się dźwiękowi frazesów — o pełną miskę. Każ-

dy człowiek chce mieć pełną miskę, ale człowiek zwyczajny na szubienicę za nią nie pójdzie, a oni pójdą i jeszcze innych poprowadzą. I oni nazywają się idealistami!

— Co ty opowiadasz!

— Tak jest, Wandziu. Ja patrzę na rzeczy trzeźwo i nazywam je po imieniu. To też nigdy się w nie nie mieszałem. Do tego, do czego dążą oni, mordując wszystko dookoła, dążyłem drogą prostą, zwykłą i nikomu nie czyniłem krzywdy. Dziś tobie to nie wystarczy. Krzesławskim nigdy nie będę...

— Daj spokój Krzesławskiemu!

— ...ale dla Polski pracować potrafie. Do tego czasu nie mogłem, teraz widzę, że mogę, uczciwie, pozytywnie, bez blagi. Obudziło się we mnie poczucie obowiązku i pragnienie, abys uwierzyła, że jestem ciebie wart. Jedno połączyło się z drugim — tak Wandziu.

Zebrałszy ruchem wyciągnął do niej ręce.

Zdjął ją smutek i litość. Miłość dla Krzesławskiego nie tylko nie pozwalała jej go odepchnąć, ale wzniewiała napływy serdeczności. Miała dla niego przyjaźń i pewne przywiązanie, wzbierał w niej żal nad nim, nad nim i nad sponiewieraniem swego człowieczeństwa. Bezdenna depresja ją ogarnęła, a on już przyszedł do siebie i mówił z zadowoleniem, uśmiechnięty.

— Mam przecucie, że dobrze pomyślałem. Lamartine będzie prezydentem Francji, nie ulega wątpliwości. Ci, którzy dziś potrafią do niego się zbliżyć, zajdą daleko. Fiu! fiu! fiu!

— A ty, gdyby okoliczności pomyślnie się ułożyły, nie masz zamiaru powrócić do Polski? — spytała.

Niechby skłamał, niechby odpowiedział „tak”. On jednak rzekł:

— Ja? a po co?

I nałożył fajkę.

Łatwo było powiedzieć: „Pójdę do Lamartine'a i ofiaruję mu usługi”, lecz wykonać to było niezmiernie trudno. Czerliński musiał poprzednio uzyskać audiencję u tych, od których audiencja zależała, i musiał mieć protekcję, aby na liście zapisany został. I wówczas jeszcze nie miał pewności, czy będzie przyjęty. Pewnie by nie był, gdyby na pytanie, w jakiej sprawie chce widzieć pana prezydenta, nie odpowiedział: „w sprawie Polski”. Na żądanie wyjaśnienia nie był przygotowany i bardzo był nierad z nieobmyślanej odpowiedzi, zwłaszcza że sekretarz, notując ją, miał uśmiech, który mówił: „znam takich”. Niebawem jednak przekonał się, że nie mógł odpowiedzieć lepiej. Posłuchanie uzyskał niezwykle rychło, i pierwsze słowa Lamartine'a były:

— Pan w sprawie Polski? Słucham pana.

Czerliński stał przed nim, jakby przed jakąś wspaniałą postacią, która z innego zstąpiła świata. Promienie sławy, rozgłosu i znaczenia działały widocznie. Bez niej Lamartine, przy całej swej prezencji, byłby dla niego człowiekiem zwykłym. W tłumie nie zauważyłby tej głowy inteligentnej, nie odwróciłby się na dźwięk jego głosu. Teraz dreszcz onieśmielenia i zachwytu drgał mu w żyłach. To on!

Lamartine dostrzegł wrażenie i uśmiechnął się przyjaźnie, jak do człowieka swojego. Każdy, kto rozmawiał z nim kwadrans bez pochlebstwa, był mu niemiły, i każdy, w czyich oczach wyczytał uwielbienie, stawał się mu bliski choćby przez minutę i choćby ta minuta w następnej była zapomniana.

— Niechże pan siada, proszę.

Czerliński nie usiadł, tylko, skłoniwszy się głęboko, dziękował, że przyjęty został, mówił, że zaszczytu tego nie jest godzien i że nie domagałby się go, gdyby istotnie...

To bardziej jeszcze Lamartine'a ujęło, że jednak

długich oracji, skleconych niezgrabnie, nie lubił, więc przerwał.

— Pan jest polski emigrant, mogę dla nikogo nie mieć czasu, lecz nie braknie mi go dla was. Jeżeli Francja jest dla mnie matką, Polska jest siostrą. Niechże pan siada — wskazał mu fotel ponownie.

— Właśnie, panie prezydencie...

— Dawno pan jest na emigracji?

— Od trzydziestego pierwszego roku.

— Ach! Powstaniec?

— Tak, panie prezydencie.

— Bił się pan?

— Tak, panie prezydencie.

— A dziś?

Oparłszy się w fotelu, słuchał. Nigdy Czerliński tak słuchany nie był, każde jego słowo budziło najwyższe zainteresowanie.

— Więc pan jest teraz urzędnikiem francuskim, pracował pan i stronił pan od wszelkich politycznych ruchów francuskich. W tym jest wielka godność. Nie wszyscy rodacy pana postępują podobnie, nie wszyscy.

— Nie wszyscy — potwierdził Czerliński.

— Ja im się jednak nie dziwię. Nie dziwię się, że, wierząc w rewolucję europejską, jako w jedyną możliwość przywrócenia ojczyzny, wszelkimi sposobami pragną ją wywołać. Tylko, że te spiski, te uliczne zaburzenia do rewolucji powszechnej się nie przyczyniają, przeciwnie, przeszkadzają jej. Nie ma narodu bardziej rewolucyjnego, niż Francuzi, a i oni, widząc wszędzie was, mówią: „Rewolucję cudzoziemcy robią”. To odstręcza. Ja też jestem rewolucjonistą, stoję na czele rewolucyjnego rządu. I wierzę w rewolucję — w rewolucję miłości. Gdy ona zwycięży, Polska zmartwychwstanie, w świecie odrodzonym nikt widoku grobu takiego nie zniesie. Idea miłości dziś w nas zwycięża, gdyby tak było podczas rewolucji wielkiej, nie znalazłbyśmy terroru, nie rozlałoby się tyle niewinnej krwi, nie byłoby Cesarstwa, powrotu Burbonów i Orleanów, i wy bylibyście wolni. Cóż wam dała re-

wolucja francuska — a była tak wielka! I dzisiejsza nie da wam nic, jeżeli pójdzie tą drogą, co tamta. Nic, niech mi pan wierzy. Zostaniecie wyzyskani przez poszczególne stronnictwa w walce ich między sobą i później przez wszystkie stronnictwa odtrąceni. Wy nie powinniście wierzyć żadnemu klubowi, powinniście wierzyć jedynie Francji! Francja was nie zdradzi! Ale nie przeszkadzajcie jej w jej wielkiej misji dziejowej. Gdy Francja dziś wygra, gdy ustali się Republika prawa i porządku, wygracie wy. Czyż nie tak?

— Tak, panie prezydencie.

Tu jednak pomyślał, że rozmowa ta do celu go nie prowadzi, i wzbudził w sobie śmiałość.

— Ja, jeżeli ośmieliłem się przyjść do pana prezydenta, to właśnie dlatego, że poglądy moje są takie same. Wierzyłem, że pan prezydent myśli o Polsce.

— Nie omylił się pan.

— I że Polacy, jeżeli chcą coś pozytywnego dla kraju swego uczynić, powinni ofiarować swoje usługi panu prezydentowi; że nie powinni przedsiębrać nic bez woli i wiedzy pana prezydenta.

— Bardzo panu dziękuję, pan jest dobry Polak.

— Dlatego postanowiłem ofiarować swe usługi panu prezydentowi.

Lamartine zamyślił się.

— Pan dużo ma znajomości wśród rodaków swoich w Paryżu?

— Znam wszystkich.

— Wszystkich?

— Prawie wszystkich. Mówię oczywiście o tych, którzy coś znaczą, coś przedstawiają.

— No, oczywiście. Nie mogłby mi pan powiedzieć, kto z was prowadzi ten ruch wywierania presji na rząd w przedmiocie polityki zagranicznej, przez zbiorowe petycje, przez zaburzenia nawet?

— Chyba nie Polacy.

— Polacy, zapewniam pana. Pan nie wie, czy nie chce pan powiedzieć?

— Ja panu prezydentowi powiedziałbym wszystko. Nie wiem.

— A czy nie mógłby się pan dowiedzieć? Pan ofiaruje mi współpracę, musimy przeto zorientować się w tym, co pan może robić. Niech się pan nie niepokoi, aby to mogło na kogo z pańskich rodaków ściągnąć przykrości. Od tego jest policja, żeby ich pilnowała, ja się w to nie mieszam. Mnie osobiście wiadomości takie są potrzebne. Kto wie, jeżeli to są ludzie uczciwi, a mam przekonanie, że tak jest, może poprosiłbym ich do siebie i mówił z nimi tak, jak mówię z panem.

— Panie prezydencie!

— Ależ naturalnie, niech mi pan wierzy.

— Ja się o wszystkim dla pana prezydenta dowiem.

— Doskonale!

— Kiedy mam się zgłosić?

— Mój Boże, czyż ja wiem?! Nie mogę panu naznaczać żadnej godziny i żadnego dnia, bo żadnego dnia i godziny nie jestem pewny. Ale zawsze może pan porozumieć się z panem Philidorem. Pan zna pana Philidora?

— Nie, panie prezydencie.

— Zaraz go pan pozna, może mieć pan do niego pełne zaufanie.

Zadzwoń!

— Niech przyjdzie pan Philidor.

W progu stanął krępy, muskularny mężczyzna, o burch, mocnych oczach.

— Mój kochany Philidor, oto obywatel Czerliński, Polak, rewolucjonista, powstaniec i nasz urzędnik. Złote serce i jasny rozum. Może nam wyjaśnić pobudki swoich rodaków i ich idee, ich motywy. Zajmij się nim i mów z nim tak szczerze, jak ja mówiłem. No, żegnam pana, mam nadzieję, że nie ostatni raz.

Cały był w uśmiechu, czarujący.

Gdy Czerliński opuścił Philidora, nie opatrzył się nawet, że wszedł innym, niż wyszedł, człowiekiem.

Jakiś czad miał na umyśle i w duszy. Nic przecież złego nie popełnił, nikogo nie skompromitował, bo nic o nikim nie wiedział. Był przekonany, że w Emigracji nie ważnego w tej chwili się nie dzieje, że życie z niej całe odplynęło gdzie indziej. Przynależał, że zbada, jak rzeczy przedstawiają się naprawdę, czy emigranci polscy znajdują się we francuskich klubach, czy są w porozumieniu z francuskimi rewolucjonistami, lecz potrzebne to byłoby dla polityki Lamartine'a, a jedynie polityka Lamartine'a korzystna byłaby dla Polski. Zresztą usługi jego zostają bez wynagrodzenia, nie proponowano mu go, a gdyby proponowano, nie byłby przyjętym. Żałował, że tak się nie stało. Byłby odmówił. Lecz i tak wiedzą, że działa bezinteresownie, że czystej służy idei. Jednak miał niesmak i niepokój. Celu nie dopiął, przy Lamartine'ie się nie usadowił, powierzony został Philidorowi. Kto jest ten Philidor? Nie agent policyjny. Brał udział w rozruchach lutowych i był zaufanym Lamartine'a. Zamyślił się. Gdyby cała działalność jego ograniczała się do dawania żądanych wiadomości, oczywiście byłoby źle, ale tak nie będzie. To tylko pierwszy krok, punkt zaczepienia. Skoro raz jest na miejscu, postara się uzyskać wpływy i coś naprawdę zrobić dobrego dla sprawy publicznej. Pokrzepił się tą myślą. Nie chciał już być ani sekretarzem Lamartine'a, ani zdobywać dla siebie znaczenia, chciał tylko na nowym stanowisku służyć Polsce. Polsce i tylko Polsce. Szedł rażniej do domu.

Zatrzymał się we drzwiach ze zdumienia: Krzesławski!

Powrócił z Włoch przed paru dniami, ale dopiero dziś się tu zjawiał. W umyśle Czerlińskiego zrodziło się podejrzenie, że nieprawda, że już przedtem Wandę widział. Udając, że na nią nie patrzy, śledził wyraz jej twarzy. Specjalna zdolność spostrzegawcza, którą posiadał i której już używał dla zdania sobie sprawy ze wzajemnego ich stosunku, cudownie się rozwinęła po rozmowie z Philidorem. Z pewnym nawet zadowoleniem sobie to uświadomił. „Oszuka, ale

nie mnie". Krzesławski jednak nie oszukiwał, ani nie kłamał. Nie przyszedł odrazu, bo wydawało się mu, że jest śledzony, nie chciał ściągać podejrzeń na Czerlińskich. Tego jednak Czerlińskiemu nie powiedziała. Powiedziała to natomiast Czerlińska, jakby odgadując jego wątpliwości, i w tej chwili spostrzegła, że Krzesławski nierad był z tego zwierzenia.

— Ty — śledzony? — zawołał Czerliński. — Dlaczego?

— A kłóż może być bardziej śledzony, niż pan Janusz? — spytała.

— Za dawnego rządu, ale nie dzisiaj, gdy rewolucja panuje, dziś przecież przyjaciele jego są u władzy.

— Ja też tak tylko, z dawnego przyzwyczajenia. To tu teraz taka wolność panuje?

— Lamartine na czele!

— Otóż tego najbardziej się obawiam.

— Lamartine'a?

— Nie Lamartine'a, ale samego faktu, że jest na czele.

— Dlaczego?

— Dlatego, że kiedy on jest, to nie ma nikogo. Kiedy on jest, to jutro może być tak dobrze Ludwik Blanc, jak Orlean, tak Blanqui, jak Bonaparte. Francja jest bez steru. Za Lamartinem są wszyscy.

— Jeszcze ci mało?

— To znaczy, że nie ma nikogo. Wszystkich skupia w jedności nastroj, sugestia, chwilowy zapał, ale nie przekonania i nie interes. Gdy one się wyłonią, gdy rewolucja wejdzie w to drugie stadium uświadczenia, może już wchodzi, to się okaże, że Lamartine stoi sam. O to ja dbam mało, niech go diabli wezmą — cóż mnie to obchodzi, byle osobą swoją nie utorował drogi reakcji. Rewolucja ma zaufanie do Lamartine'a i nie organizuje się, reakcja ma także, ale myśli o sobie. Dość spojrzeć, jak wygląda gwardia narodowa, aby domyślić się, co się dzieje. Coż to jest Lamartine? Harfa grająca.

— Lamartine jest wielki człowiek — rzekł Czerliński.

— Wiersze pisze piękne, nie neguję, choć ich nie czytałem. Ale nie o literaturze przecież mówimy.

— Wielki jest jako polityk.

— Jako polityk? Przez co?

— Przez ideę miłości w rewolucji.

Brwi Krzesławskiemu zmarszczyły się i rozmarszczyły, usta drgnęły zjadliwym uśmiechem. Nachylił ucho, jakby nie dosłyszał.

— Co? — spytał.

— Ma on ideę rewolucji, przeciwną rewolucji wielkiej. Wielka rewolucja miała ideały, ale utopiła je w krwi, bo ożywiona była nienawiścią, ta umrzeć swoim nie da, bo ożywiona jest miłością.

Zerknął ukradkiem na żonę, brał górę nad tym ponurym blagierem. A Krzesławski spojrział przed siebie, jakby czegoś szukał w przestrzeni, wreszcie rzekł:

— Miłość w rewolucji — ja to znam. Ale to nie Lamartine! Ho! ho! ho! To nie Lamartine, to Mickiewicz. To taka miłość gorąca dobra i prawdy, że w jej ogniu zło się spala jak suchy wiór. A miłość Lamartine'a — to różana woda... bluźnierstwem jest takie uczucie nazywać miłością.

— Lamartine nie mniejszy od Mickiewicza.

— Dajże spokój. Lamartine głosi miłość i Mickiewicz także, jeden ma za sobą wszystkich, drugi wszystkich przeciw sobie. W tym różnica. Taka miłość, co ma za sobą wszystkich, nie jest niebezpieczna nikomu, ta druga budzi grozę. Rozszedłem się z panem Adamem...

— Rozszedłeś się z Mickiewiczem?

— Rozszedłem się. Może nie dorosłem, a może on mnie nie pojął, ale go oceniam. Cóż go z Lamartinem równać! U Mickiewicza słowo i czyn to jedno.

— U Lamartine'a także.

— Ech!

— Tak mówisz, jakbyś go znał.

— A ty go znasz?

— Znam.

— Ty?!

Czerlińska zaczerwieniła się. To „ty?” świsnęło jak smagnięcie bicia. Miała żal do Krzesławskiego o ten ton.

— Znam go — rzekł Czerliński — i mówiłem z nim.

— Ty?

— Ja.

— Przy jakiej okazji?

Dała mu znak oczami, aby nie mówił. Wstydziła się. Wiedziała, że miał audiencję u Lamartine'a, i była przekonana, że nie wynikło z niej nic, co by go przed Krzesławskim nie naraziło na śmieszność. Odechnęła, gdy rzekł:

— Moja sytuacja po rewolucji bardzo się podniosła, nie jestem już tym skromnym urzędnikiem, jakim mnie pozegnałeś. Brałem udział w bankiecie, na którym był Lamartine, zbliżyłem się do niego i mówiłem z nim. Mówiłem z nim o sprawach polskich bardzo obszernie.

— Cóżes mówić? — spytał z niepokojem Krzesławski.

— To, co mówimy wszyscy od lat siedemnastu, że pierwszą rzeczą zagranicznej polityki francuskiej jest obalić traktat wiedeński.

— A on?

— Ze dobrze to wie i o tym myśli. Rozmawiał ze mną obszernie. Wymagał od nas zaufania do siebie, do swego kierunku politycznego. Powiedział przesłicznie: Francja jest moją matką, a Polska jej siostrą.

— To znaczy jego ciotką — rzekł Krzesławski.

Czerlińska zżymnęła się.

— Dlaczego pan nie wierzy w szczere uczucia Lamartine'a?

— Bo nie wierzę nikomu, kto mówi w ten spo-

sób. Szczerze uczucia wyrażają się w słowach szczer-
rych i prostych.

Nie mógł już mówić z nią samą, byby się więc
pożegnał, gdyby nagle Czerliński nie rzekł:

— Przepraszam się, ale muszę odrobić swoje biu-
rowe zaległości. Ty przecież jeszcze nie odchodzisz.

Powiodła za odchodzącym wzrokiem tak smut-
nym, że Krzesławski to zauważył, ale nie pojął. Zda-
wało się mu, że smutek ten powodowany jest niskim
poziomem Czerlińskiego, że sama nad sobą boleje;
a było to zupełnie co innego.

— Niedobrze, że z niego drwisz — przerwała,
spłoszona tą formą „ty”, która jeszcze nie otrząsnęła
z siebie rumieńca.

— Z Lamartine'a?

— Nie, z Karola.

Uczyniło się mu nieswojo.

— Ja z niego nie drwię — zaprzeczył.

— Drwisz, a to mnie upokarza, i wtedy dopiero
zdaje się mi, że wyrządzam mu krzywdę. Nie rób tego.

Uśmiechnęła się, jakby przepraszając i jakby je-
dnocześnie czyniąc jeszcze wymowkę, i wyciągnęła
do niego rękę.

— Cieszę się, żeś wrócił.

Usiadł przy niej i przycisnął jej głowę do piersi.
Była mu tak droga, że chwili tej nie oddałby za szczę-
ście do śmierci. Myśl się w nim uciszyła i pokryła
gwiazdami, jak niebo. I nagle wzburzyło się wszystko.
On odejdzie, a wróci Czerliński. Niechby wrócił teraz,
niechby w tej chwili tu wszedł.

— Teraz nie odszedłbym, nie ruszyłbym się, kto-
kolwiek by tu wszedł — szepnął.

Zrozumiała. Wyprostowała się gwałtownie i ode-
pchnęła go od siebie.

— Chcesz stworzyć sytuację bez wyjścia — tak?

— Tak.

Oczy jej spłonęły.

— Pamiętaj — to nie ze mną! Gwałtu nade mną
nie czyn. Ty mnie jeszcze nie znasz. Odeszłabym wie-

dy od ciebie, odeszłabym bez żalu dla uczucia, które nie umiało być doskonałe.

Wstrząsną się — takiej jej nie widział i nie znał.
— Wando! — zawołał.

— Presji na mnie nie wywieraj — pamiętaj. Wtedy stracisz mnie. Ja burz nie rozpętuję, ale znikam na zawsze

— Bo znieść nie mogę twojej niewoli.

— Jakiej?

— Wiesz.

— Co ci w głowie? Bardziej jestem wolna, niż ty. Ty jesteś niewolnikiem swoich pasji i tych nienawiści, które dla siebie szczepisz w innych. Sam na siebie kujesz kajdany i je rozbijasz i wszystko dookoła przy tym mordujesz — i siebie także. Skąd w tobie taka żywiołowa siła gwałtu, taka przemoc, taka namiętność łamania? Dlaczego nie czekasz, aby wszystko dojrzało, aby działa się w czas? Nie jestem ci dosyć wolna? No, to rozwoju mojego nie przyspieszaj, ja tylko sama wiem, jak mam iść, jak mam zdobywać to, co zdobyć powinnam. Tylko ja sama — pamiętaj.

— Ja nie powiedziałbym tobie tego, coś ty powiedziała do mnie — rzekł z żalem.

— Czego?

— Ze odeszłabyś bez żalu od uczucia...

— Boś młodszy.

— Ja młodszy?

— Duchem.

I ogarnę a go ramieniem.

— Są wielkie różnice między nami — mówiła cicho, niemal szeptem, opierając mu znowu głowę o ramię. — Ty jesteś jak ogrodnik, który ma pewien schemat i nie waha się przed operacjami w rodzaju becinania gałęzi niesharmonizowanych dla swego oka, albo gdy zaczynają schnąć, a od tego usycha całe drzewo. Jesteś rewolucyjny — ja tego nie mogę znieść! Gdybyśmy byli przeciwnikami, wygrałabyś ze mną poszczególne bitwy, lecz ostateczne

— Kosmopolityczny geniusz francuskiego ludu się budzi! — zawołał ze swego miejsca Blanc.

— Protest przeciw frazesom się budzi! Lud francuski dosyć ma frazesów! — odkrzyknął Proudhon.

— Dużo jest prawdy w tym, co powiedział obywatel Proudhon — ciągnął Albert — ale nie cała. W ludzie paryskim jest zrozumienie, że przywrócenie Polski to najzupełniejszy przewrót w obecnym politycznym ustroju europejskim, że bez takiego przewrotu republika we Francji zapewniona nie będzie, albo zostanie republiką burżuazyjną, nigdy republiką ludową...

— Nieprawda! Nic to nie ma do rzeczy!

— Nie twierdzę prawda, czy nieprawda, mówię jedynie, jaki jest duch ludu i co znaczy popularność sprawy polskiej, bo nie wszyscy rozumieją. Żeby powstała republika ludowa, żeby została zabezpieczona, musi wszystko zmienić się w Europie. Jest to osłabienie Rosji, a może przyspieszenie w niej rewolucji, jest to osłabienie Austrii, a Rosja i Austria przyjdą z pomocą burżuazji nawet najbardziej liberalnej, jeżeli pomiędzy tą burżuazją a ludem nastąpi starcie. Lud, chcąc niepodległości Polski, chce jednocześnie pozbawić burżuazję naturalnych aliantów, jakimi są państwa, które rozbioru Polski dokonały. A potem prawdą jest, co powiedział obywatel Proudhon: „Dosyć frazesów!” Burżuazja liberalna powtarzała bez ustanku: Polska! Polska! — niechże teraz Polskę przywróci, niechże teraz tego dokona.

Proudhon roztrzącał już zebranych i szedł na miejsce, z którego przemawiano. Nastrój zaciekawienia owładnął salą, poruszono się, przysuwano bliżej krzesła.

— Krzesławski! Ty tu?

Krzesławski ujrzał koło siebie Philidora.

— Wróciłem z Włoch.

— No i co tam?

— Pssst. — usłyszeli.

— Później: Proudhon mówi:

— Hasło walki o Polskę jest najniebezpieczniejsze, jakie rewolucja wysunęła — zaczął. — Może zgubić rewolucję. Pamiętajcie, że, aby walczyć o Polskę, trzeba walczyć także z Niemcami!

— Słusznie! Słusznie!

— Wołacie — słusznie! A kto to sprawił?! Twórcy frazesów! Kłamcy wszelkiego rodzaju! Oszuści ludu! Lud paryski, stawiając hasło Polski, woła: „Dość frazesów” — nie czując niebezpieczeństwa, jakie na siebie ściąga. Ludzi się, sądząc, że wszystko się wówczas zmieni! Wojna zahamuje ten rozwój wypadków, w którym on może coś osiągnąć. Lecz on tego nie widzi, on ma tylko dosyć frazesów. Dziś ma dosyć frazesów burżuazji liberalnej, jak jutro będzie miał dosyć frazesów swoich przywódców!...

— Czyich?!...

— Waszych! Twoich, Blanc! Twoich Blanqui! Twoich, Raspail!

Podawszy się naprzód, wygrażał grubą, owłosioną pięścią ciskającym się na krzesłach przeciwnikom.

— Cały program wasz to jedno łgarstwo i jeden frazes! Arystokracja czy demokracja — wszystko jedno! Ucisk mniejszości czy większości — wszystko jedno! Panowanie ludu czy monarchy — wszystko jedno!

— Czego chcesz?!

— Jednej, prawdziwej wolności dla wszystkich!

— Zapewnia ją prawo demokratyczne!

— Jakie?!

— Wola ludu, wyrażona przez jego mandatarjuszy.

— To jest tyrania tłumu!

— Proudhon przeciwko głosowaniu powszechnemu!

— Przeciwno! Przeciwno wszystkiemu, co jest władzą lub daje początek władzy, przeciw tyranii wię-

kszości i mniejszości! Archia lub anarchia — nie ma środka!

— Precz z anarchią!

— Krzycz: precz z wolnością ludu! Precz z wolnością człowieka! Anarchia to wolne zrzeszenie obywateli bez władzy, bez rozkazów, bez praw narzuczonych z góry! Tylko w zrzeszeniu takim lud przestaje być niewolnikiem i nie może stać się ciemną. Lud, rozpoczynając rewolucję, tę miał ideę — ideę absolutnej wolności! I jeśli rewolucja się rozwinie, jeśli wy jej nie zniszczycie — cel ten osiągnięty będzie. Lud chce anarchii!

— Dosyć!!

— Wy mówicie „wolność”, a tworzycie ucisk społeczny!...

— Dosyć!! Dosyć!!

— Mówicie „równość”, a tworzycie instytucje uprzywilejowanych mandatariuszy...

— Dosyć!!

— ...którzy za wolą ludu lud uciskać będą! Błaga to czy perfidia, czy głupstwo po prostu!

— Dosyć!!

— Archia lub anarchia — nie ma środka! Za anarchią jest wszystko, co jest ludem, za archią — wszystko, co przeciw ludowi. Orlean czy Lamartine, czy Blanc — wszystko jedno!

— Dosyć!! Precz z anarchią! Dosyć!! Dosyć!! Tu mult rósł, wskakiwano na krzesła, walono nimi o podłogę, nie słyhać było słów poszczególnych.

Zapomniano o sprawie polskiej. Ciągłe nowy mówca wskakiwał na stół lub krzesło i bronił swego programu. Była to jakby demonstracja, że wszelki ustroj społeczny może być tylko narzucony siłą większości lub mniejszości, że inny powstać nie może dopóty, dopóki człowiek jest tak młody gatunkowo, że brak mu równowagi, ekonomii i celowości wysiłku, właściwych starszym formom stworzenia. Walczy dla samej walki, co nigdzie pono w naturze nie istnieje.

W przeroście inteligencji, tak niedawno przez niego osiągniętej, tkwi jego wewnętrzna dysharmonia, i dopóki tego nadmiaru nie wyrównają inne jego władze psychiczne: uczucie i wola — dopóty nie jest do pomyslenia harmonia społeczna.

Wybuch dyskusji, odbiegającej od sprawy polskiej, będącej powodem zebrania, przerwał Blanqui.

— Nie zdajemy sobie sprawy, jak chwila jest poważna, jeżeli możemy mówić o czym innym, niż o gotującej się manifestacji o Polskę.

— Wstrzymać ją!

— Kto ją ma wstrzymać?!

— Przywódcy ludu!

— Lud gwizdże już na tych przywódców! — wołał Proudhon.

— My wstrzymywać jej nie zamierzamy! — nie zwracał uwagi Blanqui. — My nie możemy sprzeciwić się najszlachetniejszym porywom francuskiego ludu...

— Manifestacji nie chcą, lecz, widząc, że nic nie poradzą, oświadczają, że godzi się z poczuciem ich serc szlachetnych!

— Obywatelu Proudhon! Pozwól mi skończyć! Nie możemy sprzeciwić się najszlachetniejszym porywom francuskiego ludu. Przeciw manifestacji nie wystąpimy, tylko nadamy jej charakter spokojny. Wrogowie nasi, wrogowie rewolucji pragnęliby, aby manifestacja ta przeobraziła się w zaburzenia, aby doprowadziła do ekscesów. Do tego nie dopuścimy!

— Nie dopuścimy dziś do zaburzeń... — wołał Cabet.

— O sprawę polską! — poprawiano z różnych stron.

— Ani o polską, ani o inną!

— Doprowadziliście rewolucję do tego, że nie może zmierzyć się z burżuazją!

— Barany zasłuchały się w flet Lamartine'a i nie poczuły wilka! — wołał Proudhon.

— Ja manifestacji tej jestem przeciwny — odezwał się Blanc. — Polsce nie pomoże, rewolucję narazi. Działa tam ręka wroga Polsce i wroga nam.

— Dopuszciliście do tego, sami to przyznajecie — wpadł mu znowu w mowę Proudhon — że wśród ludu działają tajnie wrogowie ludu! Lud wymknął się wam z ręki. Ma was dosyć! Kto to uczynił?! Blanc. Blanc swoim śmiesznym programem! Blanc swoimi frazesami! Nieomyślność ludu! Masz nieomyślność ludu! Co masz czynić wśród ludu, gdy lud jest nieomyślny, a ciebie ma za barana! Nie ma was!

— A ty gdzie jesteś, Proudhon?! Dlaczego nie prowadzisz robotnika ku swojej anarchii?!

— Boście go otumanili!

— Precz z anarchią!!

— Manifestacji tej jestem przeciwny, lecz wiemy, że się jej nie oprzemy. Kosmopolityczny geniusz ludu francuskiego budzi się! Temu sprzeciwić się nie możemy!

— I nie chcemy!

— Temu sprzeciwić się nie możemy...

— I nie zdołamy!

— Niech będzie — „i nie zdołamy!” — W manifestacji tej widzimy niebezpieczeństwo, wolelibyśmy, aby jej dziś nie było, wolelibyśmy, aby międzynarodowa solidarność uciśnionych wyraziła się kiedy indziej i w innej formie, skoro jednak stać się to musi, naszym zadaniem jest nie dopuścić, żeby wygrali przez nią wrogowie rewolucji. Wojsko zgromadzone jest w Paryżu!

— Przez waszego Lamartine'a!

— Nie przez naszego Lamartine'a, ja z Lamartinem już nie zasiadam! Wojsko zgromadzone jest w Paryżu! Reakcja czeka na zaburzenia, aby sprawić rzeź! Aby w krwi utopić rewolucję! Dlatego przeciwny jestem manifestacji o Polskę! Ale że zapobiec jej nie możemy, przychyliam się do zdania Blanqui'ego — manifestacja ta musi być pokojowa, musi odbyć się w najwyższym ładzie i porządku!

— Jak to uczynicie?!

Powstał Raspail:

— Ruch trzeba ująć w karby, trzeba mu dać kierunek, który by popsuł zamierzenia reakcji.

Manifestacji o Polskę się nie sprzeciwiał:

— Niech manifestacja będzie! Dobrze, że będzie! Niech będzie wielka i imponująca! Nie o to chodzi, aby jej nie było, lecz o to, aby była taka, jakiej my chcemy!

Proponował ułożenie petycji i odczytanie jej konstytuancie przez delegację.

— Lud z petycją!

— Z papierem w ręku!

— Chcecie, aby szedł z bronią! Chcecie tego samego, czego chce reakcja!

W hałasie przeraźliwym znowu nikt przemówić nie mógł.

— Obywatele! Uspokójcie się! — wołał Raspail. — Tu chodzi o krew ludu paryskiego! Tu chodzi o bezpieczeństwo rewolucji!

Zdanie jego przemogło. Wysypywano się z sali i rozchodzono po ciemnych ulicach. Rozbrzmiały gwarem — zamilkły.

Krzesławski szedł pustą ulicą. Był strasznie podniecony, niezdolny uporządkować myśli, nie dopuścić, aby nie włączały się jedna na drugą.

Manifestacja na rzecz Polski. „Chcesz stworzyć sytuację bez wyjścia” — plonęły żagwią słowa Czerlińskiej. „Ty nie staraj się mną kierować”. I coby było, gdyby wówczas wszedł Czerliński? Czego chce Proudhon? Philidor mógłby mu dużo powiedzieć — gdzie on się podział? Gdyby wszedł Czerliński, stałoby się to, co powinno się stać. Gdzie teraz jest Mickiewicz? Manifestacja na rzecz Polski, to jakaś polityka, której nie może odgadnąć! Czerliński gada z Lamartinem. Pajac! W niej są cechy, których nie znał. Z tej zapowiedzianej manifestacji nic nie może wyniknąć wielkiego. Czy aby będzie?

Skupił się i zawarł w mózgu myśl jedną. Inne wirowały z zewnątrz, koatały jak o ścianę.

Petycja o Polskę! Też pomysłeli. Ale lud paryski? Skąd mu to? Geniusz kosmopolityczny się budzi? Frazes! Robotnik wie, że, upominając się o Polskę, sprawdza szczerłość swoich prowodyrów. Tyle się o tym nagadali. A więc coś zróbcie. Zobaczymy! Albert ma rację. Nie geniusz kosmopolityczny, ale instynkt polityczny. Jeżeli Polska frazes, to wszystko frazes. Tego się boją. Sprawdzenia się boją. Więc manifestacja będzie — z petycją. Z petycją! Wyślizgują się z pułapki ci rewolucjoniści. Im który z nich szlachetniejszy, tym gorszy, tym bardziej śliski, tym skonniejszy do zdrady w sumieniu i do zrobienia z niej na zewnątrz promieniejącej tęczy. Najgorsi są ci rewolucyjni święci! Najgorszy jest Raspail, a najlepszy Proudhon. Nic dla nas nie uczyni, ale nie łże. Tamci też nie uczynią nic, ale lżą i za lgarstwo każą być sobie wdzięczni. „Pologne malheureuse et heroique”. Sentymentalni oszuści, trybuni z petycją. Proudhon ma rację, tylko zasada wolności kompletnej coś warta. Rządy jednostki czy tłumy, to tylko różne formy ucisku i niewoli. Nakaz prawa czy zwyczaju, czy kanonu — ten sam ucisk.

Anarchia! Tak, to jest rozstrzygnięcie bez kompromisu i bez lgarstwa... tak. Gdyby tą ideą ludzkość się przeniknęła, odrodziłaby się odrazu. Człowiek szedłby tylko za swym uczuciem, za swym nakazem wewnętrznym, i szedłby dobrze. Nie wpada by ustawicznie w zgnie do'y, ziejące odorem zasad, wyrobionych w wiekach niewolnictwa, nie trułby się. Zyby tak czysto i harmonijnie, jak żyje roślina — i stałby się świadomością natury. Zyby i wzięłby wszystko, co dane jest mu do wzięcia.

Miał myśl na tyle wyćwiconą i uczciwą, że natychmiast stanęło przed nim pytanie — „A gdyby nie ona? Gdyby nie ona, czy zasada anarchii stałaby się mu tak bliska?”

Chciał odpowiedzieć sobie na pytanie to jasno,

bez wykrętu, bez przyprawy elementem uczuciowym— i odpowiedział: tak. Dążenie do wolności było w nim wrodzone, było istotnie zindywidualizowaniem dążenia, istniejącego w naturze, by o jego prawdę. Jak pamięcią sięgnął, widział w sobie przejawy, w różnej powtarzające się formie, w miarę zaś wieku i rozwoju ow adnięty został przez nie całkowicie. Stąd wynika y wszystkie jego pozorne niekonsekwencje, gwałtowne reakcje, odrzucanie jednych i przyjmowanie innych idei. Stąd wyniknęło zerwanie z Mickiewiczem. Zadnego krzyża! Czarnego ani białego! Ani ucisku ducha, ani ucisku ciała. Niczego, co by szło z obowiązku, z zasady, konwencji, a nie z własnej, w samym sobie wyrobionej idei. Niech to, co stanowi zdrowie moralne ludzkości, bije, jak woda, z żywego źródła i nie będzie rozprowadzane po wodociągach. Wodociągów nienawidził, druzgotał je. A druzgocąc, spostrzegł, że wali w to, co chciałby oszczędzić. Wówczas się pytał, czy oszczędzać warto, i nowych szukał wartości. Szarpał się w sobie. Anarchia! Też pozór. Dziś to ładnie brzmi, a jutro obróci się w kanon, w zasadę, gniołącą tych, którzy anarchii nie chcieli przyjąć. Wolny być winien każdy, i anarchista i archista. Anarchia nie może być systemem, może być tylko kierowniczą ideą. Nie może być jednego systemu dla wszystkich.

Kawiarnia Procopa była jeszcze otwarta. Wszedł machinalnie, pociągnięty światłem, i ujrzał siedzących przy stoliku Dziekońskiego, Łackiego i Klukowskiego. Porwali się z mejsce.

— Krzesławski!

Niekontent był, bo najmniej ich chciał widzieć, ale nie mógł się cofnąć. Zarzucali go pytaniami.

— Co z Adamem? Czy jedziesz z Mediolanu? Adam cię przysyła? Jak został zawarty układ z rządem lombardzkim? No, mówże prędko! Kiedy przyjechałeś?

Kazał podać sobie czarną kawę, nałożył fajeczkę i spytał:

— A u was co s'ychać?

— Kamiński już wyszedł.

— Już?

— Stoi w Strasburgu, ma przeszło trzystu ludzi, ale czeka, bo gdyby Assemblée Nationale zdecydowało wojnę o Polskę, to wzię by w niej udział.

— Wojnę o Polskę? Assemblée Nationale? Nie będzie żadnej wojny Francji o Polskę. Co wam w głowie? Niech idzie do Lombardii, skoro do Lombardii się wybrał. Tam też jest walka o Polskę. O cóż Mickiewicz walczy, jak nie o Polskę?

— My mówimy to samo — rzekł Klukowski. — Cokolwiek by tu się stało, ja idę tam z moim oddziałem.

— Masz swój oddział?

— Niewielki, ale mam. Ze mną idzie Dziekoński.

Pokazywali mu odezwy, które mieli rozlepić w Paryżu, wzywające wszystkich Polaków do udania się tłumnie do Mediolanu, aby rozpocząć „czynną służbę Bogu, ojczyźnie i wolności narodów”.

— Więc formacja Legionu już przez rząd lombardzki urzędownie uznana została?

— Już. Nic nie wiesz?

— Nic.

— Ty nie z Mediolanu?

— Nie. Ja opuściłem Mickiewicza we Florencji.

— Dlaczego?

— Bo mnie wygnał.

I, strzepnąwszy fajeczkę, śmiejącymi się złośliwie oczami patrzył na nich, nie mogących ocknąć się ze zdumienia.

— Ciebie? — zapytał Łącki.

— Mnie.

— Za co?

— Bom munduru z białym krzyżem nie chciałem włożyć. Przeciw krzyżowi na mundurze protestowałem. Ja na apostoła miłości się nie nadaję, a na apostoła miłości z karabinem w ręku — najmniej. Nie szedłem z nimi jako apostoł, tylko jako żołnierz. Nie mogę brać tytułu, do którego nie mam prawa i który

mi się nie podoba. To tak, jakbym się przezwał, jakbym za kogoś innego się podawał, nie za Krzesławskiego, ale za Dziekońskiego na przyk.ad.

Posmutnieli.

— Nieporozumienie między nami by'ło. Ja nie wiedziałem, że mam naukę pana Towiańskiego przyjmować. Warunku takiego Mickiewicz nie stawiał.

— I nie stawia — rzekł Łącki.

— Czemuż symbol tej nauki każe na piersiach nosić? Odmówiłem. Powiedział mi wtedy: „Idź precz!” Więc poszedłem.

— Ja rozumiem Adama — rzekł Dziekoński — na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

— Ty byś tak nie postąpił, bo byś mi tak nie ośmielił się powiedzieć, ani byś nie ośmielił się munduru takiego kazać nosić. Na to Mickiewicza potrzeba powagi i siły. Ja mu prawa nie odmawiam, tylko mu się nie poddaję.

Wtedy Klukowski położył mu rękę na ramieniu:

— Słuchaj, Janusz, daj temu spokój i chodź z nami.

— Ja ci nie mówię „nie idź tam”, dlaczegoż ty mówisz do mnie „chodź?”

— Mickiewicz ci przebaczy — rzekł Łącki.

— Przysięgi na swoje idee ode mnie nie wymagał. Różni są ludzie w wojsku. W powstaniu naszym byli i klubowcy, i kaliszanie, i arystokraci — wszystko, co chcesz, a walczyli o jedno. Ja też z nim szedłem przeciw Austrii — jako żołnierz, nie jako apostoł. Ja mam idee swoje, a nie wymagałem od niego, aby je g'osił — niechże i on ode mnie nie wymaga. Wielki to człowiek, lecz, czym jest wolność, nie rozumie. I nie wie, że w społeczeństwie złożyć się może wolność tylko przez wolne życie każdego poszczególnie. Tam, gdzie nie ma wolności indywiduum, tam nie może być wolności społecznej.

Gdy wszedł do swego pokoju, uderzył go zapach kwiatów. Poustawiane były w wazonach, wszędzie,

gdzie dla nich miejsce się znalazło. Ogromny bukiet stał na stole do pisania.

— Ach, pani Gotard!

Od niej odnajmował to mieszkanie.

Przez okno wdierał się wąski sierp księżycą i wielobarwna, nieuchwytna w przejściach z jednej barwy w drugą, poświata wieczorna. Zapalił świecę, i ściana, z narzuconym na siebie przez wielki klosz, nakrywający zegar, welonem z krepy, pokryła się niczym fantazjami, rysowanymi tuszem, olbrzymimi pióropuszcami kwiatów wąskich, ostrych i delikatnych. Pokój pełen był cieni i krwawych błysków, palących się w wazonach, kałamarzach, popielniczkach, przy-ciskach, stalowych piórach. Pokój człowieka samotnego, w którym on je, myje się, odpoczywa, myśli i marzy — nawet taki pokój — żył w owej chwili swoją harmonią wewnętrzną, nie dając dostrzec znajdującego się w nim dziennego nieładu. W takiej chwili, gdy giną kontrasty żywe, rysujące się w ostrym, wywołującym ruch świetle dnia, i twarze ludzkie stają się piękne, i w naturze zlewa się z dobrem zło.

— Męczą się ludzie — myślał Krzesławski — i należy się im współczucie — i tym, co są na szczytach, i tym, co na dole, i takim, jak Mickiewicz, i takim, jak Czerliński.

Światło wieczorne, tłumiąceienne kontrasty, i otulające wszystko swym przezroczystym płaszczem, dawało też tajemniczy wyraz jego wewnętrznego bytu.

X.

Nieprzeliczone tłumy zalegały ulice, bulwary, place, grupowały się na mostach. Wzbierało ludzkie morze, powoli a coraz groźniej, kotłowało się jak smagane wichurą. Huk szedł z głębi, niewyraźny, jęczący, gdy nagle przemienił się w jeden rozgłośny okrzyk:

— Vive la Pologne!

Nie ludzie — Paryż krzyczał. Krzyczały wieżycie kościołów, obeliski, chimery. Zewsząd, z każdej szczeliny, bił okrzyk w niebo:

— Vive la Pologne!

Trysnęły sztandary i w przeczystym majowym powietrzu chwiała się, jak maszty tonących okrętów. Sztandary z orłem białym i sztandar Irlandii, i sztandar głodnych — czarny, otoczony krepą. Tłum niesie się, pchany sam sobą, jak rzeka, nie mogąca się nawrócić, ku izbie deputowanych.

Tam panowało pomieszanie zupełne i przestrasz.

Deputowany Wołowski, kiedyś poseł polski, dziś obywatel francuski, stoi na trybunie. Nie słychać, co mówi. Burza głosów wdziera się tu z zewnątrz, a manifestacja sięga dopiero placu Sw. Magdaleny.

Jenerał Courtais idzie z wojskiem naprzeciw. Widzi, że fal tych nie wstrzyma, przeraża go rozlew krwi, widok niebywalej masakry.

— Broń do nogi! — pada rozkaz.

Nieprzepartą siłą rwą fale naprzód, ze wszech stron parlament jest otoczony, dziedzińce przepelnione, sala posiedzeń pełna ludzi w bluzach robotniczych.

— Vive la Pologne!

Na trybunie, koło przewodniczącego Buchez, staje Raspail. Wnosi petycję do izby. W imieniu trzystu tysięcy manifestantów, w imieniu delegatów klubów, wnosi petycję, aby Polska przywrócona była na drodze dyplomatycznej, albo z bronią w rękę.

Blanqui mówi.

Podnieca go widok robotników, wskakujących na miejsca, zajmowane przez deputowanych. Nie dba już o nic. Żąda Polski od Warty po Dniepr, od Bałtyku po morze Czarne.

Na salę wdzierają się sztandary z białymi orłami.

— Vive la Pologne!

— Louis Blanc! Louis Blanc!! — huczy tłum na kuryłarzach, na dziedzińcach.

Ludwik Blanc błądzący stał i niemy. W jego wyobraźni ginęła republika. Otoczyli go deputowani, za-

klinając, aby wyszedł, przemówił, zażegnał burzę. Zamieszanie jest tak przerażające, że bagają go o to wozni. Nie chciał.

— Moje miejsce tu!

— A jeżeli poleje się krew?!

Mimo swej woli, wyniesiony został z sali, stanął na jakimś zaimprovizowanym podniesieniu. Miał uspokajać i woła:

— Obywatele! Rewolucja nasza to nie ta, co wstrząsa tronami, ale ta, co je wali! Niech żyje Republika uniwersalna!

— Niech żyje!! Niech żyje Louis Blanc! Louis Blanc!! Louis Blanc!! Louis Blanc!! Niech żyje ministerium pracy!

W dali warknęły bębny.

Barbes, Raspail, złani potem, ochrypli, nawołują o spokój, o rozejście się. Bębny biją.

— Kto da rozkaz ataku, ogłoszony będzie zdrajcą ojczyzny! — woła Barbes.

Bucheza nie było widać zza głów delegatów klubów i robotników. Jeden głos spośród nich wyrwał się i górował.

— Izba jest rozwiązana!

— Izba rozwiązana!! Izba rozwiązana!!

Stało się.

Nie wiadomo skąd, jak, powstał rząd prowizoryczny — Barbes, Blanqui, Ludwik Blanc, Albert.

Bębny biją.

— Do broni! Na barykady!! Do broni!! — huczy tłum.

Członkowie nowego rządu szukają się napróżno. Nie wiadomo, gdzie podział się Albert, Blanc i Blanqui. Nie było ich, gdy Barbes, mając przy sobie Raspaila, dotarł do ratusza. Padł na fotel.

— Co robić?!

Otaczali go jacys ludzie, których nie znał i nie poznawał.

— Co robić?!

Wylaniała się myśl jedna, że, żeby rząd nowy

się utrzymał, aby zapanował nad opinią, aby nie doszło do wewnętrznej rewolucji socjalnej, musi ustąpić, musi wydać wojnę o Polskę. I Barbes już pisał:

„Rząd prowizoryczny, biorąc pod uwagę życzenie ludu, oświadcza, że wysyła natychmiast do rządu rosyjskiego i niemieckiego ultimatum, żądające odbudowania Polski. W razie jego odrzucenia prowizoryczny rząd francuski wypowiada wojnę Rosji i Niemcom. Paryż, 15 maja, 1848 r.”

Odczytał i miał położyć podpis, gdy na salę wszedł oddział wojska z oficerem na czele.

— Barbes?! Jesteś pan aresztowany!

— Przez kogo? Z czyjego rozkazu?

— Jesteś pan aresztowany.

— Jestem członkiem rządu!

— Wydaje się panu.

Ciężkie kroki żołnierzy rozlegały się po salach ratuszowych. Szukano innych. Barbes wychodził pod strażą.

Na ulicach były bębny.

Loskot ich dochodził wszędzie, lecz wojska nie było widać. Nie wiadano, czy ciągnie od strony przedmieść, czy już jest gdzieś w pobliżu, czy może już w jakichś miejscach ściera się z manifestacją. Huk tylko bębnow, nie nad to, tylko drgające od niego powietrze. Gęste tłumy, oczekujące wieści z Izby deputowanych, słuchają, usiłując zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, gdy załamują się w popłochu. Od Izby rwała przez most czarna fala manifestantów, krzycząc:

— Do broni!! Wojsko atakuje!! Rozchodzić się!

— Do broni! Zachować spokój!!

Stracono głowę. Burza ludowa, wszystko roztrącająca przed chwilą, zaczęła roztrącać sama siebie. Duszono się w toku, pomstowano, panika szalała.

Bębny były.

Krzesławski wybiegł na miasto na pierwszy odgłos manifestacji. Do Izby dotrzeć nie mógł, stał wciąż po prawej stronie Sekwany. Naokół wzbierał entu-

zjazm, lud zwyciężał. Spełnił się cud: zmieniała się Francja i zmieniała się Europa. W Berlinie, w Petersburgu, w Wiedniu jeszcze nie wiedziano, że tu w tej chwili pada despotyzm, że kończy się wszelki ucisk i niewola, że walą się trony trójprzymierza. Wiedział to dopiero lud paryski — ten, który to sprawił, wiedział z pewnością niezachwianą, nie ulegającą wątpliwości najmniejszej. Tak pełen przez ową pewność potęgi był i siły, że czynić mógł wszystko, co chciał, że nie było przed nim przeszkód, ani zapór. Przepływał już przezeń prąd umiarkowania i prąd wspaniałomyślności dla pokonanych, bo duszą jego zbiorowa stała się zwycięska. I wtem w tej olbrzymiej natchnionej masie wszczął się zamęt, wszystkie oczy zmieniły swój wyraz, cofano się w tył, pchano, rzucano się do ucieczki.

— Do broni!! Rozchodzić się!! Wojsko atakuje! Spokój!!

Krzesałowski napróżno chciał się przedrzeć, wy dostać na jakieś miejsce, aby ujrzeć, skąd ciągnie niebezpieczeństwo. Zdawało się mu, że, gdyby wojsko się ukazało, to tłum stawiłby czoło, nie zachwiałyby się przed siłą zbrojną, tak jak się zachwiał pod wpływem sprzecznych głosów, gwałtujących przy akompaniamencie bębnow.

Chwilami czyniło się koło niego pusto, w tłumie czyniły się wyłomy, jak w chmurach, rąbanych wiatrem, po czym masa zaciskała się znowu, prąc w tył i unosząc go z sobą.

Wreszcie uczyniło się przestronniej, tłum rozsypał się po placu de la Concorde i Polach Elizejskich, ludzie, przestając się dotykać ramieniem o ramię, powracali do przytomności. Przysławano grupami, nad słuchując.

— To od Bastylii atakują! — usłyszał za sobą, odwrócił się.

— Nigdzie nie atakują! — krzyknął.

— Nie?!

— Nie! Wojska ciągną pod Izbę deputowanych—
rzeki.

— Wojska ciągną pod Izbę deputowanych! —
podawano sobie z ust do ust, i ruch uczynił się w tę
stronę, już spokojniejszy, bez strachu i łoku. Pro-
mień światła rzucony w niewiadomość, wystarczył.

Za mostem błysnęły mundury gwardii narodowej.
Nie puszczano nikogo. Przedarł się jednak na bulwar
St. Germain. Tam spotkał maszerujące wojsko. Bal-
kony i okna były pełne — krzyczano.

— Niech żyje armia!

— Burżuazja triumfuje — pomyślał.

Przez kilka godzin Paryż zmienił wygląd. Wzbu-
rzona, targająca się w sobie, mieniąca się od świe-
tlistych, barwnych i czarnych błysków nadziei, iluzji
i zwątpień, z okrucieństwa przechodząca we wspania-
łość, z wspaniałości w szal, z radości w rozpacz, z du-
my w pokorę — czysta i wyuzdana dusza rewolucji
rozwinęła czerwone skrzydła i uleciała na widok kro-
czącej zwycięsko, obmierzłej sobie i ponad wszystko
wrogiej duszy mieszczańskiego ładu, umiaru i docze-
sności. Mądre kalkulacje, plany, pomyslane przebie-
gle i z chłodną a niezachwianą stanowczością wyko-
nane, wzięły skutek. Naprzeciw szumiącego entuzjaz-
mu, wierzącego, że ze swych głębin dobywa nieznane
dotychczas wartości, i jednocześnie je realizuje, wy-
dającego wojnę o Polskę, wyzwalającego Italię i Irlan-
dię, ruszyły, od dawna chytrze w koszarach ukryte,
masy wojsk i gwardii narodowej. Armaty obróciły się
wylotami ku placom, na których zbierały się tłumy,
i ku wąskim uliczkom robotniczym. Ci sami, którzy
podczas wielkiej rewolucji wymordowali szlachtę
francuską, wymordowaliby dziś bez pardonu wzburzo-
ny Paryż do ostatniego człowieka, tak samo, jak zni-
szczyli resztki feudalizmu, zniszczyli rodzący się so-
cjalizm, tak samo, jak żywe ciało tradycji rzucili z ka-
mieniem u szyi w nurty Sekwany, zatopiliby nieznaną
sobie przyszłość. Silni tym, co jest, pogardzający tym,
co było i będzie, mądrzy doczesnością — zwyciężali.

Bębny biły, jak ostatnie ultimatum, i każdy czuł, że za najmniejszym sprzeciwem rozpalonym żelazem miasto zalane zostanie.

Wracając do siebie, Krzesławski spotkał w przedpokoju panią Gotard. Mimo różnicy przekonań — była bowiem, jak jej mąż i cała rodzina, orleanistką — zawsze między nimi panowała zgoda. Krzesławski mieszkał tu od dawna i z Gotardami łączyła go przyjaźń. W doskonałych również pozostawał stosunkach z „ojcem chrzestnym”.

Mr. Chazel należał chyba do najmniejszych ludzi w Paryżu, bynajmniej jednak nie do karłów. Gdyby o centymetr był niższy, już do karłów by się zaliczał, życzliwość jednak natury, centymetr ten mu użyczywszy, sprawia, że był tylko najniższym spośród najniższych. Należał natomiast do największych paryskich smakoszy i żaroków, znakomitych znawców sosów, przypraw i w ogóle całej gastronomicznej sztuki. Zajmował w niej miejsce nie tylko konsumenta, ale także producenta i wynalazcy. Przy stole Gotardów podawano g i g o t baranie a la Chazel... Spożywając je, wymawiał zawsze sakramentalną formułę: „Jest to najpiękniejszy dzień w moim życiu, kiedy widzę, kochana córko chrzestna, jak nauczyłaś się według mego przepisu przyrządzać tę potrawę”.

— Nigdy nie dojdę do takiej doskonałości, jak ty, kochany ojciec chrzestny — odpowiadała pani Gotard.

— Dojdiesz, dojdiesz, co mówię, już doszłaś, kochana córko chrzestna.

W młodości sprawował obowiązki lektora i sekretarza u jakiegoś starego, sparaliżowanego markiza. Ow bezdzienny i niecierpiący swej rodziny arystokrata zapisał mu cały majątek. Mr. Chazel stał się czowiekiem bardzo bogatym, lecz nie wiedzącym zupełnie, co z dostatkami swoimi zrobić i jak z nich korzystać. Uczł nie wydawał, koszta, łożone na żołądek innych, psułyby mu apetyt, sam zaś do końca życia przejesć tego, co otrzymał, nie byłby w stanie. Innych potrzeb, niż żołądkowe, nie miał i był niezmiernie

skąpy. I otóż niebawem po otrzymaniu zapisu zjawił się z małą walizką w domu Gotardów i rzekł po prostu w kilku słowach:

— Ja u ciebie zamieszkam, kochana córko chrzestna.

Przyjęło go z otwartymi rękami. Jadł, pił, spał i o niczym nie myślał. Pani Gotard dbała o wszystko, o odzież, bieliznę, cerowała mu skarpetki. Przychodzące na świat dzieci — było ich troje — trzymał do chrztu. Był jeneralnym ojcem chrzestnym.

Z domu wychodził zaledwie raz na tydzień, w czwartek, na dwugodzinną przechadzkę, od czwartej do szóstej. Wówczas nie wstrzymywała go ani ślota, ani słońce, ani upał, ani mróz.

— Gdybym nie wyszedł w czwartek na moją przechadzkę, przez cały tydzień trawiłbym nieregularnie, i może ta nieregularność przedłużyłaby się na drugi tydzień — i nie wiadomo, czym by to się skończyło. Przede wszystkim regularność, kochana córko chrzestna.

Zawsze chodził sam, nigdy nie pozwalał sobie towarzyszyć. Dwugodzinną raz na tydzień samotność, także dla regularności była mu potrzebna.

— Założę się, że pan z manifestacji! — zawołała, ujrawszy Krzesławskiego, pani Gotard. — Niechże pan wejdzie do nas do salonu na kieliszek wina.

Miała dla niego serdeczną słabość i nazywała go w myśli c h e r f o u. Dlatego pewnie nie opierał się zbyt, gdy go ciągnęła do rodzinnego ogniska, aczkolwiek nudził się tam ponad wszelkie pojęcie. Nudziła go rozmowa, a zwłaszcza, że wszystko widział. Rzeczy, na które nigdzie nie zwracał uwagi, których nigdy nie pamiętał, wżerały się mu przemocą, brutalnie w pamięć. Nie umiałby opisać toalety Czerlińskiej, pamiętał zaś każdą suknię pani Gotard. Widział, że ma oczyszczone buciki, widział jej grzebień we włosach, widział, że jest umyta, że uczesany jest jej mąż. Każdy szczegół tak dziwnie był podkreślony, że nie pozwolił sobie nie dostrzec. Ale że ludzie byli

dobrzy, więc ich lubił i nawet nie drwił z nich w duchu.

Siedzieli wszyscy w rogu salonu, koło stolika, na którym pośrodku, na okrągłej, jak talerzyk, serwetce, stał wazonik z kwiatkiem, na każdym zaś rogu taka sama serwetka, a na niej inne cacko.

Krzesławski usiadł na kanapie, koło pani Gotard — ojciec chrzestny i Gotard siedzieli na fotelach, naprzeciw siebie — zapalił cygaro i strzepnął popiół na ozdobny, niebieski spodeczek.

— Zaraz podam ci, kochany przyjacielu, popielniczkę — zakrzętnął się Gotard i postawił przed nim porcelankę w kształcie dziewczyny, unoszącej w paluszkach fartuszek.

— Syp popiół w ten fartuszek, on na to jęst.

Uśmiechnął się przychylnie i spytał:

— Więc skończyło się wszystko?

— Co się skończyło?

— A ta dzisiejsza rewolucja.

Zachichotał, zachichotał za nim ojciec chrzestny, na ustach zaś pani Gotard zjawił się uśmiech nieokreślony, uśmiech samej do siebie, odpowiedź, potwierdzająca jakąś myśl, dawniej powziętą.

— Pan Krzesławski nie cieszy się, jak wy. I wszyscy jego rodacy zmartwieni są z pewnością tym, co się stało. Myśleli biedni ludzie, że dzień dzisiejszy od da im Polskę.

— Wcale nie myśleli — zaprzeczył Krzesławski — myli się pani.

— Nie myśleli?

— Nie.

— I mieli rację — rzekł żywo Gotard. — Ty nie myśl — zwrócił się do żony — że Polacy są tylko idealistami. Wcale nie. Są idealistami, prawda, nie ma od nich większych idealistów, chyba my, ale tak, jak my, mają dobry sens — o! Jak my! Polska! Ja też jestem dobrym Polakiem. Może nie? Każdy dobry Francuz jest dobrym Polakiem. Prawda, kochany przyjacielu? Prawda, ojciec chrzestny?

Chazel skinął głową potwierdzająco i umoczył usta w winie.

— I gdybym był pewny, gdybym miał takie przekonanie, że dziś chodzi o Polskę, to nie siedziałbym tu z wami przy tej butelce białego wina, ale bym na ulicy, ale wołałbym o barykady, ale stałbym na barykadach! Gdybym zginął, by aby to najpiękniejsza chwila w moim życiu. Może wątpisz?

— Nie, nie wątpię — odparła poważnie pani Gotard — ja cię przecież znam.

— To jest zupełnie pewne — rzekł z przekonaniem ojciec chrzestny.

— Ale tu nie szło o Polskę, tu szło o co innego, tu szło o rabunek!

Krzesławski nie miał zamiaru się sprzeczać. Po-glądy Gotarda i Chazela by y mu doskonale obojętne, dawniej z panią Gotard prowadził czasem teoretyczną dyskusję, teraz i do tego nie był zdolny wysi ku. Ostatnie jednak słowa zdziwiły go i uderzyły swą nieoczekiwaną treścią.

— O rabunek?

— Tak, kochany przyjacielu! Całe dzisiejsze zamieszanie nie dla czego innego było wywołane. W Paryżu są tłumy bezroboczych. Bandytów, nie bezroboczych! O! Kto chce pracy, ten ją znajdzie, kto nie chce, ten żebrze albo kradnie — nieprawda, ojcie chrzestny?

— Prawda, to jest zupełnie pewne.

— Namnożyło się tych bezroboczych, że coś okropnego! Rząd poprzedni był zbyt dobry, zbyt łagodny i na to pozwolił. Pozwolił żyć darmozjadom! Tego być nie powinno. To jest jedyny zarzut, który stawiam monarchii lipcowej, że pozwoliła żyć darmozjadom! Tłumy silnych, zdrowych mężczyzn, wierz mi, kochany przyjacielu, lepiej wyglądających, niż ja, wałęsały się po ulicach, wypatrywały, jakby dojść łatwo do tego, do czego ja doszedłem ciężką swoją pracą. Te bandy włóczęgów, nieponiów, darmozjadów, złodziei i zbrodniarzy wyległy dziś na ulicę i krzyczały „Vive la Pologne!” Wstyd dla Paryża, dla Francji,

kochany przyjacielu, że takie okrzyki mogły padać z takich ust. Liczyli na to, że gdy tak krzyczeć będą, gdy takich udawać będą bohaterów, to wszystko im będzie wolno. Ze stracimy głowę, że nie potrafimy wyprowadzić przeciw nim armat! I gdyby tak się stało, to rozniesione by już by'y wszystkie sklepy, wszystkie magazyny! I nie my siedzielibyśmy tu, ale oni... oni piliby to wino. Oni rozwaliliby się na tych kanapach, na tych fotelach, na tym dywanie. To święte ognisko domowe byłoby zbezczeszczone, na naszym łóżku małżeńskim spaliby złodzieje i ladacznice!

Na policzki pani Gotard wystąpiły rumieńce.

— Straszne by to było — rzekła.

— Ale niech mi pan powie — odezwał się Krzesławski — w jaki sposób złodzieje i bandyci wiedzieli coś o istnieniu i niewoli Polski? Kto takie hasło w nich zaszczepił?

— Otóż to! — zawołał Gotard — otóż to! Na chleb taki lotr nie ma, udaje, że głodny, że nie ma co jeść — ale na gazetę ma! Niby to ja jednego takiego widziałem, co siedzi na ławce w Tuileries i wszystkie gazety paryskie wylażą mu z dziurawej kieszeni. Gdybym ja na chleb nie miał, to gazet bym sobie nie kupował, nieprawda, ojczu chrzestny?

— Prawda.

— Nie uwierzylibyście, ale daję wam słowo, że widziałem na wasne oczy. Na własne oczy widziałem na Faubourg Saint Antoine walające się na ulicy skórki od pomarańcz. Pomarańcze jedzą!

— Teraz zapanował już spokój zupełny, tłumami tych ludzi na ulicach aresztują — przerwała pani Gotard

— I mam nadzieję, że teraz rząd się nie cofnie. Tysiąc, dwa tysiące pod mur, i będzie spokój na zawsze!

— Za to, że wyszli na ulicę? — spytał Krzesławski.

— Nie za to, że wyszli na ulicę — odpowiedziała za męża pani Gotard — tylko dlatego, że chcieli kraść,

rozbijać i palić. Tak samo powinno być karane podpalenie, jak zamiar podpalenia, tak morderstwo, jak zamiar morderstwa. Ten, kto chce mordować, powinien być rozstrzelany czy zgilotynowany przedtem, nim to uczyni.

Krzesławski się roześmiał.

— Pan się śmieje?

— Nie, ja tylko podziwiam panią.

Istotnie podziwiał ją. Nie po raz pierwszy słyszał od niej obronę kary śmierci. Ta kobieta niezwykle dobra, ubierająca mu pokój w kwiaty, pielęgnująca ojca chrzestnego, czuła matka i żona, kochana przez służbę, rznęła aby ludzi, niczym kurczęta.

W progu stanęła służąca.

— Jakaś pani do pana Krzesławskiego.

Porwał się i ujrzał Czerlińską, bladą, drżącą, wylęką.

— Wando! Tu do mnie?!

— Do ciebie. Nic ci się nie stało?

— Nic. Dlaczego?

— Tak się bałam. To ja już odejdę.

— Wejdz do mnie — rzekł błagalnie.

Przestąpiła próg jego pokoju.

Niezmierne wzruszenie go ogarnęło. Ona, nad wszystko umiłowana, była tu, przy nim, w tym pokoju samotnym, gdzie przeżył najgorsze chwile emigracyjne, gdzie budował i rozwałkał światy swoich marzeń, gdzie walczył ze swymi myślami, gdzie przechodził przez czeluście cudzych poglądów, szukając własnego świata, gdzie śnił o niej po nocach. Nic go od niej nie dzieliło, byli sami poza zrewoltowanym i mieszczańskim Paryżem, z dala od jego walk i hałasów, najbliżsi sobie między wszystkimi. Nigdy nie była mu tak bliska, jak w tej chwili, tak, jakby ją znał przed wiekami, jakby do niego wróciła, przywołana tęsknotą setek lat — tak to teraz rozumiał i czuł. Hymn szczęścia grał mu w piersiach, rozsądzała mu je radość istnienia, przesłaniająca wszystkie chmury przeszłości. Zapomniał o nich, gdyż zapomina się o

mroku, kiedy błysnie promień słońca. Odgadła, co w nim się dzieje, i uśmiechnęła się, wciąż jeszcze zalekniiona tym, że przyszła.

— To ty tak mieszkasz?

— Tak. Bałaś się o mnie?

Uzucie wzbudzenia bojaźni o siebie było mu tak dziwne, obce i nieznane, że przejął się dźwiękiem własnych słów. Nigdy tak nikogo nie pytał, nigdy o niego nikt się nie bał. Chyba mała w dzieciństwie. Rozczulił się, z ączył z siłą miłości, co wszędzie we wszechbycie broni przed niebezpieczeństwem istoty drogie.

— Moja ty złota, bało się o mnie biedactwo!

Słowa nigdy nieużywane, jakby nie istniejące w ludzkiej mowie, biegły mu na usta, rade, że powołano je do bytu, że osieroconym przywrócono prawa i postawiono je ponad purpurą i koroną.

Straciła całą swą powściągliwość i mówiła także inaczej, tak, jak nigdy przedtem.

— Wiesz, jak cię lubię? — zaczerwieniła się, nie mogąc powiedzieć silniejszego słowa — zrozumiałam to dopiero dziś, gdy o ciebie się zaniepokoiłam. Gdy jestem sama, gdy wiem, że ci nic nie grozi, myślę przede wszystkim o sobie. Szczęśliwa jestem, że żyję w twoim sercu, że mam taki świat, gdzie zawsze mogę się schronić, bo zawsze jest żywy. Lubię ciebie, ale siebie kocham więcej. Nigdy nie kochałam siebie tak, jak teraz. Straszna zrobiłaś ze mnie egoistkę. Gdybym ciebie straciła, gdybym ciebie przestała lubić, przestałabym kochać siebie. Zaczęłabym się z sobą kócić, zaczęłabym siebie nienawidzić. Czy ty wiesz, co to jest nienawidzić siebie?

Nie odpowiedział, wsłuchany w jej słowa.

— Lecz ja ciebie nie mogę stracić. Byłaby to jakaś niesłychana nielogiczność, jakiś gwałt w moim istnieniu. Zginęłabym, albo straciłabym rozum.

Skrył twarz w dłoniach, gorące łzy kipiały mu w oczach.

— Janusz!

Uczucie osobistego szczęścia mieszało się z żalem do przeszłości, z rozpaczą nad tym, co przeszła. Już wiedział, że nie Traversi. Co tam Traversi! Jak mógł coś podobnego pomyśleć! Jakieś włoskie zalecanki, z jej strony może jakieś nastroje — nic więcej. To, co w tej chwili w duszy jej świeciło, o czym, patrząc w nią, mówiła, było czym innym. Ani romans, ani złamana miłość. Nie żaliłaby się dziś nad nią. Może sama myśli, że tak, może pozór bierze za rzecz. W przeżyciach jej jest rana jeszcze niezagojona, a wszystko inne, jeżeli było, już się zagoiło.

— Co tobie było? Przez coś ty przeszła?

— Posłuchaj...

— Nie! nie — przerwał. — Nie mów mi nic, nie mów mi nic, dzieciątko moje.

— Boś spytał.

— Spytałem i wstyd mi. Ja o tobie wszystko wiem, wszystko, co jest istotne, czego przede mną nie ukryjesz, ukryć nie możesz. A pozorów istoty rzeczy znać nie mogę, nie wolno mi. Gdybym je poznał, może przestałbym cię rozumieć. Ty ich pewnie także nie rozumiesz dzisiaj. Mają one ważne miejsce w duszy człowieka, przetapiają się w niej, to oświecają ją, to zaciemniają z różnych stron. Procesu tego nikomu podglądać nie wolno, nikomu nie wolno weń się wdzierać.

Spojrzała na niego z wdzięcznym zdziwieniem.

— Masz rację.

— Wiesz, co ci powiem — patrzył na nią rozjaśniony — nigdybym ci tego nie powiedział, gdybym myślał, że prawda, lecz teraz już wiem, że nieprawda, że bardzo głupio się omyliłem. Ja myślałem, że ciebie kiedyś zajął Włoch Traversi.

— Skąd ty wiesz o Traversim?

— Poznałem go.

— Gdzie?

— We Florencji.

— I on ci mówił?...

— Mówił o tobie w taki sposób, że myślałem...

— Co ci mówił?

Powlórzyl rozmowę, opuszczając z niej wszystko, co tyczyło się Czerlińskiego. Słuchala ciekawie, wreszcie wstrząsnęła głową.

— On wcale mnie nie zna — rzekła. — Tak coś niecoś odgaduje, ale mnie nie zna. Ja taka nie jestem. I ty mnie jeszcze nie znasz.

— Nie znam ciebie, Wando?

— Nie, jeszcze niezupełnie. We mnie są różne tony, które do głosu dochodzą powoli. Pyszna i ambitna! Gdzież ja tam jestem pyszna i ambitna! Jeżeli jestem, to nie tak, jak on myśli. Traversi... ja ci powiem, nie chcę tego przed tobą ukrywać. Traversi jest człowiekiem bardzo zdolnym, śmiałym i nieprzeciętnym. Mój Boże, ja w takiej żyłam przeciętności! Tak wszystko tam było szare i nudne. On był jedynym człowiekiem, z którym można było mówić nie o tym, co dzieje się w merostwie, nie o miłośkach pana podprefekta, nie o cenach masła, sera i mięsa. Dużo z nim rozmawiałam i przedstawiałam. Rozmowy z nim były dla mnie jakgdyby wyjazdami z zakazanej prowincji do stolicy. Ale on, trudno mi to powiedzieć, szukał romansu. Gdyby nie szukał, nie będą przed tobą pozowała, nie wiem, coby było, ale że szukał, to nie było nic. Jakoś tak się rozeszło, wyjechał. On nie lubił Karola.

— To zauważyłem.

— Niesłusznie. Zdawało mu się, że wszystkim winien Karol, że stoi na przeszkodzie. — Wzruszyła ramionami. — Ty jesteś zazdrosny.

— Nie.

— Jesteś. To jest uczucie męczące. Męczy obydwie strony. Nie lubię tego uczucia. Niskie jest i małe. Wzburzył się.

— Nieprawda! Ja nie jestem zazdrosny!

— Ach, co ty mówisz!

— Nie! To nie jest zazdrość, gdy znieść nie mogę, aby twój obraz stał we mnie poniżej mojej czci dla ciebie, czci dla twojego ducha, abys była jak inne z tej burżuazji cnotliwej...

— Janusz, nie mów tak do mnie!

— Wszystko powiem! Abys była żoną bez uczucia.

— Zycie mi czynisz ciężkim. Zlituj się nade mną.

Poją swe okrucieństwo, poją, co powiedział. Przeraził się. Wola by umrzeć, niż tak mówić, a nie mógł tego nie powiedzieć.

— Wandziu, ukochana moja — nie żądaj, abym cię kochał zwyczajnie, abym był taki, jak może są inni. To nie jest zwyczajna miłość. Bez tego uczucia, które ciebie męczy i które mnie męczy, poniży bym cię. Musiałabyś inną być dla mnie, niż jesteś.

— Ja nie jestem idea, ja jestem człowiekiem.

— Do człowieka mówię w tobie. Człowieka cześć w tobie, człowieka chcę uwolnić.

XI.

Gdy w początkach poznania Wandy Krzesławski górował nad nią, lub sądził, że górował wola, doświadczeniem i całością poglądów, to teraz spostrzeg, że ona bierze wyższość nad nim, że nad nim panuje. Słowa jej nawet stały się władcze i niejednokrotnie miały treść pouczenia. Zastanowił się nad tą zmianą. Nie, nie panowała. Panowanie człowieka nad człowiekiem jest czymś innym. Jest to, jeżeli chodzi o panowanie oczywiście czysto moralne, nie hierarchiczne, poddanie się jednego charakteru, przez wzięcie go w ryzy, charakterowi drugiemu. W pewnej mierze objaśnić to można stosunkiem kota do człowieka. Ten indywidualistyczny sobek wie doskonale, czego czynić mu nie wolno, i nie czyni, gdy czuje nad sobą oko swego pana. Obojętnie przejdzie koło chowanego w domu ptaka, nie spojrzy na mięso, leżące na stole. Uczyni szkodę, zadusi kanarka, gdy nikt na niego nie patrzy. Panować nad nim można, lecz nie można go prowadzić, chodzi zawsze swoją drogą. Tę właśnie naturę kocią posiadają ludzie, poddający się panowaniu. Pilnują się, gdy są pilnowani, ale swoich włas-

nych, skrytych dróg nie opuszczają i, tak jak koty, nimi tylko chodzą. Jest to wolność niewolników, wykrętna i oszustna — wolność gałganska. Prowadzenie natomiast polega na ufności, nie ma w nim wykrętów niewolnika, wyskakującego chyłkiem na swoje drożyny. Zwyczaj jest wspólne, lecz kierunek daje charakter mocniejszy, wspierając te właściwości, które do jego kompozycji psychicznej należą, a w drugim, prowadzonym, stanowią gamę niższą, barwę innymi właściwościami przysłonią. W prowadzeniu jest element ufności i element opiekuńczy.

Krzesałski nie poddał się Czerlińskiej, ale pozwolił się jej prowadzić. Padał na niego jej urok i budził w nim właściwości uspione, sflumione innymi, rozwiniętymi w życiu. Przypominał sobie dawne, zamierzchłe, dziecinne sprawy, w których duchowość jego przejawiała się inaczej, niż później, pogodnie i jasno. Jedno uczucie pozostało, od najwcześniejszej młodości znane — poczucie prawdy. Wygórowało, gdy inne wiodły, i zamieniło się w jeden bunt przeciw wszystkiemu, co było fałszem i w co element fałszu się wkładał. Ona odczucie to miała również, lecz nie wkładała rozpalonych obcęgów w niczyje żywe serce, żeby z niego wyjąć rzeczy sobie niemiłe.

— Twoje dążenie do wolności w życiu społecznym — mówiła — jest pięknym, nieziszczalnym marzeniem. Jakże może się ziścić przy duchowej nierówności ludzi między sobą? Silne indywidualności zawsze będą wolne, słabe potrzebują przepisów, podstaw i ochron. Czy nie mógłbyć żyć poza społeczeństwem, zamiast dręczyć się nim ustawicznie? Dostyc masz na to siły. Drzewo samotne pięknie i bujnie rośnie. Gdy nie rośnie samo, to choćby było najsilniejsze, wyginać się musi do światła, zasłanianego przez drzewa sąsiednie.

— Bronilaś tych drzew rosnących razem, tego społecznego ładu.

— Bronilałam, bo rozumiem jego słuszność i konieczność, ale odsuwam się od niego i żyję samotnie. Nie dla mnie on został stworzony, niemniej wiem, że

powinien istnieć. Tego poczucia orkiestralnej harmonii w życiu społecznym nie zmieni we mnie nikt. Zła harmonia może się wydoskonalić, a nawet złą wolę od kocięj muzyki. Nam najlepiej by ooby na wyspie bezludnej, i ludzie o pewnym rozwoju zawsze ją sobie stwarzają, ale praw z wyspy bezludnej nie można przenieść w życie ludzkie.

— Bo ich tam nie ma — uśmiechnął się.

— Więc właśnie tam byłoby ci dobrze.

— Nie — zaprzeczył. — Moim żywiołem jest żywioł ludzki, bez niego nie mógłbym myśleć, patrzeć, spostrzegać.

Przeczył jej często i zachowywał zdanie swoje, ale począł racje jej uznawać, siła i przemoc przestawała być w jego pojęciu jedynym środkiem do urzeczywistnienia w życiu idealów, marzył, jakby je szczerpieć bez druzgotania społecznego organizmu, któryby mógł przeistaczać się bez bólu i wstrząśnień, bez czynienia krzywdy nikomu, nawet tej obmierzłej, znienawidzonej burżuazji.

Na ulicach zapalano już latarnie, i Czerlińska stanęła przy oknie. Rozdrażniona i podniecona była tego wieczora. Nagle cofnęła się w tył.

— Karol!

— Gdzie? — spytał Krzesławski, stając przy niej.

— Tam! — wzdrygnęła się całym ciałem.

— Nie widzę.

— Nie widzisz? Już przeszedł.

— Zdawało ci się.

— Nie, nie zdawało. Szpieguje mnie, już wie, że jestem u ciebie.

— Może po prostu przechodził tędy?

— Nie, szedł za mną i teraz czeka, aż wyjdę.

— Jeżeli tak, to najlepiej się przekonać — wziął kapelusz.

Chwyciła go za rękę.

— Nie! za nic na świecie! Nie wychodź!

— Co ci jest, Wando?

Opanowała się.

— Mój jedyny, już się stało. Nie przejmuj się.

— Ja się nie przejmuję.

— Stało się, co stać się musiało wcześniej lub później. Wolałabym, aby stało się później, nie teraz, i w innej okolicy. O mnie tu wcale nie chodzi, głowa jestem przyjąć wszystkie konsekwencje. Tu chodzi o niego.

— O kogo?

— O Karola. Biedny człowiek.

Nic nie rozumiał.

— Powiedziałaś sama, że stać się musiało wcześniej lub później, więc w każdym razie tragedii nie ma.

Zachnęła się niecierpliwie.

— Bo ty nic nie rozumiesz.

— Nie rozumiem.

— Jemu znieść to będzie dziś bardzo trudno; Lamartine upadł.

— Cóż to ma do Lamartine'a?

— Dla niego upadek Lamartine'a jest przejściem bardzo ciężkim, bardzo to odczuł. Przegrał. Czowiek, który przegrywa, na wiele rzeczy się waży. Nigdy mnie nie szpiegował, pierwszy raz to się zdarzyło, widzisz, jak mu jest źle.

— Lamartine czy nie Lamartine, jak możesz przebywać z człowiekiem, który cię śledzi.

— Pierwszy raz.

— Wystarczy raz. Jak możesz?

— Daj spokój. Wiem, co chcesz powiedzieć. Stało się, czego pragnąłeś, stało się, mimo twojej woli, takie widać by o zrządzenie. Ale teraz ja sama tylko mogę to rozwiązać, zostaw to mnie. Staraj się go nie spolykać.

Rozświetliło się mu w mózgu.

— Wando — rzekł — niczego się nie lękaj, nie lękaj się o niego. Jeżeli mnie wyzwie, to oczywiście mu stanę, ale go nie zastrzelę, nic mu nie zrobię. A jeżeli mnie obrazi, też się nie lękaj, też mu nic nie zrobię.

— Janusz! Ja tego nie wymagam! — krzyknęła.

— Też mu nic nie zrobię...

Dech w piersiach mu się załamał, przyrzekł więcej, niż mógł, i przysięgał sobie, że tak uczyni, że ueszyjni więcej, niż może. Wtedy w łeb sobie strzeli, ale tamtemu nie robi nic.

— Nie lękaj się, Wando.

Ogarnął ją silnie ramieniem.

— Powiedz mi prawdę, powiedz tak, jak wszystko mi mówisz. Ty go kochasz?

— Nie! Jak możesz o to pytać?! Obojętny mi nie jest i chcę, żeby mu było dobrze.

— Więc dlaczego o niego się boisz?

— O obcego teżbym się bała, a to przecież przeze mnie.

— Jesteś pewna, że to on był?

— Jestem pewna.

— Pojąć nie mogę. Estymy wielkiej dla niego nie mam i przypuszczam, że nie wszystkoby go mierziło, co mnie np. mierzi. Ale pod oknami cudzymi chodzić — no! no! no! Za tobą chodzić krok w krok!... Wyobrazić sobie nie mogę. O to go nie podejrzewałem i, wiesz, nie podejrzewam.

— Do widzenia, Janusz — rzekła cicho.

— Jakże się dowiem?

— Dam ci jutro znać, jeszcze nie wiem jak, ale jutro dam ci znać. Do widzenia.

— Ja samej cię nie puszczę.

— Zostań — rzekła stanowczo. — Wierzaj mi, że ja najlepiej sama wiem, co mam czynić.

Jednak nie został. Wyszedł za nią niepostrzeżenie.

Gdyby on głos na nią podniósł — figura taka, co pod cudzymi oknami chodzi, zdolna jest do wszystkiego — łeb mu rozwali na ulicy, bez wahania. Nie zniesie, aby jej krzywda się stała. Niech ze mną gada, z mężczyzną — nie z nią. Ja zniosę wszystko od tego kpa, dla niej jednej na świecie — ale jej bronić będę.

Na ulicy było pusto, w świetle latarni widział wysoką, szczupłą sylwetę Czerlińskiej. Szła szybko.

Więc go nie było? Po cóż chodził pod oknami, jeżeli na nią nie czekał. Może się omyliła. Niepodobna, nie mogła się była omylić. I nieprawda, że to przez jakiś tam upadek Lamartine'a. Zna go dobrze i wie, co potrafi! Podejrzenia takie są znamienne, nie na każdego padają, na niego by nie padły. Ale dlaczego nie czekał? Aha! Nie siedł za nią, jak podejrzewała. Chodził pod oknami, nie będąc pewny — jest, czy jej nie ma. Widać osądził, że nie ma, i odszedł. Musi go jednak zobaczyć, nie może czekać, aż ona tę sprawę rozstrzygnie, on może chce z nim mówić. Nie może go unikać, musi mu dać sposobność, musi spotkać się z nim oko w oko.

Stał przed mieszkaniem Czerlińskich.

— Jeszcze za wcześnie; nie, nie za wcześnie — zadzwonił.

Zastał ich oboje rozmawiających spokojnie, o rzeczach obojętnych. Więc nic? Miał wrażenie, że nic, że się omylija. I ona straciła pewność. Zdołała mu szepnąć:

— Dlaczego przyszedłeś? Nic nie rozumiem.

— Omyliłaś się, prawda?

— Może się omyliłam.

Gadał, został na herbacie i studiował fizjonomię Czerlińskiego. Zauważył, że jest przygnębiony, przybity. No, to ten upadek Lamartine'a.

Późno już było, gdy się żegnał. W przedpokoju Czerliński zatrzymał go.

— Janusz, jabym chciał z tobą pomówić.

Krzesałski spojrział na niego.

— Służę ci.

— Chodź do mego gabinetu. Wandzia już się kładzie. Chodź do mego gabinetu, będziemy swobodni.

Krzesałski zawahał się. Lepiej by było pójść do jakiejś kawiarni, lecz te już pewnie były zamknięte. Odkładać rozmowy nie mógł.

— Dobrze — rzekł.

Czerliński chodził długo po pokoju. Nie mógł zacząć. Przegarniał włosy. Krzesławski zniecierpliwiał się.

— Co mi powiesz? — rzeki szorstko.

— Janusz, daj mi słowo, że nikt nie będzie wiedział, że nikomu nie powtórzysz...

— Daję słowo.

— Ani Wandzi.

Więc z żoną o tym mówić nie chce. Odetchnął.

— Dałem słowo, że nikomu.

Wtedy Czerliński usiadł naprzeciw.

— Pomyślisz, że jestem łotr, że jestem człowiek upadły...

— Nie nie pomyślę, tylko mów.

— Pomyślisz. Kto inny możeby mnie zrozumiał, ale ty nie jesteś z takich, którzy rzeczy podobne przebaczą. Jednak, gdybym był taki, jak myślisz...

— Ja jeszcze nie nie myślę.

— Gdybym był taki, jak myślisz, tobym tu ciebie nie wolał, to bym nie stał dziś pod twoją bramą.

— Toś ty stał przed moją bramą? Z jakiegoż to powodu?

— I nie śmiałem wejść.

Krzesławski zmrużył oczy. Wszystkiego się spodziewał, tylko nie takiej psiej uległości i pokory.

— Dlaczego nie śmiałeś wejść?

— Muszę ci powiedzieć wszystko, muszę. Wiesz, że byłem w gabinecie Lamartine'a. To jest nie byłem w gabinecie Lamartine'a. Ofiarowałem Lamartine'owi swoje usługi, myśląc, że to będzie dobrze dla sprawy publicznej. Ale Lamartine mówił tylko raz ze mną, tylko raz go widziałem. Kazał mi porozumiewać się z Philidorem.

— Z jakim Philidorem?

— Uchodzi on za rewolucjonistę, za liberała. Miałem do niego zaufanie, czyż ja się na tych rzeczach znam? Ty wiesz, że nie mieszałem się nigdy do niczego. Miałem do niego zaufanie...

Krzesałowski podniósł się i położył mu dłoń na ramieniu.

— Gadaj—no, bracie, wszystko, jak na spowiedzi.

Płynęła godzina jedna i druga, Czerliński mówił. Nikomu nie było tajne, że Philidor jest w gabinecie Lamartine'a. Lamartine był szefem rządu liberalnego, kolegowali z nim rewolucjoniści. Niejeden z nich, wychodząc od Lamartine'a, wstępował do Philidora. Mieli go za człowieka swojego — a to był agent policyjny.

— Skąd ty to wiesz?

— Pracowałem przy nim.

— Brałeś pieniądze?

— Nie.

— To dobrze, to już bardzo dobrze.

— Mogłem być brać, dawałem przecież swój czas w dobrej wierze.

— Dobrze, żeś nie brał.

— A gdybym brał?

— Cóż ci mam na to odpowiedzieć, kiedyżeś nie brał. Powiedz—no, na czym ta praca przy nim polegała?

— Philidor informował się u mnie o stosunki polskie, o nasze stosunki emigracyjne. Kto z nas należy do klubów francuskich, kto zamieszany jest w międzynarodowe konspiracje. O wielu wiedział sam. Wiedział o tych, o których ja wiedziałem, o których wiedzieli wszyscy, ale byli i tacy, o których nie wiedział.

— I tych ty wymieniłeś?

— Nie. Wymieniłem tylko jednego.

— Kogo?

— Ciebie. Byłeś w Rzymie, nie sądziłem, że wrócisz, że ci coś z tego powodu grozić będzie.

Tu Krzesałowski schwycił kłamstwo, zrozumiał, że Czerliński wydał go później, wtedy gdy z Włoch powrócił — ale nie nie rzekł.

— Janusz, darujesz mi?

— Nie nie mam ci do darowania, lecz chcę wiedzieć wszystko. Jaki Philidor czynił użytek z twoich wiadomości?

— Mówię ci, że wiadomości mu żadnych nie dawałem, to, co mogłem mu powiedzieć, wiedział sam. Czasem zapisał jakiś szczegół.

— Jaki ?

— Bez znaczenia, wierzaj mi. Ufałem mu zupełnie i on także mi ufał, zaprzyjaźnił się ze mną. Miałem go za porządnego człowieka... ale gdy zobaczyłem u niego raport z posiedzenia jednego z klubów, do którego uczęszczał, jako jego członek, otworzyły mi się oczy. Byłem w domu.

— Aha!

— I teraz, gdy mnożą się aresztowania, zacząłem sobie przypominać, co ja mu mówiłem, czy na kogo nie ściągnąłem nieszczęścia. Nie, nic o nikim nie powiedziałem, tylko o tobie.

— Nie niepokój się, ten Philidor mnie zna.

— Zna ciebie ?

— Doskonale, nic nie mogłem mu powiedzieć, czego sam by nie wiedział. Więcej wie o mnie, niż ty. I ja go też dobrze znam.

— I nie myślałeś? Prawda?

— Nie, nie myślałem.

— Więc jak ja mogłem się domyślić, jeżeliś ty nie odgadł. Twoje doświadczenie przecież w tych sprawach jest inne. A wiesz, ciężar spadł mi z serca.

— Powinieneś mnie jednak zwolnić ze słowa.

— To niemożliwe!

— Zastanów się. Mnie nie grozi. Cóżes ty mógł o mnie Philidorowi powiedzieć? Ze byłem we Włoszech z Mickiewiczem? Nikomu to nie jest wzbronione. Ze należę do klubów francuskich? Sam mnie tam widywał. Od przyjazdu z Włoch nie mieszałem się do niczego, zaburzeń rewolucyjnych nie by'ło, prócz tej manifestacji, do której w niczym się nie przyczyniłem. Mnie więc nie grozi nic. Ale dla innych wiadomość twoja bardzo jest ważna, ważna jest dla Francuzów, tych, którzy mają Philidora za swojego. Nie obawiaj się, żebym ciebie wydał, że od ciebie wiem.

Na ulicy było pusto, w świetle latarni widział wysoką, szczupłą sylwetę Czerlińskiej. Szła szybko.

Więc go nie było? Po cóż chodził pod oknami, jeżeli na nią nie czekał. Może się omylił. Niepodobna, nie mogła się była omylić. I nieprawda, że to przez jakiś tam upadek Lamartine'a. Zna go dobrze i wie, co potrafi! Podejrzenia takie są znamienne, nie na każdego padają, na niego by nie padły. Ale dlaczego nie czekał? Aha! Nie siedł za nią, jak podejrzewała. Chodził pod oknami, nie będąc pewny — jest, czy jej nie ma. Widać osądził, że nie ma, i odszedł. Musi go jednak zobaczyć, nie może czekać, aż ona tę sprawę rozstrzygnie, on może chce z nim mówić. Nie może go unikać, musi mu dać sposobność, musi spotkać się z nim oko w oko.

Stał przed mieszkaniem Czerlińskich.

— Jeszcze za wcześnie; nie, nie za wcześnie — zadzwonił.

Zastał ich oboje rozmawiających spokojnie, o rzeczach obojętnych. Więc nic? Miał wrażenie, że nic, że się omylił. I ona straciła pewność. Zdołała mu szepnąć:

— Dlaczego przyszedłeś? Nic nie rozumiem.

— Omyliłaś się, prawda?

— Może się omyliłam.

Gadał, został na herbacie i studiował fizjonomię Czerlińskiego. Zauważył, że jest przygnębiony, przybity. No, to ten upadek Lamartine'a.

Późno już było, gdy się żegnał. W przedpokoju Czerliński zatrzymał go.

— Janusz, jabym chciał z tobą pomówić.

Krzesławski spojrzał na niego.

— Służę ci.

— Chodź do mego gabinetu. Wandzia już się kładzie. Chodź do mego gabinetu, będziemy swobodni.

Krzesławski zawahał się. Lepiej by było pójść do jakiejś kawiarni, lecz te już pewnie były zamknięte. Odkładać rozmowy nie mógł.

— Dobrze — rzekł.

Czerliński chodził długo po pokoju. Nie mógł zacząć. Przegarniał włosy. Krzesławski zniecierpliwił się.

— Co mi powiesz? — rzekł szorstko.

— Janusz, daj mi słowo, że nikt nie będzie wiedział, że nikomu nie powtórzysz...

— Daję słowo.

— Ani Wandzi.

Więc z żoną o tym mówić nie chce. Odetchnął.

— Dałem słowo, że nikomu.

Wtedy Czerliński usiadł naprzeciw.

— Pomyślisz, że jestem łotr, że jestem człowiek upadły...

— Nie nie pomyślę, tylko mów.

— Pomyślisz. Kto inny możeby mnie zrozumiał, ale ty nie jesteś z takich, którzy rzeczy podobne przebaczą. Jednak, gdybym był taki, jak myślisz...

— Ja jeszcze nie nie myślę.

— Gdybym był taki, jak myślisz, tobym tu ciebie nie wołał, to bym nie stał dziś pod twoją bramą.

— Toś ty stał przed moją bramą? Z jakiegoż to powodu?

— I nie śmiałem wejść.

Krzesławski zmrużył oczy. Wszystkiego się spodziewał, tylko nie takiej psiej uległości i pokory.

— Dlaczego nie śmiałeś wejść?

— Muszę ci powiedzieć wszystko, muszę. Wiesz, że byłem w gabinecie Lamartine'a. To jest nie byłem w gabinecie Lamartine'a. Ofiarowałem Lamartine'owi swoje usługi, myśląc, że to będzie dobrze dla sprawy publicznej. Ale Lamartine mówił tylko raz ze mną, tylko raz go widziałem. Kazał mi porozumiewać się z Philidorem.

— Z jakim Philidorem?

— Uchodzi on za rewolucjonistę, za liberała. Miałem do niego zaufanie, czyż ja się na tych rzeczach znam? Ty wiesz, że nie mieszałem się nigdy do niczego. Miałem do niego zaufanie...

Krzesałowski podniósł się i położył mu dłoń na ramieniu.

— Gadaj-no, bracie, wszystko, jak na spowiedzi.

Płynęła godzina jedna i druga, Czerliński mówił. Nikomu nie było tajne, że Philidor jest w gabinecie Lamartine'a. Lamartine był szefem rządu liberalnego, kolegowali z nim rewolucjoniści. Niejeden z nich, wychodząc od Lamartine'a, wstępował do Philidora. Mieli go za człowieka swojego — a to był agent policyjny.

— Skąd ty to wiesz?

— Pracowałem przy nim.

— Brałeś pieniądze?

— Nie.

— To dobrze, to już bardzo dobrze.

— Mogłem być brać, dawałem przecież swój czas w dobrej wierze.

— Dobrze, żeś nie brał.

— A gdybym brał?

— Cóż ci mam na to odpowiedzieć, kiedyżeś nie brał. Powiedz-no, na czym ta praca przy nim polegała?

— Philidor informował się u mnie o stosunki polskie, o nasze stosunki emigracyjne. Kto z nas należy do klubów francuskich, kto zamieszany jest w międzynarodowe konspiracje. O wielu wiedział sam. Wiedział o tych, o których ja wiedziałem, o których wiedzieli wszyscy, ale byli i tacy, o których nie wiedział.

— I tych ty wymieniłeś?

— Nie. Wymieniłem tylko jednego.

— Kogo?

— Ciebie. Byłeś w Rzymie, nie sądziłem, że wrócisz, że ci coś z tego powodu grozić będzie.

Tu Krzesałowski schwycił kłamstwo, zrozumiałszy, że Czerliński wydał go później, wtedy gdy z Włoch powrócił — ale nie nie rzekł.

— Janusz, darujesz mi?

— Nie nie mam ci do darowania, lecz chcę wiedzieć wszystko. Jaki Philidor czynił użytek z twoich wiadomości?

— Mówię ci, że wiadomości mu żadnych nie dawałem, to, co mogłem mu powiedzieć, wiedział sam. Czasem zapisał jakiś szczegół.

— Jaki ?

— Bez znaczenia, wierzaj mi. Ufałem mu zupełnie i on także mi ufał, zaprzyjaźnił się ze mną. Miałem go za porządnego człowieka... ale gdy zobaczyłem u niego raport z posiedzenia jednego z klubów, do którego uczęszczał, jako jego członek, otworzyły mi się oczy. Byłem w domu.

— Aha!

— I teraz, gdy mnożą się aresztowania, zacząłem sobie przypominać, co ja mu mówiłem, czy na kogo nie sięgnąłem nieszczęścia. Nie, nic o nikim nie powiedziałem, tylko o tobie.

— Nie niepokój się, ten Philidor mnie zna.

— Zna ciebie ?

— Doskonale, nic nie mogłeś mu powiedzieć, czego sam by nie wiedział. Więcej wie o mnie, niż ty. I ja go też dobrze znam.

— I nie myślałeś? Prawda?

— Nie, nie myślałem.

— Więc jak ja mogłem się domyślić, jeżeliś ty nie odgadł. Twoje doświadczenie przecież w tych sprawach jest inne. A wiesz, ciężar spadł mi z serca.

— Powinieneś mnie jednak zwolnić ze słowa.

— To niemożliwe!

— Zastanów się. Mnie nic nie grozi. Cóżes ty mógł o mnie Philidorowi powiedzieć? Ze byłem we Włoszech z Mickiewiczem? Nikomu to nie jest wzbronione. Ze należę do klubów francuskich? Sam mnie tam widywał. Od przyjazdu z Włoch nie mieszałem się do niczego, zaburzeń rewolucyjnych nie było, prócz tej manifestacji, do której w niczym się nie przychyliłem. Mnie więc nie grozi nic. Ale dla innych wiadomość twoja bardzo jest ważna, ważna jest dla Francuzów, tych, którzy mają Philidora za swojego. Nie obawiaj się, żebym ciebie wydał, że od ciębie wiem.

— Więc rób, jak chcesz, tylko naturalnie bez
mojego nazwiska.

— Bądź pewny. Zwalniasz mnie?

— Zwalniam. I Wandzi o tym ani słowa.

— Nikomu, komu nie potrzeba.

Switało. Wstał, lecz Czerliński go jeszcze zatrzymał. Wpadł w przedziwny humor. Oczyszczył sumienie i pozbył się obaw, które w nim wzniecały stosunki z Philidorem. Tymczasem sprawa była baha, kto, jak kto, ale Krzesławski na tym się zna, a Krzesławski go nie potępił. Przeciwnie, uściśną mu rękę przyjaźnie.

— Wiesz — mówił — teraz widzę, że nie źle, ale dobrze się stało. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, prawda? Gdybym tam się nie zaplątał, gdybym nie dał się omotać, bo mnie omotano, nie wiedzielibyście, jakiego ptaszka macie między sobą. Nie domyślał się, łotr, że trafił na porządnego człowieka.

— A nie domyślał się — potwierdził Krzesławski.

Czuł do niego pogardę bezmierną. Głupi i nikczemny. Zdawał sobie sprawę jasno, że wydał go przez zazdrość, że chciał w ten sposób na nim się zemścić i od swojego domu oddalić. Innego sposobu nie miał, jak ten. Ona go dobrze zna. Posądziła go o szpiegostwo, bo szpieg. Posądziła niesłusznie, lecz się nie omyliła. Jednak ruszyło go sumienie, jednak nie wytrzymał. Nie wytrzymał, bo słaby. Silny nikczemnik jest łotrem, słaby szuja. Szuja! Gdyby się wprawił, to kto wie... początki zawsze są trudne.

I stało się mu tak źle i ciężko, że niech by otworzył się przed nią grób. Ona z takim nicponiem, z takim, co włóczy się po szpiegowskich biurach, z takim pod jednym dachem, z takim w codziennej rozmowie. Jakiż będzie jej rozwój, jaka jej przyszłość moralna? Ratować ją? Jak? Wyrzekłby się jej, gdyby ją mógł ocalić.

Co uczynił Czerliński, aby go osądzić, jako nikczemnika? Ze poszedł do Lamartine'a. Więc cóż? Skorzystał ze swego stanowiska politycznego emigranta, przed ludźmi zaś chciał przedstawić się pięknie i krok swój tłumaczył dbałością o sprawę powszechną. Zwykle pospolite kłamstwo i poza. Do nikczemności daleko. Nie jest nikczemnością zabiegać o karierę. Można posługiwać się w tym i środkami podłymi, i takimi, które ujmy nie przynoszą. Czerliński postąpił głupio i kłamliwie, człowiek marny — nie szuja, ani łotr. Czy wreszcie można bez wszelkich zastrzeżeń osądzić go jako kłamcę, raczej jako oszusta, nadużywającego tytułu emigranta politycznego dla prowadzenia swoich interesów prywatnych? Mogło tu być pomieszanie troski o karierę z myślą, że, otrzymawszy wpływowo stanowisko, będzie także użyteczny i sprawie krajowej. Kto go tam wie! Na sumieniu dotąd nie miał, co pozwoliłoby go nazwać człowiekiem podłym. Philidor? Stosunki z Philidorem by'y skutkiem głupiej wizyty u Lamartine'a, a rozmowy z nim dowodem głupoty bezmiernej. Głupiec — tak! Jednak nazwisko jedno wymienił, nazwisko jego, Krzesławskiego. Uczynił to pod wpływem zazdrości. Obrony nie ma. Nikczemnik. Jednak nikczemność popełniona nie przez nikczemnika. Gdy ochłonał, gdy spostrzegł co zrobił, oskarżył się i wyznał. Łatwo mu to nie przyszło, nie śmiał przestąpić progu jego mieszkania, drżał, rozpoczynając o tym rozmowę. I Krzesławski zapytał siebie, jakbym ja go osądził, gdyby nie moje uczucie do jego żony? Czybym wówczas powiedział o nim: galgan?

Nie mógł odpowiedzieć. Rozumowanie, zmniejszające winę Czerlińskiego, wywołane było wątpliwością, czy on, Krzesławski, nie postępuje nieuczciwie, tak potępiając go i bezczeszcząc, a kierowane tym uczuciem, szło drogą, która możeby była zupełnie inna, gdyby uczucia tego nie miał. Jakaby wówczas

była ta droga? Nie wiedział. Zdarzenie proste, najmniej skomplikowane, nie dało się oświetlić z powodu stanu uczuciowego, w jakim się znajdował, prawda stała się nieuchwytna. Jednak... jednak... gdyby w czółwieku tym nie było podłości, czyż onaby go posądziła, że ją pod oknami szpieguje? Omyliła się, ale posądziła. Musiała znać jego podłość wrodzoną. Uczyniła to pod wpływem emocji, dajmy na to, lecz przecież jego, Krzesławskiego, nie posądziłaby o to pod wpływem żadnego uczucia. Żeby podejrzewać gdzieś chorobę racic, trzeba wiedzieć, że są racice. I to nieprawda. Jej stosunek do męża i stąd wynikający sąd o nim mógł być uwarunkowany jej stosunkiem do niego, do Krzesławskiego. I dla niej prawda była nieuchwytna. Nie wiedział nawet, czy ten głos „ratować ją” i nawet ten drugi „ratować ją, choćby miał ją stracić”, nie był tylko głosem męskiej wyłączności. Naprawdę nie wiedział. I nie wiedział, czy sąd o Czerlińskim „gałgan” nie powstał dlatego, żeby ten głos zabrzmiał silniej i bardziej przekonująco. Jeżeli tak, to gdzie on się znalazł, dokąd idzie? Czerliński jest nieczemnikiem, gdyż, chcąc go usunąć, wydał go przed Philidorem — a czymże on jest, jeśli, chcąc usunąć Czerlińskiego, szkaluje go i poniża. Wstrząsnął nim dreszcz, że tak być może, choć, czy tak jest, też sprawy sobie nie zdawał. Jedną wyłaniała się niezbita prawda: Czerliński żony nie szpiegował. To jej musiał powiedzieć. I drugą, że jest ponad jego siły widzieć przy niej Czerlińskiego — nie dlatego, że ją chce ratować, tylko dlatego, że ją kocha.

To była prawda jasna jak latarnia, najbliższa z latarni, za którą inne, z długiego rzędu, były przyćmione. Trzeba było minąć pierwszą, aby zobaczyć drugą i trzecią, trzeba było pierwszą zgasić, aby tamte całym zabłyśły światłem. Wtedy możeby wiedział, stając przed każdą z osobna, jakie jego uczucie rodzi prawdziwa miłość a jakie jej burza: zazdrość. Nie, nicby nie wiedział, gdyby pierwsza latarnia zgasła. A żyć nie chciał nieuczciwie i nie mógł. Ne mógł żyć

z wątpliwością o czystości swoich intencji i swoich myśli, wsłuchany ustawicznie w decydujący głos wewnętrzny, o którym nie wiedział — prawdę mówi, czy kłamie. Uczciwy był, bo przecież stosunek swój do Czerlińskiego opierał na niezaprzeczonych cechach jego charakteru i umysłu, które oceniał tak, jak oceniało wielu innych, które oceniał tak samo w Warszawie, nim poznał jego żonę. Różnica by a ta, że wówczas był mu on obojętny, a teraz go niecierpiał, sądu jednak w niczym o nim nie zmienił i, gdyby żony jego nie znał, postępków jego inaczej nie byłby sądził. To była prawda. Ale że był uczciwy — nieprawda! nieprawda! Uczciwie by oby, gdyby powiedział Czerlińskiemu: „Kocham Wandę, a ona mnie”. To byłoby uczciwie, wtedy by się ocalił, wydostał z tego mętu i tej niemożności spojrzenia w swoją własną duszę. Siebie by ocalił — a ją? Dlaczegoż ona tego nie chciała? Odwagi jej nie brakło, stanowczości, woli; a jednak tam, gdy wrócił z Włoch, odepchnęła go, aby nie ujrzał ich Czerliński, a jednak zadrdzała, gdy ujrzała przez okno Czerlińskiego na ulicy. Więc gdyby Czerlińskiemu powiedział, siebie by ocalił, uczyniłby to, co wynikałoby z miłości jego do samego siebie, ale nie z miłości do niej. Z miłości do niej wynikał tylko jeden nakaz: niech jej będzie dobrze. „Niech jej będzie dobrze” — powtórzył w sobie, jak słowa zaklęcia, odpychające syczące węże. I gdy nastąpiła chwila, że odeszły, gdy miał pełną i jasną świadomość, że jest w nim tylko troska o nią, spytał:

— Czy nie zastanawiałaś się, że i dla niego, i dla ciebie byłoby lepiej, aby to wszystko stało się jasne?

Spojrzała mu w oczy ze smutkiem.

— Janusz, ja wiem, co ciebie dręczy, mówiłeś mi — to, co i mnie.

A potem wzięła jego ręce w swoje i mówiła:

— Ja od niego odejść nie mogę. Ach, ileż razy, żebyś ty wiedział, ile razy ja o tym myślałam. Nie mogę. Nie mogę budować swego szczęścia na cudzym

grobie, bo dla niego byłby to grób. Ja go do dna znam, nikt go tak nie zna, jak ja. On nie jest zły, nie jest nawet tak pozbawiony wartości, jak o nim sądzisz, jest tylko bardzo słaby. Ja wiem, że on by się stoczył, moralnie zginął, gdyby nie miał przy sobie nikogo. Nie dlatego, że jest zły, nie dlatego, że jest marny, tylko dlatego, że słaby. Ja jestem przy nim, tak los chciał, ludzi nie tylko miłość łączy, są jeszcze inne węzły. Gdyby miał inną żonę, niż ja, miałby w niej oparcie pewne i stałe. Możeby taką miał, gdybym ja za niego nie wyszła. To moja wina. Ja mu przeszkodziłam, aby taką miał. Widzisz, gdyby on kogoś wolał ode mnie, miałby prawo mnie porzucić, ale ja takiego prawa nie mam.

— Jak można żyć z tym, kogo się nie kocha ?!

— Daj spokój, nie mów tak do mnie. Tak prosiłam! Nie mówmy nigdy o tym. Zgódź się na to — mój ty!

Godził się, uznawał jej rację. Nie tę, że Czerliński by zginął, że zaprzepaściłby się. Nie tę, że miała względem Czerlińskiego obowiązek. W jego przekonaniu pierwszym ludzkim obowiązkiem człowieka był obowiązek względem samego siebie. Poczucia tego nie nazywał egoizmem. Miłość do Czerlińskiej stanęła przed nim, jak istota żywa, mająca swoją własną duszę, jak indywidualność sama w sobie. I wyobraził sobie, że człowiek to jest ogromny świat uczuć, z których znane mu jest tylko najbliższe ich społeczeństwo, a nieznanne inne, niewiadomo gdzie się kończące, spóżyjące z tym najbliższym według praw nieznanych. Bo cóż człowiek wie o człowieku? Nic. Jak myśl wyrobiona w nim została dla celów praktycznych, stąd niedoleżna wobec wszystkiego, co nie jest materia, tak pojmowanie człowieka urobione zostało według praktycznych celów społecznych. I człowiek pojął siebie jak maszynę, pełną śrub i motorów, kół i zębien — sumienie, wola i coś tam jeszcze, i tak dalej. Wszystkie te części składowe dadzą się policzyć, rozłożyć i zmierzyć. Jakże to śmieszne! Człowiek jest

światem uczuć, ich kompozycją. Jest polem ich walk, przymierzy, porozumień się i rozejść. Obowiązek jego pierwszy jest obowiązkiem względem tego świata. Czy w tym jest egoizm? Czy egoizmem było, że za Czerlińską gowę by dał? Nie był przecież egoistą, gdy życie ważył dla umiłowanych przez siebie idei, a było to przecież to samo, ten sam obowiązek więc uznawał jako jej rację. Gdy spostrzegła Czerlińskiego przez okno, przelekała się najpospoliej, najzwyczajniej. Jeszcze uczucie-rycerz, biorące ją w obronę przed wszystkimi kłami, któreby z zewnątrz i z wewnątrz do niej się szczyrzyły, nie przybiegło z dalekich szeregów. Jeszcze nie była gotowa. Więc gdyby dziś nastąpiło to, co chciał, aby się stało, gdy powrócił z Włoch, co stać się mogło przypadkiem, gdyby Czerliński ją szpiegował, stałoby się z jej poniżeniem, bez jej zwycięstwa. Mówiła szczerze „obowiązek”, bo takie było *m o t d ' o r d r e* w jej świecie wewnętrznym, dające jej siłę oczekiwania. Lecz było to tylko *m o t d ' o r d r e*: racją prawdziwą, wyrażającą się, aby rozwiązać sprawę na swoim poziomie. Powiedziała mu przecież: „rozwoju mego nie przyspieszaj”. Teraz słowa te rozumiał. Lęk jej, gdy ujrzała Czerlińskiego, powiedział mu, co by było, gdyby tę sprawę rozwiązała dziś, te słowa mówiły jej rację, więc uznawał rację istotną, przyjmującą dla jej własnych oczu pozór racji innej, ale tym bardziej miotała nim nienawiść dla społeczeństwa, przez które to wszystko się tworzyło. Gdyby człowiek był wolny! Jak w oczach wolnego człowieka wyglądałyby te nasze sprawy? Takie związki? Nie inaczej, niż dla nas wygląda, po śmierci mężów, palenie ich żon na stosie. Jak dla człowieka wolnego wyglądałaby niemożność rozchodzenia się ludzi z powodów uczuciowych, przy zostawieniu im możliwości rozchodzenia się z powodów fizycznych? Aby nam plunąć w pysk, za wiele miałby pogardy. Niewola tworzy kłam, bo niewola fałszuje człowieka, będącego poznawczym organem świata. Jak poznać prawdę, gdy jest się fałszem? Jak poznać pra-

wdę, gdy w niewolniczej psychice uczucia nie śmia podnieść przyłbicy i przybierają postać uczuć innych, aby oszukać człowieka, a od nich przecież poznanie to zależy. Wanda mówi: nie można poznać prawdy bez szczęścia. Lecz cóż to jest szczęście? Wolność. Jakież jest szczęście przy niewoli?

Co mówił Traversi? Acha! O perfidii. Ze Czerliński, aby ją do siebie przywiązać, oddał się jej w opiekę, że sugestionował ją, jako bez niej moralnie by zmarniał. I ona powtórzyła to samo: „słoczy by się, gdyby mnie przy nim nie było”. Zastanowił się głębooko, chciał to zrozumieć, chciał zrozumieć stan mężczyzny, który mówi do kobiety kochanej: „jesteś za mnie odpowiedzialna, od ciebie zależy, jakim ja będę, bez ciebie bym zmarniał!”. Wstrząsnął się z obrzydzeniem. Co za łotrństwo! Obciążanie sumienia! Czyż może być większe łotrństwo, niż obciążanie cudzego sumienia? Czyż może być większa nikczemność, niż na barki cudze narzucać wór z grzechem własnym? Ohydniejszy szantaż, niż przykuwanie kogoś do siebie takim zaklęciem? Kobiecie może to nawet pochwalić, może ją rozczulić, lecz czym to jest w obiektywnych oczach drugiego mężczyzny! I kiedyż ten ludzki odpadek tak się poprawi, tak wyszlachetnieje, żeby ona poczuła się wolna? Jak dotąd nie widać różnicy. Paskudne to było w Warszawie i paskudne jest dziś w Paryżu.

Niepodobna! Niepodobna, aby taki związek mógł istnieć! Znał przecież setki ludzi, takiego nie widział, znał różne zbrodnie, takiej nie znał. Traversi się myli, a jeśli ona naprawdę tak myśli, to sama z siebie. Antypatia do Czerlińskiego tworzy w nim te posądzienia. Ciężko mu było.

— Panie Krzesławski, pan wie, co się stało?

Przetarli oczy. W pokoju było ciemno, wpadały tylko smugi od zapalonych ulicznych latarni. Nie wiedział która godzina, musiało być jednak późno.

Pani Gotard o tej porze.

— Ojciec chrzestny umarł — rzekła.

— Pan Chazel? Cóż mu się stało?

Było mu tak obojętne, czy ojciec chrzestny umarł, czy żyje, że chciał jedynie, aby pani Gotard nie opowiadała mu o śmierci i aby mógł wrócić do przerywanych myśli. Lecz ona spragniona była jakichś zwierzeń, jakiegoś słowa. Padło na nią światło latarni i wielkie, czarne jej oczy błyszczały w łzach, jak diamenty.

— Biedny człowiek — rzekła.

— Cóż mu się stało? Zdaje mi się, że wczoraj go widziałem.

— Umarł dzisiaj — usiadła na przysuniętym ku sobie krześle. — Właśnie rozmawiałam najswobodniej i mężem, kiedy on tam umierał.

— Gdzie? Nie w domu?

— Ach, panie Krzesławski! — załamała ręce. — Ktoby przypuszczał?! Dzisiaj jest czwartek...

— No tak...

— Pan wie, że on zawsze w czwartek wychodził na dwugodzinną przechadzkę, między czwartą a szóstą. Tak długo mieszkał u nas, takżeśmy go znali! Myślałam, że wszystko o nim wiem, że znam każde jego przyzwyczajenie, a nigdybym nie odgadła. On miał kochankę, do niej zawsze chodził w czwartek między czwartą a szóstą. Dziś umarł u niej nagle, na serce. Nie u nas, nie u siebie w domu, nie u przyjaciół, od których lepszych nie miał, zapewniam pana, ale u kobiety obcej, która go nie kochała, która żyła z nim tylko dlatego, aby cały jego zagrabie majątek.

— Skądże to pani wie?

— Pan wie, kim dla nas był nieboszczyk. Był moim ojcem chrzestnym i naszych dzieci. Mogę powiedzieć, że kochałam go, jak rodzzonego ojca. Wie pan, jaką otaczaliśmy go opieką, jak dbaliśmy o każdą jego potrzebę. I on nas kochał i zapewniał, że po śmierci o nas nie zapomni. Nie chcieliśmy o tym mówić, zresztą z natury rzeczy tak by wypadło. „Gdy umrę — mówił do męża — to w moim biurku, w

szufladzie na prawo, znajdziesz zaadresowaną do siebie kopertę, w niej ostatnią moją wolę". Gdy dano nam znać, że nie żyje, że stało się to nieszczęście, mąż otwiera szufladę, znajduje tę kopertę, rozdziera i czyta — otarła chustką łzy — „Kochany Gotard, cały swój majątek — miał duży majątek, panie Krzesławski — zapisuję osobie, która mnie kochała, a której nazwisko poznacie z testamentu, złożonego u notariusza. — Wam nie zostawiam nic, bo trzymałście mnie u siebie tylko dlatego, że byłem bogaty, że mieliście nadzieję na spadek. T a n t p i s p o u r v o u s ! ”

— Złośliwy karzeł — Krzesławski uśmiechnął się.

— Prawda? A nie było w nim nie jadu, nie żołąci, łagodny był jak baranek! Myśmy go nie kochali?! A klóz go kochał? Ona? Mnie nie boli, że nie nam nie zostawił, że o nas zapomniał, ale że tak napisał. Mój mąż jednak bardzo się oburzył. Nie o pieniądze mu chodzi, lecz o zasadę. Twierdzi, że testament jest nieważny, że trzeba go obalić choćby z samego poczucia moralności, że my mamy prawo do zwrotu kosztów, jakie wyłożyliśmy na niego. Ma rację, ja tego jednak nie chcę. Niechże weźmie wszystko ta, która go tak kochała, a my postawimy mu nagrobek, gdy na niego spojrzy, to choć po śmierci przekona się, kto go kochał, i może się zasmuci.

— Choć taką chciałaby mieć pani satysfakcję?

— A wie pan, dużobym dała za pewność, że choć po śmierci przekona się, że się omylił. Ciężkie jest życie, panie Krzesławski.

— Dla was?

— Cóż pan chce? Zyjemy w czasach, gdy nie jest się pewnym swojego życia i mienia. Gdyby nie ta śmierć, toby nas jutro nie było w Paryżu. Ale w poniedziałek już wyjedziemy do krewnych na prowincję i nie wrócimy, aż się to wszystko nie uspokoi.

— Czego się obawiacie?

— Niechże pan się zastanowi. Te warsztaty narodowe! Sto tysięcy ludzi płatnych codziennie ze skar-

bu publicznego. Któż to wytrzyma? Niech którego dnia zabraknie pieniędzy, a rewolucja gotowa. Ja przez ten czas nie myślę z dziećmi siedzieć w Paryżu. Mnóstwo naszych znajomych wyjeżdża.

— Co pani mówi!

— Pan o tym nie wie?

Wiedział, że sprawa robotnicza wprowadziła w Paryż niepokój i wrzenie, ale o obawach burżuazji nie wiedział. Zył z dala od wszystkiego, nie widując swych francuskich przyjaciół, z którymi zresztą łączyły go zawsze związki bardzo luźne, polscy zaś rozjechali się, lub grzęźli w dyskusjach jałowych. Argumenty ich znał, znudził się nimi i je odrzucił. W czasie ostatnich przestał być demokratą i socjalistą. Pochłonęła go jedna idea — wolności indywidualnej w wolności społecznej. Nie by o stronnictwa, któreby ją programem swoim uczyniło i o nią walczyło. Jedni bronili klasy mieszczańskiej, drudzy chłopskiej, trzeci robotniczej, a któż bronił człowieka? W imię zmiany ustroju można było rzucać jedną klasę na drugą bez gwarancji, że, zwycięska przez swe socjalne położenie, ożywiona ideą wolności, wyprowadzi z siebie wolność powszechną. Idee wolności zakwitły najsilniej w burżuazji francuskiej, a burżuazja odrzuciła z nich to, co było absolutne, co nie służyło do obrony, lub sprzeciwiało się jej typowi życia. Była wolność burżuazyjna, jak była feudałna, jak będzie chłopska lub robotnicza, i każda będzie częściowa, dla klasy, nie dla człowieka. Anarchia? Anarchia — tak — naturalnie, lecz nie ta, która już przejawiała się i formułowała, będąca krytyką wszystkiego, lecz jałowa twórczo. Precz z wszelką sankcją? Nowy ucisk dla tych, którzy sankcji potrzebują, którzy bez sankcji żyć nie mogą. A żeby jedni żyli tak, a inni owak, każdy według siebie, pomyśleć się nie da, gdyż w praktyce życiowej zawsze jedna strona narzucić będzie chciała drugiej swoje prawo i swój obyczaj. Ci, którzy pragną sankcji, silniejsi będą od tych, którzy jej nie chcą. Ci z sankcją zdławią tych bez sankcji, ci bez sankcji wezmą się do

noża. Czy możliwy jest ustroj, zabezpieczający każdemu wolność indywidualną, przy takiej, jaka istnieje, nierówności psychicznej?

Ogarnęło go zniechęcenie i obojętność. Myślał już tylko o stworzeniu warunków współżycia z Wandą, zgodnych ze swoimi poglądami o sobie i o człowieku. Musiał też szukać pracy. Tej nie miał już od kilku miesięcy i tylko dzięki wielkiej swej oszczędności mógł żyć z pozostałych zasobów. Te się już wyczerpywały. Niech będzie społeczeństwo, jakie chce, bo żadne nie będzie takim, któremu w imię swej godności nie trzeba będzie rzucić rękawicy. — Niech się między sobą żrą, cóż mnie to obchodzi.

Tak postanowił. Tak postanowił i znalazł się na barykadach, w największym ogniu walki.

XIII.

Do generała Cavaignaca, ministra wojny, raz wraz wchodził nowy oficer z meldunkiem:

— Na placu Bastylli tysięczne tłumy. Przemawia robotnik Pujol.

— Aha! Pujol!

— Kolumny rewolucyjne ciągną z placu Panteonu z pochodniami na bulwary. Krzyczą: „Chleba albo ołowiu!”

— Tłumy się zbierają od bariery Rochechouart aż do Panteonu. Paryż zajęty na prawym i lewym brzegu.

— W dzielnicach ludowych wznoszą barykady.

Słuchał bez przejęcia, bez wzruszenia, chodząc po pokoju.

W progu stanął generał Fouche.

— Jenerale, jeszcze czas nie dopuścić do rozlewu krwi, jeżeli...

Cavaignac przerwał mu w pół słowa.

— Milczeć! Kto tu dowodzi?!

Wtem pokój zaludnił się bez anonsów. Recurt, minister spraw wewnętrznych, Lamartine, Arago, Le-

dru Rollin, Barthelemy, Saint-Hilaire, weszli gwałtownie.

— Jenerale! Paryż cały czeka na rozkazy!

— Na jakie?

— Jenerale — rzekł Recuri — czas wreszcie, aby wojsko wystąpiło. Jeszcze bez rozlewu krwi można przywrócić spokój.

— Za godzinę niewiadomo, co będzie, nikt nie rozumie, dlaczego jenerał zwleka! — wołał Lamartine. — Pierwsza rzecz znieść barykady, które się już wznoszą. Za kilka godzin cały Paryż będzie pokryty barykadami! Jenerale, broń Paryża!

— Ja mam bronić Paryża?

Oniemieli.

— Panowie myślicie, że ja tu jestem po to — wybuchnął — żeby bronić waszego Paryża, waszych paryżan, waszej gwardii narodowej? Niech bronią się sami. Niech bronią swojego miasta, swoich sklepów, łóżek i prześcieradeł! Pamiętam rok trzydziesty. Pamiętam miesiąc luty! Taki sam tłum rozbrajał żołnierzy! Moi rozbrajani nie będą! Gdyby jedna kompania była rozbrojona, w łeb bym sobie strzelił. Takiej hańby bym nie przeżył!

— Jenerale! — zawołał Arago — to nie zapobiegłoby niczemu. Jenerał mówisz o honorze armii, my mówimy o honorze Francji!...

— Honor Francji reprezentuje jej armia.

— Armia jest armią Francji! Honor ich jest wspólny, nierozdzielny! Hańbą będzie, gdy krew się poleje, jeżeli może się nie polać! Jenerale! tu chodzi o krew Francuzów!

— Rewolucja zyskuje coraz nowy teren — rzekł Ledru Rollin.

— Mniejsza o to!

— Jakto mniejsza?

— Jeżeli powstańcy zajmą Paryż, to cofnę się do Saint-Denis i wydam im bitwę.

— Oni za panem do Saint-Denis nie pójdą — rzekł Arago.

— Cóż ja będę z panami dyskutował, ja tu dowodzę i ja za wszystko odpowiadam. Zegnam panów.

— Ten człowiek chce rozlewu krwi! — rzekł Arago, gdy wyszli.

— Odebrać mu dowództwo!

— Kto je odbierze!

— Izba!

Lecz w Izbie panował taki zamęt, że żadna decyzja nie mogła zapaść. Deputowany Falloux głosem ochrypłym wnosił z trybuny wniosek, aby każdy robotnik, poszkodowany przez zamknięcie warsztatów narodowych, otrzymał trzydzieści franków. Sądził, że to najlepszy sposób na uspokojenie tłumów.

Stracił go z trybuny Proudhon.

— Trzydzieści franków, jak trzydzieści judaszowych srebrników za krew Chrystusa!

Zawrzało. Każdy krzyczał ze swojego miejsca, groził, każdy coś innego proponował. Orleaniści, bonapartyści, republikanie skakali sobie do oczu. Gwałt rósł przeraźliwy, zlewał się w jeden krzyk, w jeden jazgot ludzki — zemsty, pasji i strachu. Jak gdyby lysiączna orkiestra dostała pomieszania.

Arago wybiegł z izby. Postanowił sam, sam jeden, iść naprzeciw wyburzonych mas. Zakląć je, przekonać. Znał go cały Paryż, cała Francja. Był zawsze z biednymi.

Zdołał utrzymać jakiś powóz i konie i kazał wieźć się na plac Bastylii.

Tłumy stały milczące, groźne. Szara olbrzymia masa, niczym morze w czasie szarugi. Nie witano go — jego, kłórego witano zawsze. Wiał na niego lód. Chciał przemówić z powozu i nie mógł wydobyć z siebie słowa. Naraz usłyszał okrzyk:

— Chleba albo ołowiu!

— Chleba albo ołowiu! — zadrżało powietrze.

Konie szły stępa. Chwytano je za lejce.

— Chleba albo ołowiu! — rzucano mu w twarz, jak obelgę, jak policzek.

— Obywatele! — rozkrzyżował ręce.

— Chleba albo ołowiu!

— Obywatele! Pomyślcie, co czynicie! Pomyślcie, że krew może się polać!

— Krew?! — obskoczono powóz. — Krew?! Niech nas wymordują! Po to tu jesteśmy! W nas krwi nie ma, w nas jest tylko ropa!

Obrośnięty robotnik stanął na stopniach powozu, rozpiął bluzę, był bez koszuli.

— Patrz! Patrz Arago!

— Chleba albo ołowiu! — zagrzmiało!

Dostał się wreszcie na plac Bastylli, zalany tłumem po brzegi. Wykwitały z niego czerwone sztandary, jak maki.

— Arago! Arago!

Przyszedł do siebie.

— Obywatele! Znaćcie mnie! Wiecie, że z wami! Wiecie, że gdy przybywam do was, to jak przyjaciel, jak brat! Pamiętajcie o waszych żonach i o waszych dzieciach! Rozejdźcie się! Nie doprowadzajcie rzeczy do ostateczności, nie ściągajcie żywego piekła na siebie i na to miasto!

— Obywatelu Arago!

Z wzniesioną ręką szedł ku niemu Pujol. Rozstępowano się, czyniąc mu miejsce. Miał pociągłą twarz ascety, oczy płomienne, lecz bez nienawiści, nieulekłe i smutne.

— Obywatelu Arago! — zawołał głosem metalicznym, dźwięcznym, dobiegającym do każdego ucha — znamy cię i szanujemy, i rozumiemy cię. Ale ty nas nie rozumiesz, bo ty nigdy nie byłeś głodny!

Wzniósł obie ręce, i nagle cały ten tłum padł na kolana, wołając:

— Ołowiu albo chleba!!

Arago zakrył twarz. — Płakał.

— Chleba albo ołowiu!!!

Krzyk stał się tak straszny, tak przejmujący, że można było spojrzeć w niebo z tym, aby ujrzeć, jak się otwiera.

Krzesański oszalał. On jeden nie klęczał, stał w

łumie, mózg i serce kipiały w nim, jak rozpalona lawa. Ten lud zwycięży! Niech ta siła rozpaczy przemieni się w siłę walki, a nie mu się nie oprze! Zwycięży! Zginie burżuazja! Rozpacz i męka własna, zespolona z rozpaczą i męką tysięcy, szalała. Już nie mógł jej utrzymać w piersiach. Zabiłaby go, zdruzgotowała, starła.

— Do broni! — krzyczał — do broni!! Obywatele! Towarzysze! Do broni!

Tłum w połowie swej, w większej części był zbrojny; on był bez karabina. Głosem jego porwana, do sztandaru, który tuż obok się chwiał, przybiegła uzbrojona dziewczyna. Czerwoną różę miała przy sukni. Przypięła ją do sztandaru.

— Naprzód! — krzyknęła.

Skoczył ku niej i wyrwał jej karabin z ręki.

— Ladownicę! — rozkazał.

Oddała mu ją.

Wtedy, wytrząsając karabinem, wołał:

— Do broni! Na olów nie czekać! Posłać go tam! Śmierci wołacie! Nie umierajcie, lecz zwyciężcie! Naprzód towarzysze! naprzód obywatele! Chleba wołacie! Zebrakami jesteście?! Weźcie chleb!

— Ktoś ty?! — przedarł się do niego Arago.

— Człowiek wolny! A ty kto?! Burżuazji organista! Idź precz! Towarzysze! nie dajcie się uwodzić tym sentymentom, tym łzom! Kto nad wami płacze, przeciw wam jest! Kto nad wami się lituje, przeciw wam jest! Kto za wami się ujmuje, przeciw wam jest! Kto mówi, że chce was ocalić, przeciw wam jest! Nie dajcie się zwieść ich łzom, jękom frazesom bałamutnym, sercom rozkliwionym! Kto najlepszy z nich, ten najgorszy, bo od walki was odwodzi, bo was usypia! Śmierć im wszystkim! Aniołom i kałom! Do broni, towarzysze! do broni!!

Arago chwycił go za piersi, wstrząsał nim.

— Chcesz krwi?! Zabij mnie! Chcesz dowodu?! Zabij mnie! Nie wolno ci mnie nie zabić po tym, coś rzekł! Ty kłamiesz, nie ja! Zabij mnie! Boisz się mnie

zabić, boisz się przekonać ich, że nie ja kłamię, że nie ja usypiam! Ty jesteś oszust! Krwawy oszust! Ty jesteś kat!! Ty!!

Krzyształowski podniósł karabin.

— Obywatele! Kto za nim, a kto za mną?! Rozdzielcie się! Osądźcie sami! Kto za mną — do broni! U stu piorunów, z broniącicie tu przyszli! Z broniącicie tu przyszli, aby wołać: „Ołowiu albo chleba?!” Po coście z bronią tu przyszli?! Do broni, towarzysze! do broni!!

— Do broni!!

Krzyk rozpaczy przemienił się w krzyk walki, zemsty, nienawiści. Plac Bastylli huczał, jak zegnane stada lwów. Wstrząsano karabinami, parto naprzód, nie wiedząc dokąd. W Krzyształowskim obudził się oficer. Jaki taki nadać temu porządek, nie tak masą, nie tak beładnie.

— Kto bez broni, niech odejdzie! Tylko ci, co z bronią i nabojami! Kobiety, dzieci do domu! Tylko ci, co z bronią! Nie kupą! Nie pchać się!! Kto wojsko zna, niech trzyma porządek, niech formuje! Za mną! Naprzód!!

Pojmowane w lot, podawano rozkaz z ust do ust.

— Opatrzeć bron! Sprawdzić, czy nabita! Za mną! Naprzód!

Szedł przodem, otoczony sztandarami, opanowany już, spokojny. Mózg pracował w nim chłodno, sprawnie, jak maszyna. Już wiedział, że ci, co idą przy nim, te wyroski, niczym pioruny sunące po ziemi, rzucają się na wojsko. Ci najśmielsi. Nie ustraszy ich nic. Z zębami, z pięściami się rzuca. Popatrzał na nich oczami wodza. Wraz z nimi drwił z śmierci.

— Słuchajno, chłopcze, dostaniesz się na plac Panteonu?

— Tak, obywatelu!

— Ruszaj tam! Rozkaż, aby na wszystkich ulicach na lewym brzegu wznosić barykady. Rozumiesz? Niech wojsko każdą barykadę bierze z osobna.

— Rozumiem, obywatelu.

— Na placu Sw. Michała największe barykady i ludzi jak najwięcej. Bronić wojskom przedostanie się na prawy brzeg! Zająć mosty!

Chłopiec już leciał.

— Ty na przedmieście Sw. Antoniego! Mnie szukać koło bramy Saint-Denis. Gdzie merostwo w pobliżu — zajmować. Rozumiesz?

— Rozumiem, obywatelu.

Wstrzymał kolumny.

— Barykady! Kto do barykad?!

Tłoczono się koło niego. Barykady były w krwi tego ludu, lepiej się znali na nich, niż on. Tu komendę obejmował Pujol. Porozumieli się w jednej chwili.

— Chcieli nas posprzątać — mówił Krzesławski — nim przystąpilibyśmy do walki. Lud nie użyłby nawet broni. Być w rozpaczy. Ano, zobaczymy. Niech biorą barykadę jedną po drugiej. Zbuduj barykad, ile się da, zapewnij mi odwrót. Niech nie oni atakują, atakować będziemy my. Przy kim atak, ten w polowie wygrywa. Kieruj walkę ku ratuszowi. Gdy ratusz będzie wzięty. Paryż nasz.

— Paryż nasz! — rzekł Pujol.

— Wtedy ogłosić rząd.

— Jaki? Louis Blanc?

— Nie, ty ogłosz się szefem rządu, ty Pujol. A resztę weź z tych, którzy tu są. Wszystko jedno. Ludwika Blanc'a tu nie ma.

Sformował swych ludzi, jak mógł. Szli, krzycząc: „Do broni! Na barykady!!”, tłumiąc wszędzie rozlegający się drugi okrzyk: „Ołowiu albo chleba!”

Ulice były pełne, ale lud tu się nie skupiał. Robotnicy uzbrojeni stali przy domach, w których mieszkali, w bramach, tak, jakby każdy z osobna bronić chciał swej rodziny. Gdzieś huknęły strzały. Oho! już się biją! Zmienił kierunek i szedł w tę stronę. Kazał zaprzestać krzyków. Sunęli wzdłuż kamienie, czając się przy murach, cicho, jak koty, z karabinami, gotowymi do strzału. Huk brzmiał coraz bliżej, coraz wyraźniej. Rozróżniał sprawnym, żołnierskim uchem

strzały, dawane przez wojsko, i te drugie. Aha, barykada się bije. Była czwarta po południu, niebo powlokło się chmurami, powietrze ciężkie było i duszne. Strzały z barykady padały nieregularnie, trzepotały, jak chore serce. Stał u wylotu ulicy. Tłumy robotników stały tu zbrojne, ale nikt nie śpieszył z pomocą.

— Gdzie się biją?

Nie otrzymał odpowiedzi, bo nagle zaczęło chować się z przestachem do bram, rozległ się tętent kopyt, to gwardia narodowa pędziła ku bitwie. Przeleciała ulicą.

W bramy! Ognia z bram!

Sam z kilkunastoma stanął pośrodku. Zastąpi im drogę, nie przejdą!

Już wpadli. Wywinęli się długim węzem z szablami w garści, jechali galopem. Z bram padły strzały.

— Ognia!

Prażeni z trzech stron zachwiali się i złamali. Konie stawały dęba, ten i ów spadał z krzykiem.

— Mierzyć! Nie strzelać na wiatr!

Gwardziści nawracali co tchu, strzelano za nimi beładnie, bez wprawy.

A barykada jęczała strzałami wciąż. Wybiegli z bram, jeszcze się nie sformowali, gdy ścichła.

I naraz rozpętała się burza, huragan karabinowy ze wszech stron, górujący nad nim łoskot armat. Czy Cavaignac chce zburzyć Paryż? Trzęsły się mury, wylaływały z okien szyby. Na ulice wybiegały kobiety z dziećmi, wpychano je na powrót do wewnątrz. Niektóre klękały pośrodku, wyciągając ręce do nieba.

— Barykady! Stawiać barykady!

W oczach Krzesławskiego wyrastała, jak z ziemi, uliczna forteca. Wynoszono łóżka, poduszki, sienniki. Rosła wzdłuż i wzwyż, najeżona nogami krzesel i stołów, obstawiona zleżalymi siennikami z wyłożoną słomą, potwór cudaczny, tragiczny straszak. Mocowano na niej żerdź z czerwoną płachtą. Zwiśla ku samej ziemi, jak czerwony tren.

Zadnego planu. Gdzie walczą? Jak walczą? Walczy cały Paryż. Jaki nadać kierunek? Jaki powziąć plan? Ten, który powziął na placu Bastylli, już się rozleciał. Zostać tu? Za dużo ludzi dla obrony tej miszery. Chciał bić się w walkach decydujących, największych. Skupił myśli.

— Strzelają z armat do barykad na ulicy Faubourg-du-Temple — usłyszał.

Począł pytać. Ludzie, którzy tu nadpłynęli, wiedzieli już wiele. Paryż cały najeżony barykadami. Biją się wszyscy robotnicy, bije się ich przeszło sto tysięcy. Wojska atakują, ze jenerałami na czele. Największe barykady na ulicy Faubourg-du-Temple.

Wyrznać kanonierów! Wspomniał szarżę na armaty kawalerii polskiej. Nie było koni ani pałaszy, ale wielu z jego oddziału miało przy karabinach bagnety. Poprowadził ich. Po drodze spotkał gwardię narodową, pierzchnęła na pierwszy strzał. Z tymi łatwo dać sobie radę — z episjerami, przebranymi w mundur. Z wojskiem będzie trudniej, ale wojsko przejdzie na stronę ludu, gdy lud zwyciężać zacznie. Nie wcześniej. Sukces nad gwardzistami rozpałił jego kompanów. Zdawało się im, że zwyciężają, że ku nocy wszystko się już skończy, że będą panami Paryża. Szli za nim z wiarą bezmierną, za człowiekiem zesłanym przez opatrność rewolucji, geniuszem.

— Stój! — skomenderował ręką bez słowa.

Bateria armat ziała ogniem. Wskazał ją. Pojęli. Skokami tygrysów rzucili się tam. Natchnienie boju nauczyło ich władać bagnetem. Wpadli na kanonierów, jak chmura, waląca się z nieba. Skłuli. Armaty głuchły. Stało się to nadszpiewanie prędko, nad pojęcie, że w tak krótkiej chwili mogło zginąć tylu ludzi. Przed nimi sterczała barykada, ogromna, jak gmach, istna królowa barykad, już z wyłomami od kul armatnich, ale potężna, niezachwiana, upstrzona sztandarami, huczająca szaleństwem. Prowadził ku niej swój zwycięski oddział.

— Niech żyje rewolucja — krzyknął.

— Niech żyje! — odpowiedziano.

Dowódca barykady, mody robotnik, powitał go słowami.

— Ocaliłeś nas, camarade!

Powiadomił go, co się dzieje. Obydwie strony biją się bez pardonu. My, albo oni. Ostatnia gra. Gwardia narodowa cofnięta wszędzie, bije się tylko wojsko. Walka już jest zorganizowana. Robotnicy wyrabiają proch, mają ambulanse. Prowadzi się nawet wymianę jeńców. Kobiety między barykadami krążą z żywnością.

— Co dzieje się w kwartale panteońskim? — spytał Krzesławski.

— W naszych rękach. Wzięliśmy merostwo.

— Na ulicy?... — wymienił ulicę, gdzie mieszkali Czerlińscy.

— Nie wiem.

— Baczność!!

Z bronią, wzniesioną do ataku pędziła ku barykadzie kolumna, na czele oficer w szlifach jeneralskich, z dobytym pałaszem. Padł. Barykada drżała od strzałów, błyskała ogniem. Kule żołnierskie grzechotały w nią, nie czyniąc szkody w ludziach, w wojsku zaś czyniły się wyłomy, ziemia usypywała się trupem, powietrze jękiem. Raz wraz wysuwał się na czoło oficer.

— Naprzód marsz! — i padał.

Nie szli naprzód, ale się nie cofali, przyklękując na ziemi, brali na cel obrońców barykady. Koło Krzesławskiego padł robotnik, trafiony w piersi.

— Niech żyje socjalizm! — krzyknął... — rewolucja! — zacharczał.

Nie żył.

Ogień trwał bez przestanku, zajadły, wściekły. Krzesławski poczuł szacunek dla tych obrońców burżuazji. Dobrze się biją. Ale dlaczego ich tak mało? Dlaczego tak mało wojska? Dadzą się wybić partiami? Nie mógł odtworzyć sobie planu rewolucji, bo planu nie miała, ale musi być jakiś plan ataków. Do

walczącej barykady od innych przychodziły wieści, że tam i ówdzie wojsko jest zniesione, wyszrzelane, wycięte. Na przedmieściach Poissoniere, Saint Martin, Saint Denis, rewolucja zwyciężyła.

— Na ochotnika! Kto za mną! — krzyknął.

Wysypał się za nim las bagnatów, biegli na oślep. Żołnierz się nie cofał. Padali trupem, zalewali bruk krwią i szli. Uderzyli, zwarli się we wrzasku straszliwym, w ryku nieznanym zwierzętom. Pazurami rozszarpywali sobie gardła, kolbami rozbijali czaszki. Chłopcy rzeźniccy, przezornie zaopatrzywszy się w tasaki, przerąbywali kości. Bezwstydnym, wyuzdanym bóg rozpaszał się w całej ohydzie.

Jeden z oficerów opuścił walczących i biegł przez miasto, zajęte przez wojska.

— Na pomoc! — wołał. — Wyrzynają nam ludzi! Jeden batalion! Na miłość Boga! Tylko jeden batalion!

— Nie wolno nam stąd się ruszać! Nie mamy rozkazu!

Tak dobiegł do głównej kwatery.

Pod barykadą już bój się kończył, żołnierz padł do ostatniego. Krzesławski, zdziesiątkowawszy swych ludzi, wracał czarny, zakrwawiony, w ubraniu poszarpanym. Wracał, gdy ukazały się masy wojsk. Oficerowie na koniach. Barykada sypała ogniem.

— Wody! — jęknął.

Ktoś podał mu ją w dzbanku. Pił chciwie do ostatniej kropli. Uczynił najwyższy wysiłek, aby się nie zwalić, lecz strzelać nie mógł, wsparł się o karabin, wpatrując się w wojska. Poznał Cavaignaca.

— Cavaignac! — wskazywał go palcem.

Zmierzył i wziął go na cel. Chybił. Chybiali inni. Chybił każdy strzał w cel, ale dawane w masę szły spustoszenie. I znów zagrzmiały armaty. Barykada jednak nie dała się wziąć. Już bito się trzy godziny, wieczór zapadał. W szale walki o boju tym rozpościerała się po Paryżu legenda. Nadszedł Lamartine.

— Jenerale, jak długo to trwać będzie?

— Myślałem, że pół godziny, ale sprawa się przeciąga.

— To są bohaterzy!

— T a n t p i s p o u r e u x !

— Pozwól mi z nimi traktować.

— Jak chcesz.

— Jakie mam dać warunki?

— Niech się zdadzą na moją łaskę.

Lamartine powiał białą chustką. Ogień ucichł z obydwu stron. Szedł ku barykadzie, wszedł w środek ludzi czarnych, obrzękłych, w gorączce. Miał wrażenie piekła.

— Kto wami dowodzi? Jestem Lamartine.

— Niech pan z nim mówi, panie prezydencie, — rzekł dowódca barykady, wskazując Krzesławskiego.

— Obywatelu, przyszedłem tu z własnej inicjatywy, prositem jenerała, ministra wojny, aby mi pozwolił tu przyjść. Bijecie się, jak bohaterzy, jak lwy, ale bijecie się przeciw Francuzom...

— A przeciw nam kto się bije, panie prezydencie? — przerwał mu Krzesławski.

— A kto się bije przeciw nam?! — podjęło jego słowa.

— Kto przeciw nam?!

— Nie do mnie należy zastanawiać się teraz, na kim leży wina przelania tej krwi, tej najdroższej krwi francuskiej. Jestem tu po to, aby przelania jej zaprzestać. Z cudzoziemcem, z wrogiem nie paktowałibyśmy. Francuz przychodzę do Francuzów, brat do braci, obywatel do obywateli. Nie gincie! Bohaterstwo wasze niech czemu innemu służy, nie walce bratobójczej. Nie odciążajcie sumienia krwią waszych braci, i sumienia waszych braci krwią waszą. Szans zwycięstwa nie macie. Jenerał Cavaignac nie chce zwyciężać, takich laurów mu nie potrzeba. Chce zaprzestanie rozlewu krwi, nie więcej.

— Jakież są warunki jenerała Cavaignaca?

— Zdajcie się na jego łaskę.

— I pan z tym przychodzisz do nas, obywatelu prezydencie?

— Nie jest hańbą, aby Francuz zdał się na łaskę drugiego Francuza, i obawy mieć nie powinien. Nie pomiędzy cudzoziemcami, nie pomiędzy wrogami jest bój.

— I my też mamy do postawienia warunki.

— Jakie?

— Nasze warunki — podniósł głos Krzesławski — aby wojsko cofnęło się z Paryża, aby gwardia narodowa była rozwiązana, aby rozwiązana była policja. Rząd dzisiejszy rozwiązuje się i ustępuje z wojskiem. Lud paryski ustanawia swój rząd przez swój wybór, ustanawia swoją milicję. Obejmuje zarząd nad miastem. Gwarantujemy wam, że wszyscy mieszkańcy, ci wszyscy, których bronicie, będą bezpieczni, nikt na życiu szwanku nie poniesie, na nikim zemsty się nie wyrze. Ale mieszkania wasze, spiżarnie wasze, zasoby wasze staną otworem dla wszystkich. Proletami zostaną wszyscy, którzy tu zostaną.

— Obywatelu, czy to mówisz poważnie?

— Poważnie tłumaczę hasło twoje, obywatelu prezydencie, hasło was wszystkich: wolność, równość, braterstwo. My dosyć mamy łgarstwa!

— Więc z mojej interwencji nic?

— Nic, obywatelu prezydencie!

Strzelano.

Cavaignac był błądy, jego sława afrykańskiego wodza ginęła pod tą barykadą. Posłał po posiłki. Nadszedł generał Lamoriciere. Teraz już ognia nikt nie wyrzyna, barykadę roznosiły pociski, pokrywała się trupami i rannymi, zapaliła się. Walczący opuszczali ją, zostawiając zabitych i rannych, cofając się w mroku nocy ku innym. Luna oświetlała miasto.

W czerwonych blaskach pożaru domy, bruk, ludzie byli jak skąpani w krwi. Bateria armat huczała, strzały z barykad stawały się coraz rzadsze, coraz mniej dotkliwe, wyczerpywały się kule i proch. Z prawa, z lewa, z tyłu nowe huknęły strzały, wojsko ich otoczy-

ło — zginęli. Wtedy na czerwonym, górującym nad barykadami sztandarze uwiesili białą chustę, i ogień ucichł. Oficer szedł naprzeciw.

— Poddajecie się?

— Chcemy mówić z generałem dowodzącym.

— Wyślijcie, kogo chcecie, zaprowadzę go.

Dowódca spalonej barykady, nie pytając nikogo, sam z własnej woli i postanowienia wziął to na siebie. Podążył między szeregami wojska za prowadzącym go oficerem. Gdy ujrzał Lamoriciere'a, zdjął kaszkiet. Zdawało się mu, że tak potrzeba, że tego wymaga obyczaj dyplomatyczny, chciał być na wysokości swej roli. Lecz gdy Lamoriciere go nie salutował, gdy stał nieporuszony i pyszny, nałożył kaszkiet z powrotem.

— Na jakich warunkach generał żąda, aby zawieszenie broni nastąpiło?

— Zawieszenie broni? Oddacie broń, a potem zobaczymy.

— Takiego warunku ja nie przyjmuję, moje są inne.

Lamoriciere uderzył niecierpliwie o rękojęść pałasza.

— Nie wam stawiać warunki. Ratunku nie macie, zginiecie wszyscy.

— To zginiemy!

— Daję wam czas do namysłu, do jutra, do dziesiątej rano.

— Już się namysliłem.

— Jak?

— Mamy proch i kule, bić się będziemy do ostatniego człowieka.

— Jesteście otoczeni.

— Wiem o tym.

— Nie macie ratunku.

— Nie mamy na ziemi, mieć będziemy w niebie!
— krzyknął z egzaltacją rozpaczy.

Lecz prochu i kul nie było, ani nie można ich było otrzymać. Wystrzelone karabiny głucho padały na ziemię.

— Zginęliśmy! — wołano coraz częściej i coraz liczniej. — Trzeba się poddać! Zginęliśmy!

Wojsko szło naprzód.

W rozgorączkowanych myślach Krzesławskiego, szalejących jak te strzały, latających samopas, bez steru, wyrwanych z zawias woli, przesuwał się cień Mr. Chazela, ojca chrzestnego. Wszystkie inne słowa, kiedykolwiek zasłyszane, mogły mu przyjść raczej do głowy, niż jego, a jednak jego przychodziły, te najgłębsze: „jest to najpiękniejszy dzień w moim życiu, kiedy widzę, kochana córko chrzestna...”.

Ojciec chrzestny zwycięża!

Włożył do karabinu ostatnią kulę — dla siebie. I ujrzał załzawione oczy Wandy. Nie mógł. Wstąpiła w niego moc stokrotna, moc polska, ta z pod Chocima, Częstochowy, Wiednia, Somosierry, Grochowa. Nałożył bagnet.

— Towarzysze! Za mną!!

Kto siłę jego wziął w piersi — poszedł.

Spadli, jak z gwiazd, w osłupiałe, zdumione kolumny wojska. Żołnierz francuski na mgnienie oka zbratał się z bohaterstwem walczącego z sobą Francuza. Tak, jak oni, uczyniłby cesarz — nie zabije ducha cesarza. I żołnierz rozstępował się, usuwał. Niechże idą! Było ich kilkunastu. Przeszli i wpadli w ciemne ulice miasta, a za nimi zamykały się kolumny i zalewały Faubourg-du-Temple. Przy zwycięskim grzmocie bębnow robotnicy składali broń.

XIV.

Arcybiskup Paryża, Dionizy Affre, modlił się w swoim pokoju, drżącym od strzałów. Trwały całą noc i dziś od rana. Nad klęcznikiem wisiał krucyfiks z Chrystusem.

— Panie, powiedz, co mam uczynić, powiedz, o Panie! Panie miłosierny, Ty, który znasz nędzę ludzką, Ty, któryś przebaczył swoim katom, oświeć mnie swoją

laską. Święta Genowefo, Patronko Paryża, święty Dionizy, patronie mój, tu umęczon, prowadźcie ducha mego przed Pana. Gotów jestem nędzną mą głowę położyć, jak Ty ją położyłeś, Patronie mój, abym był łaski godzien. Panie, wejrzyj w duszę mą, a ujrysz w niej izy tych nędzarzy, co walczą, i ulitujesz się. Grzeszni są, lecz nieszczęśliwi, lecz chleba powszedniego nie mają. Panie, nie pozwól braciom mordować braci, Panie, zatrzymaj grzech Kaina. Przebacz, Panie, jednym i drugim, jedni i drudzy nie wiedzą, co czynią, przebacz im, Panie! Wśród jednych i drugich sprawiedliwi są i tacy, co miłują Cię, Panie, choć grzeszą. Daj uwolnić się im z grzechu, który za cnotę mają, daj, aby z głębin ich duszy uwolniło się to, co najlepsze, a uciśnięte jest, a ujrzą Ciebie, o Panie! Jezu najłitościwszy, ulituj się! Chryste ukrzyżowany, zmiłuj się!

Grzmot armat wzmagał się, a arcybiskup modlił się wcięż.

— O Jezu! O Jezu! Nie daj szatanowi zwyciężyć, nie daj zwyciężyć jednym ani drugim, spraw, aby przebaczyli sobie nawzajem, aby nawzajem braćmi się stali. Obudź miłość w sercu bogacza, odejmij nienawiść z serca biedaka, Jezu ukrzyżowany!

Modlił się jeszcze, wtem wstał z klęcznika natehniiony, zdjął krucyfiks ze ściany, gdy do pokoju wszedł wikary jeneralny arcybiskupstwa, ksiądz Jaquemet.

— Ośmieliłem się wejść, przynieść wiadomość z miasta.

— Co się dzieje?

— Polegli generałowie: Damesme, Brea, Duvivier i Negrier.

— Spokój ich duszy.

— Zabitych po obu stronach obliczają na dziesiątki tysięcy.

Arcybiskup wznosił oczy do nieba.

— Jenerał Lamoriciere zajął bulwary, zburzył basurgenci ustąpili z ulicy Soufflot i z Panteonu, ale

rykady na przedmieściu Poissoniere i Saint Denis, in-
biją się na przedmieściu Saint Marceau, na przedmie-
ściu Saint Antoine. Tam skupiają się ich główne siły.

— Na którą stronę przechyla się zwycięstwo?

— Bóg raczy wiedzieć.

— Ja błagam Boga, aby w tej walce nie zwy-
ciężała siła. Siła jednych i drugich płynie z grzechu.
Czyja siła zwycięży — tej grzech zwycięży. Ci, którzy
walczą o wolność, nie wiedzą, że wolność bez miło-
ści przeradza się w zbrodnię, w nowe ciemństwo —
ci, którzy walczą o prawo, nie wiedzą, że prawo bez
miłości nie jest sprawiedliwe, że staje się zemstą i
zbrodnią. Ja idę między nich — z tym krzyżem. Na
ten krzyż zaklnę, aby zaprzestali mordu, aby otwo-
rzyli serca przebaczenia. Może się Bóg nad nimi zlituje.

— Księżę arcybiskupie !

— Żołnierzem Chrystusa jestem! Od Chrystuso-
wego boju mnie uwalniać się nie wolno.

— Księżę arcybiskupie, czy mogę iść z tobą?

— Chodź, bracie.

Niebo czerwcowe szare było i dżdżyste. W bo-
gatyh, wspaniałych kamienicach okiennice były zam-
knięte, zamknięte były wszystkie magazyny, ruch
wszelki ustał, tylko tłumy policji grupowały się przy
bramach i strzegły wylotów ulic. Arcybiskup Affre i
wikary Jaquemet szli śpiesznie, odmawiając modlitwy
za umarłych i konających. Na wschodzie Paryża roz-
postarła się luna, przesłoniła obłoki czerwonym cie-
niem. Tam huczała bitwa. Spotykali ambulanse, od-
wożące rannych żołnierzy.

Olbrzymie, gęste barykady zalegały całe przed-
mieście Świętego Antoniego. Jedenaście tysięcy ro-
botników było w boju. Dzielnica była robotnicza, bie-
dna. Wszystkie mieszkania przemieniono na szpitale,
dzieci posprowadzano do piwnic. Między barykadami
krażyły kobiety, roznosząc chleb i wodę. Bohaterstwo
przeszło w szal, szal w rozbestwienie. Rozstrzeliwano
jeńców wzajemnie. Żołnierze, posuwając się naprzód,

ujęli dziewczynę, opatrującą leżących na bruku rannych. Postawili ją pod lufami karabinów.

— Niech żyje rewolucja! — krzyknęła i padła pod gradem kul.

Armaty, ustawione u stopni kolumny lipcowej, waliły w przedmieście. I w tym kainowem piekle, w tej ohydzie bratobójczej zbrodni ukazał się arcybiskup Affre z Chrystusem.

— Zo nierz! Francuzi! W imię Chrystusa wzywam was, abyście zaprzestali przelewać krew francuską!

Uczyniło się zamieszanie, żołnierz opuszczał karabin.

— Arcybiskup między nami !!

— Niech Francja, nasza wspólna matka, wyciągnie do nich ręce z chlebem! Oni do chleba mają prawo, jak i wy, zo nierz!

Zbiegli się do niego oficerowie.

— Monseigneur !

— Wzywam panów do zaprzestania bitwy !

— Jesteśmy przy zwycięstwie !

— Zwycięży ten, kto podda się Bogu.

— Do szeregów ! Ognia !

Jeden z jenerałów, drżący z irytacji, szedł, salutując.

— Monseigneur, najwyższym przejęci jesteśmy dla księdza arcybiskupa uwielbieniem...

— Chrystusa uwielbiajcie, nie mnie.

— Ale racja wojskowa...

— Racja Boga jest wyższa!

— To są zbrodniarze.

— Nie sądź, jenerale, abyś nie był sądzony.

— Monseigneur, ja na to pozwolić nie mogę.

Niech mnie ksiądz arcybiskup nie zmusza do rzeczy dla mnie najstraszniejszej, abym musiał rozkazać wyprowadzić go spośród wojska.

— Pozwól mi, jenerale, iść do tamtych.

— Proszę. Przepuścić księdza arcybiskupa.

Arcybiskup, wzniósłszy krzyż, szedł ku barykadom.

— Mais il est fou ce pretre la!

Szedł wśród wichury kul, pękających granatów, z krzyżem wzniesionym, ku tamtym, gdy nagle rozkrzyżował ręce i padł bez jęku w ramiona wikarego Jaquemét. Trafiała go zblakana kula.

XV.

Wiść o śmierci arcybiskupa rozniosła się piorunem po wojsku i po barykadach, broni jednak nikomu nie wytrąciła, nikogo nie upamiętała. Rzucono się na siebie jeszcze zażarciej, wzajem o to zabójstwo się oskarżając. W oczach wszystkich świętym stał się kapłan, który wzywał do zaprzestania bratobójczej walki, a walka ta jeszcze bardziej stała się okrutna. Jedni i drudzy rzucali się na siebie z okrzykiem „a s s a s — s i n s !”, jedni i drudzy przysięgali, że śmierć jego pomszczą. Świętość jego pojęli wszyscy, lecz nikt przez nią nawrócony nie był. Żołnierze, na oczach których zginął, wdzierali się teraz na barykady z furią stokrotną. Mścili się, że został zabity ten, który walkę potępił, i za to samo mścili się tamci. Luna wisiała w nocy nad Paryżem i powitała wschodzący dzień. Oświecił trupy, przejrzał się w kałużach krwi, policzył wyłomy barykad i wybielał się powoli w gorącym słońcu, obojętny na to, jak nazwany będzie. Ptaki chmurą odlatywały z miasta, kryły się po dachach i po wieżach kościołów, motyl nawet nie siadał na kwiatach w ogrodach, zasypywanych kulami, i pszczoła w nich przestała brzęczeć. W sercach słabszych, wrażliwszych szerzyło się pragnienie: niech się to skończy! Mniejsza o to, kto zwycięży, lecz niech się to skończy! Tych jednak mało było w Paryżu. Mieszczanstwo stało silnie za armią jednym nieugiętym duchem, cała robotnicza ludność była na barykadach. Zjadłość walki pouczyła, jaki będzie los pokonanych. „My, albo oni!” — wołał robotnik. „My, albo oni!” — wołał mieszczanin.

Dzień się już kończył, gdy wojsko pod osłoną armat uderzyło bagnietami na barykady i robotnicy złożyli broń, do której brakło już kul i prochu. Miasto było jak wzięte szturmem, okiennice zamknięte, światła zgaszone. Przeciągały patrole, aresztując przechodniów, na Polach Elizejskich biwakowało wojsko, dragoni poili konie przy fontannach Placu de la Concorde.

Wanda przez cały czas walki nie miała pojęcia o Krzesławskim. Wiedziała, że jest tam, i wiedziała, że ustępująca z niego nienawiść wybuchła z podwójną siłą. Czuła się winną, oskarżała się, że przez nią, jedynie przez nią jest w takim szale. Zamykała oczy i najwyższym nateżeniem ducha szukała go po barykadach. Wyobrażenia wywoływała wówczas jego postać w ogniu największym, i Wanda zaklinała ją w myśli: „Po co to? Po co? Wróć do mnie, będzie, jak chcesz”.

Czerliński wychodził do bramy, pukał do sąsiadów wylękłych, nie wychodzących z domu, przynosił im wiadomości, zbierane w nieustannych wędrowkach do bramy, objaśniał je wspólnie i z tymi ambajami wracał do niej. Pozorne był spokojny, lecz spokoju krzły w nim nie było. Zwycięstwo wróżył to jednemu, to drugiemu, zależnie od horoskopów sobie osobście stawianych, od wątpliwości i nadziei, które nim miotały. Gdy świtało mu w głowie, że przy Ludwiku Blanc sytuacja jego się ostoi, to barykady zwyciężały, gdy uderzała go myśl, że może być utracona, to Cavaignac był górą. Jedno i drugie uzasadniał rzeczowo i pozytywnie, jakby samego siebie chciał oszukać, że powodem takich przewidywań nie jest lękliwość i niepewność, ale rzeczywisty rozwój wypadków. Jego obecność, ustawiczne kręcenie się i paplanina męczyły ją straszliwie. Nigdy w życiu nie chciała tak być samą, jak teraz, i nie mogła znaleźć kąta. Dreptał za nią do salonu, z salonu do sypialni, z sypialni do stołowego pokoju.

— Kiedy on ode mnie się odczepi, kiedy się od-

czepi?! — krzyknęła w sobie z rozpaczą pierwszy raz w życiu. I rzekła wreszcie z tłumioną irytacją, sama nie wiedząc, co mówi:

— Zostaw mnie przez chwilę samą, męczysz mnie.

— Jak ty mówisz do mnie, Wandziu?

— No bo naprawdę...

Wyszedł i wrócił z oczami czerwonymi, jak królik. Podobny w tym do tego rodzaju kobiet, które umiają mieć łzy na zawołanie, wymuszały ustępliwość na żonie przez budzenie w niej dla siebie litości. Zwyciężał wtedy zawsze z wysiłkiem najmniejszym i bronią najskuteczniejszą, taki był biedny, spostonowany, tak potrzebował dobrego jej słowa. Lecz teraz odgłos strzałów, świadomość stawania się w każdej części chwili nowych nieszczęść i cierpień, sprawiły, że zdjął ją wstręt na widok tych wygniecionych, czerwonych oczu. Przeszła do innego pokoju i znowu szukała Krzesławskiego. Wtem wpadł Czerliński.

— Rewolucja poddała się! Mówiłem!

Zatrząsał nią zimny dreszcz.

— Co ?!

— Mówiłem! Biorą ich, jak baranów! Przedmieście Sw. Antoniego poddało się. Arcybiskupa potrafili zabić, ale Cavaignaca nie potrafili zwyciężyć!

— Wiesz na pewno ?

— Wszyscy już wiedzą! Jakże mogło być inaczej? Czyż nie mówiłem ?

— Bagam cię, zostaw mnie !!

Krzesławski nie zginął! Nie! Nie mogło to się stać !

— Janusz! Janusz! krzyczała w duszy. — Gdzie jesteś?! O Boże, Boże litościwy!

Słowa nigdy niewypowiedziane, które pierzchły jak lekkie ptaki, uczucia poskramiane mocą atawistycznych nawyków i reguł, brały odwet i dały ją hakami w strzępy.

Przeze mnie zginął !

— Nie zginął ! Nie !

Jasna jak błyskawica i krótka jak błyskawica świadomość: nie zginął! nie!

Lecz znowu płynął cień Krzesławskiego, płynął nieznanym szlakiem, a w myślach przez dziwny gwałt wyobraźni wyłoniła się postać inna, znana jej i nieznaną.

W tej samej chwili Krzesławski cisnął się na posłaniu z jękiem.

Obudził się.

— Nie. Cicho.

Jedna z dwóch kobiet, znajdujących się w izbie, podniosła mu szklanke z wodą do ust.

— Nie pije.

Ziała od niego gorączka, bandaż, przesiąkniętą krwią, paliły, ale nic nie czuł. Był poza światem.

W niewiadomym miejscu przestrzeni, w wymiarze nieznanym duch jego płonął tęczęmi błysków. Swist błyskawicy rozdzierał światy. Poznał Wandę, zwarł się w sobie, zgasił morze ogni i patrzył jednym jasnym promieniem. Odchodziła z jękiem, z zasłoniętą twarzą. Widział ramiona swoje wyciągnięte. Rosły na nich góry, za każdym jej krokiem w dal. Z czeluści przeżyła się zielona żmija, owijała się mu od stóp, skoczyła do serca żarłocznym pyskiem. Sciskała ją pod gardziel. Tryskała mu w oczy żółtym, lepkiem jadem, rzygnęła masą głów szarych, jak mętna woda. Głowa ojca chrzestnego, Czerlińskiego, Gotarda, Philidora — i inne, znane i spostrzegane podczas życia, i jedną, której nie znał. Padały mu pod stopy szara mazią i głębiej. Stał przed nim krzyż biały w wichrze przeciągających chmur. Chwycić go oburącz, a ocali się. Nie! Nie przez ten krzyż, co rozciąga ramiona nad nim i nad tą mazią, co i jego, i tę maź chce zbawić! Bez niego wyrwał się, minął go. Maź krzepła w kamień. Idąc, lupał ją żelazną stopą.

Olbrzymi, bez kresów, dywan-noc pokrył świat — huśtawka, umocowana u dwóch łańcuchów gór. Chybotął się, kołysał, zanurzał ręce w jej puch — szu-

kając. Wykwitła łąka kwiatów w kształcie krzyża i miecza.

— Krzyż — jej! Miecz mój!

Wiedział, że przeszedł koło niej wiele razy i jej nie widział. I ona go nie widzi, nie wie, że istnieje, chociaż go szuka. Szuka go, jak on jej. Szuka go między tymi tabunami ludzi, od których tętni łąka.

— Mnie tam nie ma! Słyszysz mnie?! Usłysz! Mnie tam nie ma!

Jasny pomień tryskał w nim iskrami łez. Połamie ją któryś z nich — zniweczy. Przez niego! Przez niego, bo jeszcze nie przyszedł.

— Usłysz mnie! Mnie wśród nich nie ma!

Traversi i Czerliński w krótkich pantalonach grają z sobą w karty. Po nich pozna, jaka ona jest.

Czarny dym z jasnego płomienia rozciągnął się chmurą. Drżał z przerażenia. Nieszczęście nad nią!

Jest przy nich, ale jej tu nie ma! Jest daleko. Płynął z czarnym dymem. I nagle ujrzał jego — człowieka o głowie nieznannej. I ją. Wznosił dłonie, wielkie jak baldachim, nad jej głową promienną. Z palców szły mu promienie białe i czarne. Przeszywały ją wskroś. Z zamkniętymi oczami drżała w poddaniu się i w buncie.

— To nie ja! Ocknij się! To nie ja!

Porwała się z krzykiem, ręce wyciągając przed siebie.

Uniósł się na posłaniu.

— Gdzie jestem?

Nie usłyszał odpowiedzi — zemdłał. Ujrzał ją znowu.

— Widziałeś?

— Widziałem.

— Wychyliłam mój kielich do dna.

— Wiem.

Kłękła przy nim i położyła mu ręce na ranach, a on objął jej głowę i mówił.

— Stało się, bo mnie szukałaś i znajdowałaś, nie wiedząc, że nie ja jestem. Nie płacz. Byłaś mi wierna

jak nikt, i ja tobie też. Nie bylibyśmy znaleźli się inaczej. Niech tego maga już przy tobie nie będzie. Niech nie będzie z niego. Straszny był, bo panował nad tobą. Kto nad tobą panuje, ten tworzy w tobie grzech. Duszę masz czystą spod krzyża, miłosną i wolną. Miłością i wolnością jest krzyż.

— Nie ma wyższego prawa nad miłość — rzekła.

— Wolność i miłość równe są, jak dwa ramiona krzyża. Razem inne są, niż z osobna, razem najwyższym są prawem. Wolność bez miłości — nieprawość, miłość bez wolności — poniżenie. Bez miłości nie zwyciężą wolni, bez wolności nie zwyciężą miłośni. Zwycięży Ojciec Chrześny.

Ojciec Chrześny zwyciężył!

Rzucał się na ożku i rwał bandażę, układano go przemocą, był w szale.

Ojciec Chrześny zwyciężył! On nadaje prawa mnie! Tobie! Nam!

— Na bagnety! E n a v a n t ! — wołał po francusku.

Padł na wznak nieprzytomny. W mózgu kipiała mu bitwa, wszystkie przeżyte jej chwile, od pierwszej do ostatniej.

— Arago! Jakiś ty głupi, obywatelu Arago! Różany olejkiem, z pestek humanitaryzmu, wycisniemy, chcesz gasić pożar! Bardzoś głupi, obywatelu Arago! Szkoda twego olejku, wyleje się, i później wachać nawet nie będzie czego. Schowaj swój olejek dla takich, jak ty!

Zginął, Monseigneur! Zginął, księżę arcybiskupie! W krzyż twój strzelali i ci i tamci. I ci i tamci nie chcą krzyża czynnego, krzyża żywego. Modl się za mnie, księżę arcybiskupie! Nie! Nie modl się! Nie chcę, aby twój duch za mnie się modlił. Nie idę z twoim duchem!

Zapadła w nim noc głucha, i ciężko przesuwaly się w niej sny jak przed więzieniem szyldwachy. Gdy oczy otworzył, nie pamiętał nic. W izbie ciemno było i duszno, poprzez zamknięte okiennice wdzierał się pro-

myczek słońca. Nie wiedział, jak długo to wszystko trwało, kiedy i jak się tu znalazł. Cały był w bandażach, opuchnięty, nieznośny ból czuł w głowie i pierśsiach. Poruszył się i jęknął. Natychmiast przez drzwi, z drugiej izby wyjrzało troje ludzi: mężczyzna w robotniczej bluzie, jego żona i córka. Podeszli na palcach do łóżka.

— Gdzie jestem ?

— W rodzinie robotnika Nestour'a.

— Jak się tu dostałem ?

— Przyniosły cię moja żona i moja córka. One we dwie. Padłeś, obywatelu, opodal naszego domu. Pękł kolo ciebie granat. Znalazły cię leżącego we krwi i przyniosły. Jeszcze się bito.

— Długo się jeszcze bito ?

— Kilka godzin jeszcze się bito.

Przymknął oczy i dopiero po chwili:

— To panie mnie przyniosły we dwie ?

— My — odpowiedziały obydwie razem.

Starł się uśmiechnąć.

— Dziękuję.

— Nie wołaliśmy doktora — rzekł Nestour — bośmy się bali. Niech oni dowiedzą się, że gdzieś leży ranny, to i rannego wezmą, i tych, którzy go chowają. Nie patrzą na nic. Baliśmy się więc wołać doktora. Opatrzyliście mnie sami, obywatelu. Ciało masz poszarpane, ale nie utraciłeś nic. Ręce, nogi całe.

— Przegraliśmy, prawda ?

— Biedni zawsze muszą przegrać — rzekła Nestour'owa.

— Co się dzieje na mieście ?

— Stan oblężenia, obywatelu. Rozstrzeliwano tych, co się odrazu nie poddali — na cmentarzu Mont-Parnasse, na Montmartre, na dziedzińcu Cluny. Tyście w więzieniach. Wczoraj wyprowadzono jenców ze szkoły wojskowej, aby ich posłać do fortów. Związani byli po czterech za ręce. Nie mogli iść z głodu. Przyniesiono im w miskach zupę, ale że ręce mieli

związane, musieli kłaść się na brzuchu i czołgać się do misek, jak psy.

— Nieprawda!

— Prawda, obywatelu! Mówił mi to ten, kto wdział. A eskortujący oficerowie ryczeli ze smiechu i wołali: „Tak wygląda socjalizm w praktyce”.

— Ja też jestem oficer i mówię, że nieprawda.

— Ty jesteś oficer, obywatelu?

— Polski jestem oficer.

Znowu jęknął. Nestour'owa wlała mu jakiś napój przez zacisnięte zęby.

Mysłał, jak dowiedzieć się o Czerlińską i dać jej znać, że żyje.

— Mademoiselle — rzekł — jak na imię?

— Marguerite.

— Panno Marguerite'o, pani może chyba stąd wyjść bezpiecznie.

— Mogę.

— Niechże pani idzie...

Tłumaczył jej z trudem, jak ma iść do Czerlińskiej, jak tylko samą ją ma widzieć. Niech nie mówi, gdzie jest, tylko, że żyje, lekko ranny, że w bezpiecznym jest miejscu. I niech o nią się dowie.

Patrzyła na niego rozumnymi, niekowymi oczami.

— Idę, panie.

Przymknął oczy, aby nie potrzebować już mówić. Leżał w straszliwym żarze i dusił się w izbie. Roje much brzęczały i siadały na pokrwawionych, przepconych bandażach. Odganiać ich nie mógł, taki ból sprawiał mu najmniejszy wysiłek. Co teraz będzie? Nie miał siły myśleć i myślał mimo woli:

— Co teraz będzie?

Leży postrzelany u ludzi biednych, grosza nie ma przy duszy. Pracy, której chciał szukać, już teraz nie znajdzie. Nie może zostać w Paryżu, bo wezmą go na ulicy, aresztować będą wszystkich, którzy znajdowali się na listach podejrzanych. Szukali go już z pewnością u Gotardów. Chciałby zmienić bieliznę, cuchnął od potu i brudu, a nie może tam posłać. Nie są to rze-

czy ważne — te muchy, co na nim siadają, a oddałby połowę, życia, aby nie mieć tej męki. Oto jest nędza! Czarny krzyż!

Myśl popłynęła ku Florencji, ku pa acowi Boratynskich, ku starciu się z Mickiewiczem. Nie chciał białego krzyża. Czyż dlatego nios by dziś czarny? Gorączkuje, pomyślał. Symbol ofiary z ducha — co to jest? Czy męka jest najistotniejszą częścią istnienia, może jego racją? Dlaczego? Jest dziwna dysharmonia między naturą a człowiekiem. Gdzie w ludziach czystość zielonych drzew, radość ąk i kwiatów? Gdzie tam taka walka mordercza, wyrafinowana, okrutna — bez sensu?

Bez sensu! Ten, kto zwycięża, będzie pokonany jutro, ten, kto pokonany jest dziś, będzie zwycięzcą przyszłości. Niech ta walka klas powtórzy się w epoce, gdy nie będzie Mickiewiczów, Mazzinich, Micheletów — tych, w których żyje Bóg i cz owieczność! Nienawiść, która dziś się utworzy a, płodną będzie glebą dla ziół, co mogą wytruć całą ludzkość. Walka cz owieka z człowiekiem prowadzi do zag ady człowieka, musi więc być przeciwna jego naturze, musi być jej zwyrodnieniem czy jej niedojrza łością. Jakież inne są sposoby dla układu stosunków ludzkich, dla osiągnięcia sprawiedliwego spóżyicia? Gdzie ich szukać?

Chciał pić, lecz nikogo nie było, ktoby mu podał wody, nikogo, ktoby odegnał ohydne muchy, poprawił mu poduszkę pod głowę. Niewysłowna nuda ziała z kątów izby, z lichych sprzętów, z przymkniętych okiennic, wsącza'a się w ostry ból poszarpanego ciała i w kąsanie much. Ca'y pokój był jedną raną.

W przyległej izbie usłyszał szmer i szept. Chciał usiąść na krześku. To ona. Nie mógł się ruszyć. Usłyszał wyraźnie, jak Nestour rzekł: „Spi”. Drzwi otworzyły się cichutko. Z trudem zwrócił w tę stronę głowę, wielką, opuchniętą, obłożoną watą, okręconą bandażami.

Rzuciła się ku niemu i uklękła przy łóżku.

— Przyszłaś ?

— Jakże miałam nie przyjść ?

Przypomniiał sobie, że w gorączce widział ją tak właśnie klęczącą i że z nią mówił. I że to, co w tych chwilach słyszał i widział, było ważniejsze od wszystkiego, czego doznał w życiu, ale nie pamiętał nic.

— Wiedziałaś, że żyjesz.

— Wiedziałaś ?

— Wiedzia am.

— A ty jak ? Wy jak tam ? — krztusił się.

— Cicho, nic nie mów. Cóż my ? Cóż nam mogło się stać ? O tobie trzeba myśleć.

— O mnie ? — zdziwił się.

— O kimże ? No, o kim ?

W oczach stał jej lęk i lży, bała się dotknąć bandażów, palce jej drżały, lecz panowała nad sobą, udając, że doskonale odrazu zdać sobie można sprawę z braku wszelkiego niebezpieczeństwa, że bólu oczywiście jest dużo, ale nie grozi mu nic, że przecież porusza się, że przecież oczy patrzą zdrowo, Próbowała żartować pieszczotliwie, zadając gwałt głosowi, aby nie drżał.

— Taki biedny ! Taki poraniony ! Któż to pozwolił ? Kto ?

A jego ponownie opuścili się, głowa ciążyła, jak wór z piachem. Ręka jego parzyła.

— Ty zostać tu nie możesz — rzekła — ja stąd cię zabiorę.

— Dokąd ?

— Tam, gdzie ci będzie dobrze, gdzie będzie inne łóżko, inna pościel i doktor. Idąc tu, wszystko umyślałam.

— Ja stąd ruszać się nie mogę. Nie można, aby mnie ktoś zobaczył niesionego na ulicy.

— Niesionego ? Któżby uniośł taki ciężar ? Nie ! Ja przecież wiem, że nikt zobaczyć cię nie może, że trzeba zrobić to w tajemnicy. W nocy przyjedzie tu powóz.

— W tę dzielnicę robotniczą ?

— W tę dzielnicę robotniczą — tak. Bądź spokojny, wszystko będzie dobrze. Ja przyjadę po ciebie. Czy przy mnie stać ci się co złego może ? No, powiedz.

— Nie.

— Widzisz.

Nie opierał się. Nie miał siły i poddawał się nieznaney rozkoszy opieki nad sobą. Każda inna byłaby mu ciężka i niemila, ale nie ta. W swoich biedach, nieszczęściach nie znał tego, nikt nie dbał, aby mu życie było mniej twarde, a gdy się nawet ktoś z intencją taką zbliżył — odtrącał. Był zawsze sam. A teraz opasał go i rozjaśnił czar kochającego serca.

XVI.

Romuald Czołgowski starym był emigrantem. Żołnierz napoleoński, całe życie, od zarania młodości, spędził w szeregach, doszł do skromnego stopnia kapitana, w powstaniu awansował na podpułkownika, a przy przechodzeniu granicy ostatni naczelnny wódz, Maciej Rybiński, na pułkownika go podniósł. Po przybyciu do Francji w żadnym zakładzie wojskowym, które przez rząd na całej prowincji dla Polaków tworzone były, przebywać nie chciał niczyjej kontroli także poddawać się nie zamierzał, co ostatecznie sprawiło, że przyjął na siebie postać cywila i rzekł się wypłacanego żołdu. Darzono go powszechnie mianem Sokratesa. Sokrates — znaczyło: Czołgowski. Znany był bardzo z powodu swych ekstrawagancji, historii niebywających, powiedzeń pociesznych, humoru i werwy. Można powiedzieć, że dzięki humorowi z kłopotów wszelkich się wymigał i doszedł do dostatku, a nawet za nożności. Nie mając nic, przyjął służbę u podmiejskiego ogrodnika. Ten wysłał go do Paryża z jarzynami dla ulicznej rozprzedaży. Czołgowski, pchając w upalny dzień wózek z karczochami, wykrzykiwał:

— Il fait chaud ! Il fait chaud !

Przystawano, przyglądając się humoryście, a on zerkał na przechodniów i wołał:

— Artichauts! Artichauts!!

Genialność jego zwróciła uwagę i podbiła serce przekupki na Gobelinach, sprzedającej tam za straganem, we wszystkich porach roku, warzywa, owoce i wszelką żywność. Osoba ta miała wąsy, jak huzar, niezliczoną ilość brodawek, tuszę niebywałą i uciulany kapitalik. Ożenił się bez namysłu i nie żałował. Babina umarła po roku, on zaś pojął nową wiedźmę, jeszcze zasobniejszą, przy czym wybrał na dzień tego drugiego ślubu rocznicę pierwszego, co za dobry omen poczytał. Omen zawiódł — Czotkowski pięć razy ochodził podwójną rocznicę. Przez ten czas zwykł był mawiać: „Czyżem to gorszy od Sokratesa? On wytrzymał i ja wytrzymam”. Wytrzymał. Po pięciu latach pani Sokratesowa podążyła za swą poprzedniczką, on zaś po raz trzeci próbować nie chciał i nie miał po co. Po obu nieboszczkach odziedziczył tyle, że rzucił się do giełdowych spekulacji i niebawem nabył na własność fabrykę czekolady. „Sokrates wypię cykule, ja pić będę czekoladę” — powtarzano wówczas jego słowa po całym polskim Paryżu. Skąpy był niepomiernie, ale raczej dla oka, dla opinii, dla wyrobienia przekonania, że nachodzić go trud nadaremny, bo nie nikomu nie da, i już. „Umiera z głodu, no to co? Niech umiera, cóż ja na to poradzę? Napoleon też z głodu umarł, słowo honoru daję, czytałem to w jego własnych pamiętnikach”. Po czym w sekrecie najwyższym, zaklinając na wszystkie świętości, aby to nikomu powiedziane nie zostało, przychodził biedakowi z pomocą. Pożywić i zapożyczyć się można u niego było, pożądaną jednak opinii nie utracił, jako nie-
użyty sknera ogólnie s.yną.

Wanda знаła go z dawnych, panięskich czasów, kiedy bywał u jej rodziców. Lubiała i odwiedzała go. Niewiadomo czemu jego widok, jego anegdoty, opowiadania, choć wykiętkowane spod stopy, co przemierzyła Europę, spylone paryskim kurzem, zatłuszczone

kordegardą, budziły w niej zamierchę, dziecinne wspomnienia dożynek, polnych robót, zwozów zboża i siana. Czolgowski gadał, a ona, kołysząc się w fotelu na biegunach, widziała złote fury pszenicy, zwożone do stert i stodół, albo widziała siebie szukającą dziupli w drzewach, które obejmowała wyobraźnią w posiadanie, jako swe wyłączne, do niej tylko należące, zamki i pałace.

— Ale pani nie słucha.

— Słucham, pułkowniku.

— A co mówiłem ?

— Zaraz, zaraz, pułkowniku, tak mi nagle pułkownik przerwał.

— Widzi paniuńcia.

I gadał dalej.

Przewijało się przed nią całe życie. Dzieciństwo, Polska, wyjazd z rodzicami na emigrację — jak strasznie płakała — była wtedy małą dziewczynką — Paryż, hotel Lambert, poznanie Czerlińskiego...

— Co paniuńci ?

— Nic. Niech pułkownik mówi.

Mieszkanie urządzone miał wygodnie, dostatnio, z gospodynią i pianinem. Jak już, to już ! Grała tam czasem stare francuskie melodie lub ulubionego Mozarta. Wtedy on słuchał. Gorzej było, gdy chciał śpiewać. Dźwięki pianina przygłuszał nagle jego buńczuczny, rozległy bas. Smiała się wówczas do rozpuku. Kiedyś tak patrzył na nią bacznie, z namysłem, że zmieszała się.

— Co takiego brzydkiego pułkownik we mnie widzi ?

— Brzydkiego ? Dlaczego ?

— Tak pułkownik zmarszczył brwi, tak pułkownik patrzy bez uśmiechu.

— Pamiętam panią z dawnych lat, pannę Wandzię. Takie to było ładne.

— Ładne ? Naprawdę ?

— Naprawdę.

— A teraz nie jest ?

— Teraz jest piękne, nie ładne, to co innego. W oczach skowronek śpiewał, a teraz sęp siedzi. I wyraz ust się zmienił. Usta najbardziej.

— Lata, pułkowniku.

— Nie lata, ludzie. Ja to znam. Lata zmieniają inaczej, a ludzie inaczej. Ludzie jacyś, człowiek jakiś poszarpał tę duszę, trzeba, aby na powrót stała się taką, jaka była. Ja jestem stary, wiem, co mówię. Trzeba wrócić do tamtego.

— Do czego ?

— Do skowronka.

Nie widziała go później długo, aż dopiero gdy znała Krzesławskiego. Przesiedziała z nim cały wieczór. Wspominała rodziców i Polskę.

— Gdzie ja umrę, pułkowniku ?

— Tego nikt nie wie. Zaden człowiek nie wie, gdzie urodzi się, ani gdzie umrze.

— A pułkownik gdzie się urodził ?

— Pod Kruszwicą.

— Nie może być.

— Daję słowo. Tam, gdzie Popiela myszy zjadły. W paradnym miejscu, prawda? Mój ty Boże! Myślałem ja wtedy, że będzie mnie robak toczył na Montmartre ?

— Przecież sam pułkownik mówi, że nikt nie wie, gdzie umrze.

— Mnie już blisko. Dwa kroki. O dwa kroki to już się widzi. Pod Kruszwicą urodziłem się w lasach, nad jeziorem. Wie pani, gdy wypłynęło się w nocy na jezioro, to las stał, jak wał, jak ciemna z kamienia chmura. Gdy gwiazdy świeciły, to by o coś tak pięknego! Nigdy nie równie pięknego w życiu nie widziałem.

— Pamięta pułkownik ?

— Pamiętam !

— I ja pamiętam także.

— Swoje strony ?

— Swoje strony.

Jęknęły w nich oczy w długim, przeciągłym spojrzeniu. Zamrugała powiekami.

— Niech pani nie płacze, pani Wandziu. Po co zaraz płakać? Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

— Zapisane.

— Zapisane, prawda, wszystko zapisane. Człowiek jest, jak biblioteka — usiłował żartować. — Święty Piotr nie mało się namozoli, aż do niej sporządzi katalog. Takeśmy sobie pogadali o starych dziejach, i zaraz łezki się kręca. A ja z tego, co było, nie robię sobie nic. Było, przeszło i już! A wie paniuńcia co? Paniuńcia jest teraz taka, jak dawniej.

Do Sokratesa postanowiła Wanda przenieść Krzesławskiego. Tam wyleczy się i będzie bezpieczny. Nikt podejrzewać nie będzie, że u fabrykanta czekolady ukrywa się ranny na barykadach rewolucjonista. Przyślą ją do rzeczy ostrożnie, z długimi wstępami.

— Ja to wiem, wiem — przerwał jej — Polak naturalnie, cóżby to był za Polak, któryby wróbił nie miał w głowie. Cóż tak paniuńcia o niego się turbuje? Cóż mu się stanie? W najlepszym razie go rozstrzelają — zawsze żonierska śmierć — w najgorszym ześlą do robót publicznych. No, to nauczy się pracować!

— Pułkowniku!

— Szczerze mówię. Cóż do mnie go znosić? Do fabrykanta czekolady, takiej burżuazyjnej potrawy, dla samej burżuazji wyrabianej. Do mnie, ludu krwiopijcy, burżuazji karmiciela, takiego płaszka, co by tylko sam pieprz jadł? Co też paniuńcia?

— Ja do pułkownika nie przychodzę, jak do fabrykanta czekolady, ale jak do swojego przyjaciela.

— Jak do swojego przyjaciela — to mnie paniuńcia zagadnęła. Jakże się nazywa ten kawaler?

— Krzesławski.

— Krzesławski! A toć ja go znam! Ciemny szary, a oczami jak u wilkołaka.

— Więc dobrze?

— Niedobrze — uśmiechnął się pod wąsem — bo ja nie lubię szatyn w. Powinien być brunet i już.

— On prawie brunet.

— Najgorzej, kiedy jest prawie, a nie zupełnie. Niech będzie brunet, blondyn, albo siwy. Albo rudy! To jest wyraźnie. Jak już, to już!

— Pułkownik żartuje, a on tam leży chory, bez opatrunku.

— Wiem, że to muszę zrobić.

— Sokratesiku kochany!

— Dobrze, dobrze...

— Jak mam pułkownikowi podziękować?

— Nie trzeba dziękować. Już mi tak pani Wandzia w sercu podziękowała, jak słowa tego nie powiedzą.

— Widzi pułkownik.

— Widzę, dobrze widzę. Niechże przyjedzie. To ja po niego mam swój powóz posłać?

— Pułkownik.

— Dobrze, robi się to jakoś, żeby nie było widać. Jeden warunek.

— Jaki?

— Niech do mnie nie mówi: obywatelu. On może jest obywatel, bo się bez wszystkiego obywa, ale nie ja.

— Sokrates też bez wszystkiego się obywat.

— Ja jestem Sokrates udoskonalony.

Usiłował jeszcze przekładać, że niedobrze jest, aby ona jechała po chorego. Po nocy! Niech będzie spokojna, nie mu się nie stanie, nie musi być to nic wielkiego, skoro dotychczas nie umarł. Ma nadzieję, że się wyleczy, bo gdyby umarł u niego, to miałby wielki kłopot. Amputacji też pewnie nie będzie potrzeba — wreszcie to się zobaczy.

— Śmierć, kalectwo, zesłanie — wymawiał często, bacząc spod oka, jakie te wyrazy czynią na niej wrażenie.

Ostatecznie ustąpił we wszystkim, pozwolił jej jechać, sam poszedł zamówić lekarza i czekał na pokrwawionego gościa.

Minęła już północ, gdy usłyszał ciężkie a ostrożne kroki na schodach. Wyszedł ze światłem. Nestour z żoną i woźnicą wnosili Krzesławskiego. Wanda podtrzymywała mu głowę. Przeprowadził ich do pokoju z przygotowanym łóżkiem i, zwracając się do Wandy, rzekł:

— Zawołałem doktora Francuza, nie Polaka od emigrantów. Po co ma kto wiedzieć.

Podziękowała mu spojrzeniem.

— Pani wróci już do domu.

— Zostanę.

W myśli jej nie powstało, że Czerliński się niepokoi, że może szuka jej po znajomych. Nie istniał dla niej w tej chwili zupełnie. Było jej obojętne, co myśli Czołkowski. Wiedziała zresztą, co myśli, i była mu wdzięczna, że nic nie mówi, że udaje, jakoby nic nie odgadywał, że zachowuje się tak, jak potrzeba. Właśnie tak, jak potrzeba. Przechodził ustawicznie przez pokój, w którym czekała, i wracał, niosąc to wodę, to ręczniki, to jakąś starą bieliznę.

— Posługuję doktorowi, jak potrafię — mówił — ja też na ranach się znam. Nie ma strachu.

— Naprawdę nie ma?

— Zaraz paniuńci sam doktor powie. Takiego diabła nie chce, a Pan Bóg nie potrzebuje. Niech się pani nie gniewa, to tylko żart. Dobrze pani zrobiła, że sprowadziła go tutaj. Zawsze to rodak, choć przeciw fabrykantom powstaje.

— Pan jest bardzo dobry.

— Jak czekolada.

— Więc naprawdę nie ma niebezpieczeństwa?

— Lewą nogą się przeżegnam, jeśli mu się co stanie.

Całkowitej jednak prawdy nie wyznał. Doktor nie ręczył za życie. Wzruszał ramionami. Organizm był silny, ale wstrząśnięty nadmiernie. Rany i upływ krwi nie spowodowałyby utraty życia, gdyby nie przyplątała się jakaś choroba, którą w tym stanie przenieść byłoby trudno. Ta zapowiadała się w zaczynającym

się kaszlu, męczącym okrutnie. Nie umiał jeszcze postawić diagnozy.

Już świtało, gdy Czolgowski oznajmił.

— Chory śpi. Wymyty jest, poobkładany, pobandażowany i śpi. Niech pani wróci do domu, odprowadzę.

— Pójdę sama — rzekła.

Teraz dopiero, idąc przez śpiące, puste ulice, myślała, co powie Czerlińskiemu. Całą noc nie była w domu. Mogłaby mu powiedzieć, że była przy rannym Krzesławskim, gdyby nie obawiała się jego gadatliwości. Pamiętała zzymnięcie się Krzesławskiego po powrocie z Włoch, gdy powiedziała mężowi, że nie przyszedł do nich odrazu, obawiając się, że jest śledzony. Powiedzieć mu nic nie można, bo rozgada, jej nawet nie oszczędzi. Co za człowiek! Wytłumaczyć jednak swą nieobecność trzeba jakoś było, tymczasem żaden wybieg do głowy jej nie przychodził, nawet gdy pukała do drzwi.

Otworzył jej Czerliński.

— Gdzie byłaś ?

Spytał tak, że odepchnęła go wzrokiem i przeszła do siebie. Wzburzona była, że ją spytał, i takim tonem! Jak śmiał! Jakim prawem płacze się przy niej ten człowiek, obcy człowiek! Zawsze jej był obcy, nie od dziś! Wszystkie jej będy, wszystkie załamania życiowe stąd pochodzą, że był jej obcy. Dlaczego go poślubiła? Co za nieszczęście! Była głupia, po prostu dlatego, że była głupia. Smieszył i bawił ją. Wyszła za zabawnego człowieka, związała się na całe życie z zabawnym człowiekiem. Na całe życie? Nie. Jej życie do niej należy, do niej samej. Kto może jej życiem dysponować, jakie prawo? I na co mu jest potrzebna? Zadnego uczucia w niego nie wprowadziła, żadnej myśli. Taki jest, jaki był i taki będzie. Sekretarz Lamartine'a! Jedyne czyn szlachetny, jaki dla siebie wymyślił, to sekretarzowanie Lamartine'owi. Też wyobraźnia!

Wsparła głowę o szybę i patrzyła w rozjaśniają-

cy się dzień. Całą duszą była przy tamtym. I rano tam poszła, nie widząc męża.

Krzesławski leżał w gorączce. Widziała go tylko chwilę od progu. Pozostała, jednak cała dzień, chodziła po lekarstwa, wypytywała lekarza, poszła do Gortardów przekonać się, czy Krzesławski szukany nie był, nie zastała jednak nikogo, mieszkanie było zamknięte.

— Gdzie ty chodzisz, Wandziu? — spytał ją wieczorem Czerliński.

— Gdzie chodzę? A czy ja ciebie pytam kiedykolwiek, gdzie ty chodzisz?

— Ja co innego.

— Dlaczego ty co innego?

Ponad jej siły było teraz z nim mówić. Później, gdy Krzesławski wyzdrowieje, może, ale nie teraz. Ustawiczne, mimowolne porównywanie jednego z drugim było jej męką. Męką jej było, że musiała tu powracać wieczorem, pod wspólny dach. Od czasu barykad przeżyła w sobie rzeczy, przez miłosierdzie natury rozkładane na lata. Wszystkie zwyczaje i nawyki, którym tak długo się poddawała, które zaszczypane jej były w krew, stały się głupie i nie niewarte. Czy nie będzie pielęgnować Krzesławskiego, dlatego, że nie wypada? Czy ona ustanawiała to śmieszne prawo „nie wypada”? Czy przyjęła na siebie zobowiązanie, że mu się podda, że spełniać je będzie? Spełniała je z nawyknięcia, z nalogu, a dziś wyzbyła się nalogu — tylko tyle. Huragan myśli wyrwał z korzeniami najgłębiej osiadłe towarzyskie i społeczne atawizmy, rozpędzał chmury, odśaniał coraz to nowe światła. To, co wczoraj było konieczne, stało się niemożliwe. Cały jej świat trząskał u podstaw. Dawniej w świat inny wchodziła ukradkiem i żyła w nim chwile, teraz wchodziła otwarcie i żyła w nim cała. Przy całej przewadze nad mężem, nie uraziłoby jej jego zapytanie, w podobnej nawet zadanej okoliczności, dziś czuła je jak upokorzenie, jak obelgę. On co innego! Dlaczego co innego? Jaka różnica? Jest! jest! Ta, że

on chodzi do biura, że na nią zarabia, że ona dzięki niemu żyje. I gdy sobie to uprzytomniła, poczuła, że dłużej tak żyć nie może i nie będzie. Skoro ona go nie kocha, więc on jej płaci. Za co jej płaci? Rzecz najmniej dla niej ważna, na którą dołąd zupełnie uwagi nie zwracała, zabezpieczenie swej egzystencji dzięki majątkowi czy pracy męża, przeobraziło się w jej nowym pojęciu na rzecz potworną. Nic nie jest tu jej, nic nie ma własnego. Pieniądze, za które kupuje lekarstwa Krzesławskiemu, nie należą do niej, lecz do Czerlińskiego. Tak, jakby mu je kradła. Co uczynić? Pracować? Jak? Gdzie? Struchlała na myśl, że nic nie umie, że na nic nie jest użyteczna. Tańczy, gra, od biedy maluje i jest doskonale wychowana. Doskonale — istotnie! Na co to ludziom potrzeba? Tyle trudu, tyle pieniędzy wkładać w taniec i w muzykę człowieka, który ani tancerzem, ani muzykiem nigdy nie będzie! I to w świecie, gdzie tyle jest nędzy, gdzie ludzie z głodu burzą miasta i na barykadach giną tysiącami. Cóż ona uczyni dziś z tym swoim tańcem i muzyką, dziś, gdy musi coś umieć? Guwernantką zostanie? Będzie inne uczyć tańczyć i grać, aby znalazły się kiedyś w takim położeniu, jak ona? I tego nie potrafi.

— Wszystko jedno, będę kwiaty sprzedawała na ulicy!

Tylko Czołgowski coś może na to poradzić, tylko on. On przecież także nic nie umiał, prócz swojej sztuki wojskowej, a jednak dał sobie radę, zdobył nawet majątek. Nie pamiętała, że Czołgowski zabrał poprzednio dwa posagi, że musiał sprzedać się dwa razy, aby kupić fabrykę czekolady, opanowana była jedynie myślą, że jej pomoże, że ją nauczy, jak zarabiać na życie.

Kiedy wyłuszczyła mu swoją prośbę, wytrzeszczył oczy.

— Pani chce pracować?

— Tak.

— Nie rozumiem.

— Nie rozumie pułkownik, że chcę pracować ?
— Dalibóg nie rozumiem.
— Po cóż człowiek żyje ?
— To nie jest odpowiedź. Niech pani odpowie
mnie staremu szczerze, po prostu. Ma pani przecież do
mnie zaufanie, skoro z tym pani do mnie przyszła.

— Bezgraniczne.

— Niech więc je pani ma do końca.

— Chcę być wolna — rzekła.

Popatrzył na nią bacznie, coś jakby rozczulenie,
żał, tkliwość mieszały się mu w oku. Zamysłony bęb-
nił palcami po stole.

— No co, pułkowniku ?

— Dalibóg — zaśmiał się — Sokrates trudniej-
szej kwestii nie miał do rozwiązania. Ja już nic wię-
cej nie chcę wiedzieć, to mi wystarcza.

— Więc cóż, pułkowniku ?

— Owszem, owszem. O wolność teraz walczymy.
Rodak Krzesławski za wolność karku znad poduszki
udźwignąć nie może, dziś kilkuset robotników zesła-
no do Algieru, aby tam sobie po barykadach o wol-
ności rozmyślali. Nie pomyślała o tym nigdy paniuńcia ?

— O czym ?

— O tym, jak się oplaca wolność.

— Jeżeli pułkownik nic nie poradzi, będę kwia-
ty na ulicy sprzedawała!

— Hm... Ja nie dlatego, abym nic nie chciał po-
radzić, lecz żeby uprzedzić, żeby przykłady dać. Niech
się paniuńcia dobrze zastanowi. To, co paniuńcia chce
zrobić, to ważne jest, to na całe życie — jeżeli się nie
mylę. A może się mylę, może paniuńcia ma jakieś
kłopoty, któreby w inny sposób dały się usunąć. Pro-
szę mi powiedzieć, coś się na to poradzi.

— Nie myli się pułkownik. Ja potrzebuję pracy.

— Hm... Co paniuńcia umie ?

Rozłożyła ręce.

Uśmiechnęła się.

— Hotel Lambert. Wiem, wiem. Rachować pa-
niuńcia umie ?

- Oczywiście.
- Dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć?
- Doskonale.
- Ile jest dwa razy dwa?
- Cztery.
- A trzy razy trzy?
- Pułkownik!

— Muszę przecież wiedzieć — no, to bardzo dobrze. Hm... Bardzo dobrze. Przepraszam z góry za to, co zaproponuje, choć między kapitałem a pracą ceremonie takie niepotrzebne. Mogłaby pani robić u mnie rachunki? Proszę, proszę wziąć to po prostu, tak, jak ja mówię. Mnie potrzebny jest ktoś do robienia rachunków. Sumienny! — podniósł palec w górę. — Bardzo sumienny! Do biura nie potrzebowa aby pani chodzić, tu kazałbym przynieść książki. Ale praca ciężka, od rana do wieczora. — Przymrużył filuternie oczy.

Pojęła, że między nią a Sokratesem panuje tajne porozumienie i że on jej sprzyja. Poczciwy, dobry starzec! Kłoby myślała, że ma w sobie tyle rozumu i dobroci. Sam, widać, przeżył wiele.

— Widzisz, Janusz, jak wszystko jest dobrze, tak, jak ty chciałeś — mówiła do Krzesławskiego. — Cały dzień będę przy tobie. Czółgowski znalazł mi pracę, tu będę pracować.

— Ty?

— Cóż tak patrzysz? Tylko ty masz być wolny? Tylko tobie wolno?

Ujął jej rękę i z trudem podniósł do ust.

Propozycja Czółgowskiego uwalniała ją od kłamstw i wykręśłów, czego bała się najwięcej. Boże! Boże! tyle znosić i jeszcze kłamać, jeszcze się upokarzać! Do tego czasu potrafiła tego uniknąć, lecz długo tak trwać nie mogła. Zły los minął. I jednocześnie antypatia jej do męża zmalała. Postanowiła przedstawić mu sprawę jak najdelikatniej, jak najmniej boleśnie. Cóż on ostatecznie winien. Ani on, ani ona. Czerliński nie miał odwagi, aby zacząć rozmowę, ale na nią czekał i wiedział, że rozstrzyga się wszystko, gdy po południu Wan-

da weszła do jego gabinetu. Oczy natychmiast uczy-
niły się mu czerwone, i na twarzy wystąpił wyraz cier-
pienia i udręki.

— Pytałeś mnie, dokąd chodzę, gdzie przebywam
cały dzień — rzekła.

— Nie przypuszczałem, że cię to obrazi, sądziłem,
że mi wolno.

— Nie mam o to do ciebie pretensji, i ty nie miej,
że ci nie będę tłumaczyć. Chcę jedynie, abys się do
mojej nieobecności przyzwyczaił, chcę cię uprzedzić,
że od dzisiaj codziennie mnie tutaj nie będzie — nie
chciała powiedzieć „w domu” — mam zajęcie na
mieście, płatne zajęcie.

— Ty masz płatne zajęcie?! — krzyknął.

— Tak. Ty pracujesz, dlaczegóż ja nie mam pra-
cować, dlaczego ja mam być co innego?

Tego się nie spodziewał. Wyobraził sobie, że była
to zemsta za słowa „ja co innego”.

— Wiesz! — wołał, biegnąc po pokoju — wiesz!
Zeby z powodu takiego głupstwa! Cóż ja takiego po-
wiedziałem?! Czy się uniosłem?

Spojrzała mu chłodno w oczy.

— Tylko tego by brakowało — rzekła.

Stropił się.

— Wandziu moja, przecież to nie wypada!

— Nie wypada? Mnie się zdaje, że nie wypada,
abym nie nie robiła.

— Jakież to zajęcie?

— Książki rachunkowe.

— Gdzie?

Zawahała się. Jeśli mu powie, to przyjdzie do niej
i dowie się o Krzesławskim, a gdzie jest Krzesławski,
nikt nie powinien wiedzieć.

— Tego ci nie powiem. Boję się, abys nie przy-
szedł do mego pryncypała, a ja tego nie chcę.

— Skąd ci do głowy przyszło, żeby starać się o
płatne zajęcie? Czyż ja ciebie nie utrzymuję?

Wzięła ołówek i rysowała na skrawku papieru
jakieś desenie i figury.

— Właśnie ja nie chcę, żebyś mnie utrzymywał, ja sama chcę siebie utrzymywać.

— Masz dziwny sposób mówienia — wybuchnął.

— Mówisz tylko: „ja chcę”, albo „ja nie chcę”.

Wstrzymał się, badając, czy może dalej mówić takim tonem.

Nie odpowiadała, rysowała wciąż esy-floresy.

— A gdybym ja powiedział: „nie chcę!”?

— Powiedz.

— Więc powiem: „nie chcę!”.

Znowu się wstrzymał, lecz, gdy milczała i oczy miała spuszczone na papier, począł gwałtownie:

— Ja mam prawo wiedzieć, dokąd chodzisz i co robisz! Jestem urzędnikiem, mam sytuację, żonie mojej nie wolno robić, co się jej podoba. Chyba przynasz mi rację? Nie?

— Mów dalej, słucham.

— A gdybym nawet nie miał sytuacji, też miałbym prawo! Robiłaś zawsze, co ci się podobało, lecz wszystko ma swoje granice. Chodzisz niewiedomo gdzie, robisz niewiedomo co, a mnie nie raczysz nawet tego wyjaśnić! Czy ja obowiązków swoich względem ciebie nie spełniam? Czy nie pracuję na ciebie, czy nie dbam, abys wszystko miała? Czy jestem złym mężem? A gdybym nawet był zym mężem, gdybym pił, grał w karty, i tak miałbym prawo. Znasz chyba kodeks francuski, że już tak powiem!

— Powiedziałeś już wszystko — podniosła oczy — więcej mi nie potrzeba. Nie przerywałam, bo chciałam o tobie wiedzieć wszystko.

— Ja mówię w uniesieniu!

— Właśnie w uniesieniu człowiek wypowiada, co w nim jest najistotniejsze.

— Gdzie jest Krzesławski?! — krzyknął w pasji.

— Nie wiem.

— Wiesz!

— Wiem, więc cóż z tego? Kiedy odpowiedziałam, że nie wiem, to powinienes był na tym poprzestać.

Zastąpił jej drogę.

— Wandziu!

— Uspokój się i nie bierz tego tragicznie. Nie wmawiaj w siebie, że masz do mnie jakieś uczucie. Nie masz. Ja już to dobrze wiem, powiedziałaś mi to sam.

— Kiedy?

— Przed chwilą. Zależało mi najwięcej na tym, aby to wiedzieć. I jestem ci bardzo wdzięczna, nie wiesz nawet, jak jestem ci wdzięczna. Nie masz dla mnie uczucia, jesteś tylko do mnie przyzwyczajony. Jesteś do mnie tak przyzwyczajony, jak do swego biura, do tego kodeksu, do tego całego porządku społecznego, do tego prawa „nie wypada”. Przyzwyczajony jesteś do swojej sytuacji, a może nawet kochasz swoją sytuację. Biuro, kodeks, porządek społeczny, „nie wypada”, ja — to wszystko razem twoja sytuacja. Gdybym ja w tej sytuacji była nieszczęśliwa, tobyś zniósł, ale nie zniósłbyś, gdybym by a poza sytuacją, bo sytuacja by się popsuła. No tak, Karolu, tak. Bardzo ci jestem wdzięczna, żeś mi powiedział wszystko.

Istotnie była mu wdzięczna. Najważniejsze pytanie, jakie sobie stawiała, było, czy uczucia jego nie zrani. Wtedy, gdy spostrzegła go pod oknami mieszkania Krzesławskiego, to tylko miała na myśli. Krzesławskiemu powiedzieć tego nie mogła i nie chciała. Wolała, aby ją posadził, że się boi, aby myślał, że ukradkiem się wymyka i ukradkiem powraca, niż przełamać tę wstydlivość, która nie pozwoliła jej wyznać, że nie chce ranić uczuć swego męża. Jak to dobrze, że on ich nie ma, jak to dobrze! Teraz dopiero poczuła się wolna.

XVII.

Krzesławskiego stan się polepszał, ale mówił z trudem i poruszyć się nie mógł bez bólu. Wanda koło niego robiła rachunki. Choć nie pracowała nigdy,

praca jej nie ciążyła i nie lekceważyła jej. Kolumny cyfr przeliczała kilkakrotnie z naprężoną uwagą, jak najsumienniej, jak najdokładniej. Dokładność była główną cechą jej pracy. Słęczała nad jakimś zawiłym rachunkiem, gdy Krzesławski szepnął:

— Wando.

Patrzył różniej, piersi oddychały równiej, najwi-
doczniej czuł się lepiej.

— Potrzeba ci czego? — odłożyła pióro.

— Czy nie wiesz, co dzieje się z Mickiewiczem?

— Mickiewicz jest w Paryżu.

— Wrócił z Włoch?

— W czasie barykad, lub zaraz po nich. Dobrze
nie wiem. Mało kogo widuję. Ale slyszalam, że jest.

— A jego legion?

— Nie wiem.

Przyknął oczy, a ona znowu rachowała, po ja-
kimś czasie zaczął mówić.

— Niepodobna, aby wrócił bez celu, albo żeby
tam wszystko się rozbiło i nie było już co robić. Nie-
podobna. Kamiński przecież poszedł ze swoimi.

— Jak chcesz, to się dowiem.

— Dowiedz się. Ja ci mówiłem, jak to było z
tym krzyżem?

— Z tym krzyżem na mundurze? We Florencji?

— Tak.

— Mówiłeś.

— Co ty mówisz o tym moim postępku? Jak go
sądzisz?

— Nie wiem, Janusz.

— Myślę o tym ciągle, leżę i myślę. Los mój wte-
dy się zdecydował — wiesz?

— Bo wróciłeś.

— Nie, nie dlatego. Los mój się zdecydował, bo
odepchnąłem symbol rewolucji chrześcijańskiej, a wy-
brałem tę drugą. Nie rozumiałem w rewolucji idei
miłości, absurdem mi się do zdawało, poetyckim ma-
rzeniem. Teraz patrzę inaczej.

Oczy się jej rozjaśniły.

— Naprawdę?

— Tak. Ja i ty idziemy ku sobie jakąś dziwną drogą, z dwóch stron, z naprzeciw. Jesteśmy coraz bliżej, ale jeszcze nie jesteśmy przy sobie.

— Dlaczego?

— Bo ja wiem. We mnie i w tobie musi coś się przetrworzyć, coś do dna odmienić, aby to się stało. Ty też mnie wtedy popchnęła do Mickiewicza, do Włoch.

— Ja?

— Ty.

— Wcale nie chciałam, abys jechał.

— Nie namawiałaś mnie do tego, wiem. Pojechałem jednak przez ciebie. Wiara się jakaś we mnie obudziła, i pojechałem. A we Florencji... We Florencji, to było po rozmowie z Traversim. Zwątpilem, i wtedy wszystko, co we mnie było dawne, odżyło. Przed nami droga jeszcze długa, Wando.

Usiadła na krawędzi łóżka i, poprawiając poduszki, rzekła:

— Takbym cię chciała słuchać, lecz boję się, abys nie zmęczył się, mój biedaku.

Wstrząsnął głową.

— Nie.

Myśli, dojrzałe w pustce nocy bezsennych, jak złot duchów, szukających planety, szukały słowa.

— Posłannictwo, misja... dlaczego dziś świat przejął się tą ideą, dlaczego szuka nowych dróg poza tymi, które mu żobi realne, twarde życie, dlaczego na swoje zadania, na swoją duszę patrzy inaczej, niż dawniej? Dążność naprawy stosunków społecznych, obdzielenia wszystkich chlebem, zdobycia nawet politycznej wolności mu nie wystarcza, a i te dążenia, i te zdobycze przybrały inne proporcje, niż dawniej. Ja miałem to za mrzonki poetów, za fantazje urwiduchów, oponowałem przeciw tym dywagacjom lub po prostu za zwykłą błądę i kłamstwo ja miałem. Misja człowieka, realizującego w życiu doczesnym zrealizowane w swoim duchu prawdy, których nigdy nie wi-

dział, wydała się mi czczym wymysłem. Misja narodu w, zapalających każdy inne światło dla oświecenia ludzkości pochodu ku Bogu — także. Miłość i walka — pomieścić mi się w głowie nie mogło.

A dziś?

— Dziś... nie przyjmuję prawd i wskazań z tego dążenia powstałych w całej ich treści — może nigdy nie przyjmę — lecz samo dążenie mnie porywa. Miłość i walka, misja, dziś to rozumiem. Człowiek bliższy jest poznania prawdy, poznania życia, bo wnikał w nie głębiej. Człowiek przejawiał się. Wielka rewolucja, wojny Napoleona i to, cośmy przeszli. Porównaj dawne czasy z naszą epoką. Tak, jakby przenieść kogo z kraju Eskimosów lub z nieżyźnych piasków w strefę tropikalną. Oto z nieżyźnych piasków czy śniegów weszliśmy w krainę tropikalną. Życie rozwinęło się w zawrotnym tempie, przejawiało w nieskończonej mnogości odmian. Więcej mieliśmy czasu na spostrzeganie, bo rozwijało się koło nas szybciej i różnorodniej, i widzieliśmy je pełniej. Niektórzy poczuli, że człowiek jest częścią całości — stąd misja — stąd ten gwałt prowadzenia wszystkich ku Bogu, jedności wszystko obejmującej. W życiu politycznym w demokracji się to przejawiało. Człowiek częścią jest całości, społeczeństwa, równy w nim wobec prawa, jak wobec Boga, a więc i wolny, i brat jeden drugiemu. Wolność, równość, braterstwo. Prostacko wyrażone, ale mądrze. Chłop ujmie tak czasem najgłębszą prawdę. Umysły polityczne są prostackie. Wyraziły jednak, co w duchu ludzkości dojrzało. Nie powiedzieli miłość, bo za głupi, nie doszli do praźródła, odłamali wolność od miłości — a to jedno — dwa ramiona tego samego krzyża. Rozumieli to inni, poeci, wieszcz, rozumie to Mickiewicz, rozumiał arcybiskup Affre. Dążenie jednak do miłości przez materię jest walką w ludzkości. Kiedyż wszystkie miłości ludzkie zleją się w jednej i przestaną walczyć o prawo do życia! Dużo jeszcze krwi się wyleje i zginą najlepsi, ci, których widzimy, którzy są z nami, których mo-

żemy zrozumieć, tacy jak Mickiewicz, bo są i wyżsi od niego, ci, którzy wyzwolili się już z wszelkich więzów materii i tych cech charakteru, jakie materia tworzy, którzy porzucili rodzinę, majątek, żyją z jałmużny, wyzbyli się egoizmu, indywidualności materialnej i weszli w ogólną krainę ducha, zespalającą jednostki w jedną harmonię. Takim jest pono Towiański, Mickiewicz za takiego go ma. Ale on jest mi za daleki, nie jest mi bratem w mojej walce, za nim tylko iść można, a ja muszę iść sam. Gdy pójde sam, może gdzieś dojdę, gdy pójde za kims, nigdzie nie będę. Buntuję się przeciw temu, kto mnie chce zbawiać, jak Towiański. Zbawię się sam, albo zginę sam! Przez ciebie udałem się do Włoch. Mówiłem ci kiedyś, że nie kocham ludzi, tylko idee.

— Tak.

— Człowiek, który tylko idee kocha, kocha tylko sam siebie, za siebie walczy i za siebie ginie. Jest tak, cokolwiek by o tym sądzono, cokolwiek by myślano. Kochałem tylko siebie, nie czułem się częścią całości. Gdy przyszła miłość do ciebie i gdy mi się zdawało...

— Nie zdawało ci się.

— Wtedy poczułem się zespolony z całością istnienia, wtedy otworzyła się przede mną inna droga, która mnie wiodła ku Mickiewiczowi, jedynie umiemy na dziś realizować miłość w życiu powszechnym. Za mało jednak na tej drodze utwierdzony byłem. Przez ciebie na nią wszedłem i przez ciebie zszedłem.

— Przeze mnie?

— Bo nie powiedziałaś mi, nie okazałaś tego, co dziś. Za wcześniej było, ja wiem. Gdybyś to wtedy była uczyniła, to tyle miałbym w sobie jasności, że, co jasne, nie odpychałbym. Ale nie uczyniłaś, i dawne, co było we mnie, wskazało po rozmowie z Traversim. Rozumiem teraz dobrze.

Podniosła rękę do oczu.

— Niceś nie winna. Ani ty, ani ja. Nikt nie wi-

nien, że z pierwszego stopnia nie może ujrzeć, co ujrzy z drugiego, wyższego. Co dawne we mnie było — wskrzesło, odszedłem od krzyża, symbolu życia, miłości i wolności. Odszedłem tak gwałtownie, że musiałem rzucić się w te odmęty. Mickiewicz powiedział mi: „Idź precz!” — i poszedłem precz, bardzo daleko. Nie zginąłem — niepojęte, że nie zginąłem! Śmierć ocierała się o mnie wciąż, dotykała, nie wzięła. Ten granat padł tak, aby mnie tylko powalić — niepojęte! Cudem żyję. Dane mi było umrzeć tam, gdzie wróciłem, i powinieniem drogę porzuconą przejść na powrót. To jest moje przeznaczenie, dziś to wiem.

— Wróć do Mickiewicza.

— Chcesz?

— Chcę. Byłeś mi dawniej bardzo daleki, choć bardzo bliski. Byłeś mi bardzo daleki przez swoją nienawiść, pogardę, gniew. Gdy zjawileś się, byłem jak przywalona śniegiem, zamarała. Nikt nie wiedział, nikt się nie domyślał, odgrzebałeś mnie spod śniegu. A ja, patrząc na ciebie, wysłałam, czy odgrzebałeś mnie dla siebie, czy dla kogo innego. Bo ja twojej nienawiści się bałam i, mimo wszystko, razem z nią bym nie poszła. Jeszcze bardziej się bałam, abys ty, taki nienawidzący, mną nie pokierował, nie pchnął mnie na drogę, która nie byłaby moją. Pamiętasz, jak powiedziałam po twoim powrocie z Włoch, abys mego rozwoju nie przyspieszał, abys mną nie kierował.

— Pamięłam.

— Bo się ciebie bałam.

— A teraz?

— Teraz już nie.

— Zbliżyliśmy się na pół drogi.

— Kiedy przejdziemy całą?

— Wtedy, gdy ja dojdę do tego, co jest w tobie, a ty do tego, co we mnie.

— Rozumiem cię — rzekła cicho i pochyliła głowę, jakby mu ją chciała położyć na piersiach, i opamiętała się, że przecież pokryty jest ranami.

Lzy zaświeciły jej w oczach.

Stan jego to poprawiał się, to pogarszał, mijały tygodnie za tygodniami, a na nogach utrzymać się nie mógł. Przenoszono go z óżka na fotel i z fotela na łóżko. Czasem myślał o śmierci: — Kości, widać, pogruchołane, coś wewnątrz pękło, czego lekarz nie dojrzał, nie wylizę się. — I bał się śmierci, nie chciał jej. Dawniej ani o niej nie myślał, ani się jej obawiał, teraz zaś trzymał się życia całą duszą, całą wolą. Umrzeć znaczyło już jej nie zobaczyć, pożegnać na zawsze. Chciał więc żyć, lecz myśl o śmierci przesła-
dowała go nieustannie. Wyobrażał sobie, czym ona jest. Sama przez się niczym, bo albo nicością, zgasze-
niem światła w lampie i tyle, albo przeniesieniem się w inne warunki bytu. Tak, jak przenosił się z Polski do Francji. To był też rodzaj śmierci, pewna jej forma, jej podobieństwo. Śmierć i życie wciąż się staje, staje się z każdą umierającą i z każdą rodzącą się chwilą. Zgaszenie światła w lampie lub przeniesienie się w inne warunki bytu. Naturalnie! Naturalnie? A jakże! Z rzeczy wiadomych bierzemy przykłady dla zrozumienia rzeczy niewiadomych. Z okrucich życia nieobjętego w całości, z jakichś drzazg, które do naszej instrumentalnej świadomości dochodzą, tworzymy obraz zaświata. H o m o f a b e r e s t. Z światła wyfabrykował zaświat. Spostrzeżenia swych zmysłów omylnych wprowadził do swojej maszyny mozgowej i wypuścił z niej zaświat, więcej budzący w nim wiary, niż doświadczenia i obserwacje, z których został sklecony. Zaświat — też wyraz! Nie byłoby go, gdyby nie znał światła. Cóż to za nauka pana Towiańskiego? Wędrowka ducha z ciągłymi powrotami na ziemię, jego starość, ilością tych powrotów znaczona, walka kolumn duchów białych i czarnych o jego udział w ewolucji istnienia, grzech jego lub zasługa, zależnie ku której kolumnie się nakłoni, pod czyjej prawo wchodzi. Wędrowka, starość, kolumny, kolory. Wszysiko ślad. Czy prawdy w tem nijakiej nie ma? Może jest w samym stanie duchowym człowieka czystego, człowieka wolnego, ale skądby była w

jego przejawie słownym, przez maszynę mózgową przepuszczonym?

— Posłuchaj, Wando — podniósł oczy znad książki.

Wieczór zapadał, odłożyła pracę i przysunęła krzesło do łóżka.

„Skoro na widok przedwiecznego słońca zły duch pomyślał o szczęściu bez końca: ta myśl ogromna, jako światła brzemień, z takim ciężarem padła mu na ciemność, że stracił siłę....”.

— Prawdy nie można poznać bez szczęścia, tak mówiłaś?

— Tak mi się zdawało.

— Nie brałaś ty mnie za maniaka, za utopistę?

— Nie.

— Słyszałem często takie o sobie zdanie. Wchodzi to do tego stronnictwa, to do tamtego, fantasta lub zgola wariat. Demokrata, a opinii większości poddać się nie chce; socjalista, a panowanie ludu odrzuca. Anarchizm — to jedno dla mnie, myślałem. I to nie! — machnął ręką. — Jedno było mi bliższe, drugie dalsze, nigdzie zgody z sobą znaleźć nie mogłem. Lecz ja nie jestem utopistą, nie tworzę myślowych mirażów, ani nie jestem chyba wariat, że szukam drogi ku prawdzie, że wołam, aby ludzie zdobywali wolność, bo bez niej na zawsze ta droga będzie zakryta — bez wolności i miłości w sercu.

— Co to jest prawda? — spytała.

— Rzeczywistość istotna, nie ta pozorna, utworzona przez nas, a przelkana kłamstwami, stworzonymi przez walkę, przez oportunisty polityczne, moralne, i bo ja wiem jeszcze jakie! Nie ten bruk, nie ten asfalt, co pokrywa ziemię, lecz ziemia sama. Bo my przecież asfalt tylko znamy i według niego o prawach ziemi sądzimy, ba! krzyczymy, że to sama ziemia. Rzeczywistość istotna, prawa i dążności wszechbytu, choćby tylko te, które są w nas — dalej nie sięgam — te, które przenikają treść duchową indywidualnego i społecznego życia, których szukać trzeba,

aby życie by' o coś warte. Cóż innego może być zadaniem człowieka? Myślałem nieraz, że w tym lesie ksiąg, zapisanych przez mędrców ducha, jest jakiś cudowny kwiat paproci, jakieś słowo, które powie nam wszystko. Lecz gdzie go szukać, jak znaleźć? Niełatwiej, niż w puszczy kwiat paproci. I czy to nie to?

„Skoro na widok przedwiecznego słońca zły duch pomyślał o szczęściu bez końca: ta myśl ogromna, jako światła brzemień, z takim ciężarem spadła mu na ciemność, że stracił się, runął na dół głową, przez wieki wiek w i, osiadł na nowo w samym przepaści niezgłębionej śródku, w samym ciemności najgrubszym zarodku”.

— Więc prawdą by'oby szczęście — rzekła.

— Prawdą byłoby, że szczęście istotą jest dążeń całego bytu, dla których realizowania my nie mamy innych praw, niż wolność i miłość. W dążeniach do szczęścia — szczęścia pełnego — jest taka siła, taka jasność, że w zetknięciu z nimi tracą moc wszystkie nienawisci, męty, jady, w jakich tonie ludzkość. Szczęście — słońce, palące o swych żarach skrzydła złego ducha. Szczęście! — rozkrzyżował ramiona.

XVIII.

Budowała sobie dom. Pamiętała, jak Krzesławski powiedział kiedyś: „buduję sobie dom” i teraz te słowa paliły się gwiazdą nad jej marzeniami. Skonna była do marzeń i wierzyła w ich ziszczalność. Marzyła przecież o takiej miłości, o królowaniu w czyimś sercu niepodzielnie, o czynieniu w nim cudów samym uśmiechem i spojrzeniem. Niechby ją tylko ktoś tak kochał, a stałaby się godna tej miłości, stałaby się taka, jak ta miłość, aby ją pojęła. Budowała sobie dom — życie ponad zwykłą miarę, zgodne z nią, bo przez nią samą stworzone, nie nałożone przemocą jak obręcz, nie umówione i nie darowane: dom bez krat, o wielkich oknach na słońce, i ca y w słońcu.

Przebywała w nim, zanim się wzniósł, chroniła się pod jego dach przed tym, co w życiu by o jej obce, co nie było jej. Wolność, miłość, szczęście — swój dom. Każdego winien być, nieszczęsny, kto go nie ma, zbrodzień, kto wznieść go przeszkadza, bo na to ziemią wszystkim darowana.

W słońcu szczęścia na węgiel palą się skrzydła złego ducha. Paliły się w nim, paliły się w niej, nad obojgiem wisiało przekleństwo Mickiewicza: taki miała prześąd czy wiarę. Bez zdjęcia tej kławy nie się nie dokona, nie się z nadziei nie spełni. Z kławą taką nie można iść w życie. I czuła, że Krzesławski myślał tak samo.

— Nie wiesz, czy Geritz wrócił z nim? — pyta.

— Nie wiem.

— Gdyby wrócił, możebym go zobaczył, możeby przyszedł do mnie.

Wtedy rozumiała, że szuka kogoś, kłoby nawiązała nie zerwaną.

— To do mnie należy — rzekła sobie i postanowiła pójść do Mickiewicza.

Sianęła przed nim, jak przed przeznaczeniem.

Gdy ją zapowiedziano, Mickiewicz zniecierpliwiał się i zachnął. Tylu ludzi tu przychodziło, czas mu zabierało, zaśmiecało umysł. Zazili się z projektami ocalenia Polski i Francji, znosili plotki, pozbierane po mieście a odsaniające jakieś piekielne machinacje, niekórzy opowiadali swoje sny, albo przedstawiali się, że są Czterdzieści cztery. Wśród owych łgarzów, próżniaków, gów zamroczonych, kobiet by o co nie miara, niewiast kwistowych, atakujących inspiracjami, niczym warząchwą, innych o spojrzeniach powłzystych, sowych wycackanych, szeleszczących, jak pożółkłe liście, dewotek, pragnących go nawracać, historyczek, szukających dreszczu.

— Pani Czerlińska? Nie znam, nie przyjmuję.

I nagle gwałtownie:

— Prosić!

Powstał, i naraz oczy jego, na chwilę stwardniałe i niechętne, dobre uczyniły się i przyjazne.

— Niech pani usiądzie, proszę.

Zalękła się, zalękła się siebie. Każda formuła, przychodząca na usta, wydała się jej fałszywa, kłamana. Zrozumiał ją.

— Niech pani powie po prostu, niech pani nie szuka słów.

— Ja od Krzesławskiego — rzekła cicho.

— Od Krzesławskiego? Janusza?

— Tak.

— Co z nim się dzieje?

Słuchał z uwagą niezmaconą, skupiony nad każdym jej słowem, odgadując myśl, kiedy się rwała.

— Śmierć mu nie grozi? Przychodzi do zdrowia?

— Jest mu lepiej.

— On jeszcze umrzeć nie powinien, jeszcze czas jego się nie spełnił.

— Panie... — załamała ręce na kolanach.

— Ja cenię go bardzo za charakter, wolę, postanowienie, za tę moc, która w nim jest. Ale mam do niego żal wielki — żal o niego samego. Grzeszny on jest przed sobą i przed Bogiem. Cały skarb uczucia, który w nim Bóg złożył, gwałtem na nienawiść przerabia. Co od Boga ma, szatanowi w ofierze niesie. Wolność głosi, o wolność walczy, a swoją własną duszę w więzieniu trzyma, w kajdanach, pod terrorem, i, gdy uwolnić mu ją ktoś chce, odpycha jak wroga. Na barykady nienawiść go poniosła. Nienawiść do episkopów, nie miłość dla nędzarzy. Widzę go! Gdyby na barykady z Chrystusem poszli w sercu, zwyciężyliby. Chrystus by by z nimi. Tak zwyciężyli silniejsi.

— I gorsi.

— Zawsze zło zwyciężać będzie w tym stanie ducha, jaki jest dzisiaj. Jakże przeciw złu walczyć można, gdy się jego prawo w piersiach nosi, gdy się je przestrzega? Krzesławski taki jest właśnie. Przeciw złu zbuntowany, jak mało kto — przeciw zewnątrz-

nym jego przejawom — ale jego praw, jego nakazów najwierniejszy poddany.

— Już nie.

— Nie? Jakże to?

Głos się jej łamał, mieszało ją samo brzmienie słów, wyrażenie tych rzeczy tajemniczych. Mickiewicz słuchał, czasem uczyni ruch głową, jakby mówił: „Pojmuje”.

— Już przyszedł czas, aby z niego klątwę zdjąć — rzekła.

— Jaką klątwę?

— Tę z Florencji.

Zmarszczył brwi na samo wspomnienie.

— Nie przekląłem go, nikogo nie przeklinam. — Obcy mi się stał, obcy nam wszystkim, więc jak do obcego wtedy rzekłem. Lecz gdy mi bratem teraz jest, jak do brata przyjdę.

Nie zwierzyła się Krzesławskiemu. Niech myśli, że Mickiewicz sam się dowiedział, sam jego losem poruszył. To go uleczy, to go jedynie uleczy. Duch w nim bardziej chory, niż ciało. Wpatrywała się w drzwi, kiedy nadejdzie.

Stało się nazajutrz po południu, gdy czuwała przy chorym.

— Pan Adam! krzyknął Krzesławski i podniósł się na łóżku.

Wyszła niepostrzeżenie z pokoju.

A Mickiewicz przystąpił do niego z wyciągniętą ręką.

— Nie ruszaj się, nie podnoś, strasznieś poszarpany, widzę. Na barykadzie?

— Nie na barykadzie... Barykada, gdzie się biłem, była już wzięta. Granat koło mnie padł na ulicę.

— Cudem żyjesz.

— Cudem.

— Wiesz ty, co teraz na świecie się dzieje?

— Mało co.

— Emigracja zewsząd powraca do Francji, do Pa-

ryża. Towiański przybył z Szwajcarii, aresztowano go, oskarżając, że brał udział w walce.

— Będzie wolny?

— Będzie. Najgorzej, że rodacy sami przed rządem francuskim wypierają się go, najohydniejsze ci-skają potwarze. Radziby go widzieć zesanego na galery. Taka w ludziach nienawiść do tych, którzy z Bogiem są. Bezhołowie straszliwe.

— A legion?

— Na polu walki, biją się. Ja tu przybyłem, aby funduszków trochę zdobyć i ochotnika. Na wojnie Włoch z Austrią wszystko pokadamy. w niej widzę odrodzenie Polski. Emigracja powinna zrozumieć, że należy skorzystać z obecnych wypadków w politycznych, z możliwości formowania we Włoszech polskiego wojska, pod polskim sztandarem i z polską komendą. Jakimiż innymi pułkami, jak nie swoimi, odzyskamy niepodległość? A my dzisiaj nie tylko nie mamy nigdzie oddziału naszego, ale już prawie zapomnieliśmy komendy polskiej.

— Panie Adamie, zauję, że odszedłem od ciebie.

— Wróć.

— Nie odepchniesz mnie?

— Tyś mnie odepchnął, nie ja ciebie. Co robisz?! Zmłuj się!

I pochylającego się ku sobie Krzesławskiego chwycił w ramiona.

CZĘŚĆ TRZECIA

CZESC TRZECIA

XIX.

Porucznik Aleksander Fija kowski, dowodzący dziewięćdziesięciu Polakami, którzy zaciągnęli się do walczącego we Włoszech mickiewiczowskiego legjonu, staną przy Krzesławskim, wpatrującym się z pokładu w morze.

— Przed rokiem płynąłeś tą samą drogą, prawda?

— Przed rokiem.

Fija kowski nałożył fajeczkę i, goniąc wzrokiem za ginącą na horyzoncie Marsylią, rzek :

— Diabło gorąco. Chlusnąłby cz owiek w tę wodę z rozkoszą. Jeździ eś po morzu dużo?

— Tyle, co w zeszłym roku we Włoszech.

— Bo ja pierwszy raz. Przez ostrożność nic dziś do ust nie wzię em i głodny jestem, jak wszyscy diabli.

— Ba eś się, że będziesz chorował?

— Bałem się. Paskudna to musi być rzecz. No, ale jak dotychczas nic. Sliczną mamy pogodę.

Przez ca łą drogę tak gadał z każdym o rzeczach, nie nie mających wspólnego z wyprawą. Gdy inni mówili tylko o rewolucji, o polityce, o Mickiewicz, o tym, co było i o tym, co będzie, on, żołnierz z zawodu i powołania, nie lubił tych rozmów i tych nastrojów. Było w nim coś z ciekawości dziecka, gdy poznawał życie okrętu, gdy przyglądał się zajęciom

majtków. Chłop był na schwał, o dobrym uśmiechu i oczach jasnych, dalekobieżnych. Załoga i kapitan okazywali mu wysokie atencje. Statek był toskański, przeznaczony dla nich wyłącznie.

Krzesławski mało co znał swoich towarzyszy wyprawy. Byli to ludzie młodzi, po ostatnich wypadkach przybyli z Galicji, Krakowa i Poznańskiego. Nie żołnierze, ale śmiałki jeden w drugiego, losy swoje powierzyli łasce rewolucji; rewolucja była ich idea, stawała się ich bytem.

Ludwik Wróblewski, gołowąs prawie, trzymając ręce w kieszeniach, gwizdał przeróżne melodie. Były od niego zdrowie i siła.

— Nie myślałeś, przybывая do Francji, że zaraz pojedziesz dalej w świat? — zagadnął go Krzesławski.

Chłopak uśmiechnął się.

— Nie myślałem.

— Ale widzę, rad jesteś.

Zająknął się, nie umiejąc odpowiedzieć. Nie zastanawiał się nad tym, sam nie wiedział. Rad był, bo krew mu dobrze krążyła w żyłach, bo słońce grzało, bo statek płynął, jak wiatr. Krzesławski odgadł jego nastrój i odgadł, że z tą radością fizyczną zespolona była druga, duchowa, że na świecie zapala się słońce wolności, że on w promieniach jego żyje, że jego światło ściąga na ziemię. Jego usta młode nie wyraziłyby tych uczuć, drżały przed nimi w onieśmieleniu, jak przed pierwszym wyznaniem miłosnym. Entuzjazm jego wstydził się słów. Powoli rozgadał się, nie jednak nie mówiąc o sobie. Oczy paliły się mu, gdy pytał o sprawy listopadowej insurekcji, o sprawy emigracyjne — wielkie nazwiska polskich patriotów wymawiał z modlitewną czcią.

Nastał chłód wieczorny, ale Krzesławski nie zszedł do kajuty, owinał się w płaszcz i położył na pokładzie. Nie zasnął.

Rok minął. Życie na pół przedzielone było tym rokiem. I jego, i całej ludzkości. Co stało się w pró-

bie życia z jej uczuć, z jej wiary, z jej iluzji? W jakie nowe się przemieniły? Jakie nowe z dawnych wyrosły? Dokąd świat idzie i dokąd on idzie? Los osobisty przegrodził inne myśli. Co się z nią stanie, gdy wróci? Gwiazdy bladły, na niebie i na morzu świtał dzień. Skierował się do kajuty i napotkał wychodzącego stamtąd Fijałkowskiego.

— Wypałem się za wszystkie czasy — Fijałkowski przeciągnął ramiona — a ty?

— Spałem na pokładzie.

— Dopiero pod wieczór będziemy w Genui. Powiedz mi, co myślisz o tych smykach? Jaki to materiał?

— Bardzo dobry.

— Myślisz tak, jak ja. Przyglądam się im, gadam to o tym, to o owym i przychodzę do przekonania, że bardzo dobry. Lepszy, niż nasza emigracja. A przecież nasi to było najprzedniejsze chyba wojsko na świecie. Ale cóż! Siedemnastu lat demokratycznego kaznodziejstwa najłżejszy łeb wojskowy nie wytrzyma. Jak im zaczęto wśrubowywać nowy skomplikowany rozum, to stary, prosty wyleciał w powietrze i dziś i jednego, i drugiego brak. Nie mieszało ci się nigdy w głowie, jakieś czytał te objawienia i przepowiednie? Przyznaj się! No, tobie może nie, bo sam od tego byłeś majster. Mnie się raz w nocy śniło, ilu musiałbym bliźnich wyrznać, aby spełnić swój obowiązek względem ludzkości. I to najpoczeiwni ludzie, łagodni jak gołębie, takie brednie wypisywali.

— Nie brednie — rzekł Krzesławski. — To kiedyś zejdzie w innych mózgach i w innych duszach, a wtedy zginie świat. Zginie, jeśli dziś nie zwyciężymy my.

Fijałkowski spojrział mu w oczy do głębi.

— Dobrześ rzekł: „Jeżeli nie zwyciężymy my!”

Zmęczony nieprzespaną nocą i kołysaniem się okrętu, Krzesławski położył się po południu w kajucie. Zasnął jak kamień. Nagle, z najgłębszego snu zerwał się na równe nogi. Huk dzia! Wybiegł na pokład.

Wszyscy wraz z załogą okrętową wpatrywali się w widniejącą już w zachodzącym słońcu Genuę. Charakterystyczny oskot armat wyraźnie dobiega uszu, a w nim śpż wy dźwięk dzwonów, jak na pożar.

— Co się dzieje?

Fijałkowski wzruszył ramionami. Trzymał lunetę przy oczach.

— Bitwa w mieście?

— Bitwa najwyraźniej.

— Z kim?

Od kilku dni wiadomości z Włoch nie mieli, zamierzali wyładować w Genui i stamtąd udać się do Toskanii.

— Czy Austriacy bombardują miasto? — ktoś pytał.

— Austriacy? Skąd Austriacy?

— Ano, zaraz się dowiemy — rzekł Fijałkowski, odejmując lunetę.

— Formuj się! Opatrzyć broń!

— Załknąć flagę! rozkazał kapitanowi.

Stanęli w ordynku. Okręt, powiewając trójkolorową flagą, przybijał do portu.

W jednej chwili zaroilo się od marynarzy z innych okrętów, od ludzi, znajdujących się w porcie.

— Jenerał La Marmora atakuje miasto!

— Jaki La Marmora?

— W mieście barykady, rząd powstańczy!

— To, co w Paryżu?

Z krzyków, z pojedynczych zdań, z gwałtu nie na razie nie rozumieli.

— Miasta broni jenerał Avezzana! Wojsko bije się z obydwóch stron! Król Wiktor Emanuel wydał miasto Austriakom! Wiktor Emanuel — nowy król — Karola Alberta już nie ma.

Wreszcie nadpłynęła łódź, wioząca przedstawicieli władz powstańczych. W krótkich słowach wyjaśnili sprawę.

Wojska piemonckie ponics'y klęskę pod Novarą. Karol Albert nie przyjął warunków austriackich i ab-

dykował Aleksandrię zajęli Austriacy, wydana im jest Genua. Mieszkańcy uzbroili się, postanawiając nie poddać się i nieprzyjaciela nie wpuścić. Nowe ministerium ogłosiło ich za buntowników i wysłało generała La Marmorę, aby ich przywiódł do posłuszeństwa. Włosi biją się z Włochami.

Na wezwanie, aby stanąć po stronie barykad, Fijałkowski zawahał się. Domowe zatargi. Przybył tu, aby bić się przeciw obcemu najazdowi, czy mógł się mieszać do walki wewnętrznej? Spojrzał po towarzyszach. Karabiny drżały im w garści, bagali go oczami, aby ich powiódł. Dzwony wzywały go na pomoc insurgentom. Jak nie iść? Wołały go do siebie salwy karabinów. Zdecydował się.

Zluzowali obrońców barykady od strony latarni morskiej, usadowili się w jej zakryciach i w stronę atakującego oddziału La Marmory poczęli dawać ognia raz po raz. Noc zapadała, przecinana jasnymi błyskami strzałów karabinowych, ognistą czerwienią pekających granatów.

Inaczej było, niż w Paryżu. Odrazu poczuli, że istnieje ogólna komenda, plan obrony, jej organizacja. Ambulanse odwoziły rannych do lazaretów, walczącym na barykadach dostarczano żywności. Fijałkowski zdał dowództwo Krzesławskiemu i podążył do głównej komendy, aby zameldować się i dostać rozkazy. Wpuszczono go natychmiast do sali, natoczonoj oficerami, zarzuconej mapami miasta. Generał Avezzana, skupiony w rozkazach, zawisły całą myślą nad punktami obrony, uścisnął mu rękę.

— Ilu was?

— Dziewięćdziesięciu.

— Inne statki nie jadą z Polakami z Marsylii?

— Adam Mickiewicz wysyła Polaków wciąż, w miarę tego, jak ich zbiera we Francji.

— Ważne byłoby, aby przybywali dziś jutro. Walka nie może trwać dłużej, niż trzy dni. Najdłużej trzy dni!

— Czy walczymy także z Austriakami, generale?

— Nie, Austriaków nie ma. Tylko wojsko jenerała La Marmory. My nie uznajemy warunków kapitulacji.

Fijałkowski opuścił go z wrażeniem jakiejś tragicznej pomyłki. Ludność powstała, sądząc, że miasto wydane jest Austriakom. Wydane nie było. Powstanie nabrało cech buntu przeciw nowemu królowi, nowy rząd je uśmierzał — Włosi bili się z Włochami.

Bito się z tą zaciętością i furją, z jaką tylko swoi biją się ze swoimi. W wąskie ulice wciskały się wojska piemontkie, wypychano je, wciskały się znowu. Już domy niektóre stały w gruzach, strzelano w okna do mieszkańców. Na barykadzie polskiej nikt jeszcze nie padł. Bił w nią ogień rześisty, nie czyniąc jednak szkody w ludziach. Na chwilę ustał, oddział atakujący cofnął się, było to na samym świtaniu. Wtem kule posypały się z góry, barykada od wierzchu zapadała się z hukiem. Żołnierze piemontcy zajęli dom opodal i walili w nią z piętrowych okien.

— Wysadzić ich! Za mną, dzieci!

Nałożyli bagnety, nacisnęli rogatywki i skoczyli za Fijałkowskim, biegnącym naprzód z nagim pałaszem w ręce. Wywalili dolne okna i w mgnieniu oka byli we wnętrzu. Wzrzały się w nich przerażone oczy kobiet, szarpnął nimi rozpaczliwy, przejmujący krzyk dzieci. Kto żył, tu się schował, wszyscy mieszkańcy górnych pięter.

W jęczącym, oszalałym wrzasku, opasani skrzydłami panicznego strachu rzucających się do ucieczki mężczyźni i kobiety, ciskali na stos, w kupę meble i sprzęty. Nim piemontczycy na górnych piętrach pojawili, co się dzieje, ogień trząskał na dole i dom płonął.

Nie wrócili do barykady, nie spojrzeli za siebie, na los tamtych. Gnali oswobodzoną ulicą, ku nowej walce. Starli się z nowym oddziałem, rozbili go i szli naprzód. Wtem Wróblewski przystanął, wsparł się na karabinie całą siłą, całej woli napięciem. Zatoczył się, mocując się z sobą, i zwałił się na bruk. Spo-

strzegł to tylko Krzesławski i wstrzymał się w pędzie. Przykląkł przy nim.

— Rannyś? Gdzie?

Wróblewski jęczał, oczy przerażone, obolałe, stały mu ślupem. Krzesławski rozpiął mu mundur na piersiach. Małenka, czerwona rana, otoczona ogromnym sińcem, sączyła krwią. Naokoło pusto, nigdzie ambulansu, wszędzie zatarasowane okna i drzwi. Klęczał bezradny. Widział zresztą, że nie ma ratunku. Wróblewski poruszał konwulsyjnie wargami, chciał mówić.

— Matka... — jęknął.

Chwycił się za szyję, za srebrny medalionik.

Krzesławski położył mu rękę pod głowę, wparł się w niego oczami.

— Dobrze, powiem matce. Odnajdę ją, powiem, oddam ten medalionik. Nie bój się, odejdz w spokoju do lepszego świata. Do lepszego świata idziesz — wiedz. Matce twej powiem, że zginąłeś za nią, za kraj, za nas wszystkich. Ze zginąłeś, jak bohater, że ostatnie twoje słowo było: „Matka”. Nie bój się — powiem.

W rysach Wróblewskiego cichła męka i burza, drgawki ustały, rozchylone, pensowe usta skamieniały w uśmiechu. Krzesławski złożył mu ręce na krzyż, zawarł oczy, zdjął medalionik z szyi.

— Panie, racz przyjąć duszę jego — było w niej szczęście — najwyższe uwielbienie Ciebie.

Nie mógł odejść od trupa. Był mu bliski, jak brat. Zegnał się z nim na zawsze. Doju wykopać niesposób, pochować nie ma gdzie. Tam matka obudziła się, wspomina imię jego przy rannym pacierzu, modli się za niego — a on tu, na bruku Genui.

Strzały huczały w pobliżu, tuż, tuż.

— Biją się ludzie! Ech!

Wziął karabin na ramię i poszedł na oślep przed siebie. Zgubił swój oddział, ale nie szukał go. Zobojętniał na to, co się wokół dzieje; ręka śmierci, co zabrała Wróblewskiego, rzuciła na niego swój cień.

Przystał do jakiejś barykady, strzela mechanicznie i mechanicznie spełniał wydawane rozkazy. Przygasł w nim ogień bojowy. Znużony był tak śmiertelnie, że nad wieczorem, nie bacząc na najwyższy war bitwy, na ogłuszający huk armatni, po ożył się po drugiej stronie ulicznej fortecy i zasnął. Jak długo spał, nie wiedział. Otworzył oczy i ujrzał szafirowe niebo, usiane gwiazdami, i księżyc, płynący jak ódź po jeziorze. Naokół strzelano. Strzały gwałtowniejsze były, niż poprzednio, ryk armat tak straszliwy, że w asnej nie wyszedł myśli. Teraz dopiero dowiedział się, gdzie znajdują się Polacy, i przedostał się do nich. Ostatnia była pora. Fijałkowski już wiedział, że w kwaterze głębiej myślał o poddaniu się. Miasto było zupione, zbombardowane, walka dosięgała najwyższego punktu i gasła. Raz wraz nadchodziły wieści, że ta i owa barykada złożyła broń. Powoli cichło wszystko, oficerowie rozbiegli się po mieście, nakazując zaprzestanie strzelania.

— Statek stoi w porcie — mówił Fijałkowski. Cóż czekać na rozkazy? Ktoż o nas myśli? Zostaniemy jencami, wycofajmy się, póki czas.

Szli ulicami wąskimi, potykając się o przewrócone latarnie, ku morzu. Od czasu do czasu rozlegał się jeszcze tu i owdzie huk pękającego w pustce granatu. Przedzierali się przez grupy barykad, nawojując się szeptem, niepewni, czy nie wpadną w ręce wroga, strwożeni nagłą ciszą. Ujrzeni wreszcie morze i las maszłów, krwawiących się od świateł morskich latarni. Statek toskański stał przy brzegu. Odetchnęli.

Brask był na niebie, gdy płynęli pełnym morzem ku Livorno. Policzyli się: jednego tylko brak o.

— Ale mieliśmy szczęście!

Popatrzyli na siebie w zdumieniu. Jednego tylko brak o! A o tym jednym Krzesawski, siedząc w kajucie, pisał do Mickiewicza:

„Bracie Adamie, po powstaniu w Genui płyniemy do Livorno, aby udać się dalej, do Florencji. Spośród

nas zginął tylko jeden — Ludwik Wróblewski, i z tego powodu piszę do Ciebie, bracie Adamie.

By em przy jego śmierci i przyrzek em konającymu, że matkę jego odnajdę i oddam jej medalionik, który miał na szyi. Ale otóż nie wiem, ani kiedy wrócę, ani czy wrócę. Pamiątki po nim ostatekniej, srebrnego medalionika, wszystkiego, co po synu jej zostało, boję się nosić przy sobie. Może mi się w pochodzie albo na noclegu jakim zaprzepaścić, albo zginąć wraz ze mną. Przesyłam Ci go więc, bracie Adamie, z prośbą, aby za Twoim staraniem dostał się do rąk matki Wróblewskiego i abys skreślił do niej słów kilka, w których by było, że syn jej bił się we Włoszech, wierząc, że tędy prowadzi droga do ocalenia kraju, że zginął walecznie, jak prawdziwy bohater, i że ostatekniej jego słowo było: „Matka”... więcej mi więc nie mógł; że wiesz to wszystko od jego towarzysza broni, niżej podpisanego, który mu oczy zamknął. Skąd Wróblewski pochodzi, nie wiem, ale nie trudno dowiedzieć się będzie od tych, którzy z kraju świeżo przybyli w Paryżu jeszcze się znajdują. Gdzie leży, donieść jej nie możesz. Nam to obojętne, ale jej boleśnie byłoby wiedzieć, że trup jego na ulicy został niepochowany, że nie będzie mieć grobu, ani krzyża. (—) Twój brat i sługa”.

XX.

Zza stołu, przybranego w kwiaty, zastawionego butelkami, pieczywem, szynkami, wędlinami, wszelkiego rodzaju tustożerstwem — był to bowiem pierwszy dzień Wielkiejnocy — podniósł się Boratyński z kieliszkiem. Krzesławskiego zdjęła niegodziwa nuda. Wszystko zniósłby w tej chwili, ale nie mowę. Do Boratyńskiego, mimo jego gościnności, hojności i istotnego patriotyzmu, i dawniej serca nie miał, a teraz poczuł coś jakby odrazę. I ona, taka piękna, taka dobra, pachnąca perfumami, budziła w nim złość. Miodosyttnia! Istna miodosyttnia! On jeden miał takie

uczucie, bo Fijałkowskiemu aż wąsy nastroszyły się z ciekawości, a Hauke, siedzący po drugiej stronie Boratyńskiej, podniósł głowę ku mówiącemu z tym gestem, jako wie, że słowa, które teraz padną, mądre będą i ważne. Legioniści — a zaproszono ich wszystkich dziewięćdziesięciu — siedząc przy jednym stole i drugim, i w pokojach przyległych, położyli widelce. Uroczystość osiadła między tortami, plackami, babami o cukrowych czubach, zwojami polędwic i płatami pasztetów. Nie wiedząc, co z oczami robić, Krzesławski ulkwiał je w pieczonym prosięciu z chrzanem w zębach.

— Rodacy! Przed rokiem zaszczycił ten dom po-
bytem swoim polski Dante, przewodnik wasz, wiel-
ki nasz Adam! Niechże pierwsze słowa moje będą te,
które wam wszystkim na usta się, rwa, niech będą:
„Niech żyje!”

— Niech żyje!! — huknęło, aż szkła brzękły na
stołach.

Boratyński wzruszony był tak, że kieliszek dy-
gotał mu w ręce, i ronił wino na obrus, jak łyż.

— Była z nim waleczna młodzież polska, o któ-
rej męstwie Włochy dziś całe wiedzą, wasi poprzed-
nicy, za którymi teraz podążacie. I słońce tak samo
piękne paliło się nad tym dantejskim grodem, i róże
takie same kwitły w tym ogródku! Ale czasy byy
inne! O! jakie były inne, rodacy, mili i szanowni goś-
cie nasi! Serca przepełnione były miłością, jak tą
wschodzącą wiosną, i jeśli nienawiść gdzieś się gnieź-
dziła, to tylko dla wroga, tylko dla Austriaka! A dziś?!
W tej uroczej Florencji, wśród tego ludu, zapatrzono-
nego w cudne obrazy i pomniki, potworzy y się partie,
dzielące nienawiścią i podejrzeniem umysy, które
przecież do jednego dążyć winny celu. Nie ma już
księcia Toskanii, który — mam odwagę to powiedzieć
— dobrym był księciem. Nastął rząd rewolucyjny, dyk-
tator Guerazzi, rząd dobry, rząd patriotyczny — i on
się chwieje. Inni tokańscy patrioci, o innych idea-
łach, powstają przeciw niemu, i może, może jesteś-

my w przede dniu nowej walki wewnętrznej. Kłeska pod Novarą, zamiast skupić, zamiast połączyć, podzieliła naród. Ja do polityki się nie mieszam. Dla mnie jedna polityka: Polska!...

— Acha! ach! — myślał Krzesławski.

— I pamiętajcie, rodacy, że to hasło wszystkim tu jednakowo jest drogie: i tym z prawa, i tym z lewa, i tym, co za dawnym są monarchą, i tym, co za rządem rewolucyjnym. Niech nasz sztandar ponad burze wznosi się wewnętrzne, a nie zbryzga go szaruga, a drzewca jego nie po amie wicher. Tego wam życzę, rodacy, polscy rycerze!”

Wstawano od stołu, Fijałkowski trącił w bok Krzesławskiego.

— Dobrze gada? Co?

— Za kimś przecież iść trzeba — burknął Krzesławski.

Wzięli Haukego między siebie i wymknęli się chykiem do zacisznego gabinetu.

— No i co? zaczął Fijałkowski. — Gadaj, bo tu jesteś, a my nie wiemy nic.

Hauke podniósł ramiona.

— Ilu was przyszedło?

— Ci wszyscy, których tu widziałeś. Dziewięćdziesięciu.

— Z tymi, których ja mam, będzie dwustu pięćdziesięciu... Ot, cały legion. Cóż to za siła polska? Cóż to za siła polityczna? Mickiewicz, gdy wyjeżdżałem z Paryża, obiecywał, że cała emigracja do nas przyjdzie, że Polacy z kraju przedzierają się do nas będą, jak do legionu Dąbrowskiego. Kto przyszedł? Kto się przedarł? Ba! Poodchodzi o wielu, którzy byli z początku. Starsi żołnierze nie mogli pojąć tego nowego ducha, tych nominacji i wyborów, żołnierskich sądów. Nie w smak im było. Sam Kamiński, jak się wylizał z rany pod Lonato, rzucił wszystko i o niczym słyszeć nie chce. Cała ta sprawa źle postawiona została. Poetyckie fantazje to nie polityka, a przede wszystkim to nie wojskowość. Słowiańszczyzna miała

rozniesć w puch Austrię. No i co? Kto Austrię obronił? Kto Węgrom podstawił nogę? Słowiańszczyzna! A i to, co Boratyński mówił, że Polska przez wszystkie partie umiłowana — bajki! Bogiem a prawdą nigdzie nas nie chcą. Nie było rządu, z którym nie mieliśmy trudności. Nie mówię już o monarchistach, lecz i liberali, jak na ciężar, na nas patrzą. Guerazzi dużoby dał, aby nas nie było. Niby ja nie wiem! Gdy w Toskanii nastął rząd rewolucyjny, natychmiast zgłosiłem akces. Obiecałem, na zapewnienia Dziekońskiego, że dwa tysiące Polaków przybędzie z Francji. Dziekoński pojechał i nie wrócił to zaufania nie budzi. Jeden Mazzini za nami. Potrzebni mu jesteśmy dla jego polityki wewnętrznej i dla jego kombinacyj zagranicznych.

— Więc połączyć się z Mazzinim! — buchnął Fijałkowski.

Wywody Haukego przejęły go irytacją. Wiedział, że Hauke ma słuszość, i spierać się z nim nie mógł, a każde jego słowo całą duszą odpychał.

— Z kimkolwiek się połączysz, będziesz przeciw wszystkim — odparł Hauke. — Prowineja walczy z prowincją, w prowincji stronnictwo ze stronnictwem, w stronnictwie koteria z koterią. Z kimkolwiek się połączymy, zostaniemy starci na miazgę.

— Tym bardziej nie możemy stać nad wszystkimi — rzekł Krzesławski.

— A nie możemy — potwierdził Hauke.

— Więc co radzisz?

— Nic nie radzę. Nic nie radzę, bo nie mam żadnej siły. Stoimy w St. Marcello w stu sześćdziesięciu. Mamy konwencję z obecnym rządem. Jutro obecnego rządu nie będzie, więc nie będzie i konwencji.

— Jutro nie będzie obecnego rządu? — spytał Fijałkowski.

— Oczywiście. Po Novarze reakcja podniosła głowę. Przejdź się po ulicach. Głośno już krzyczą: „Niech żyje książę Toskanii!” Książę wnoszą w kościołach publiczne modły o jego powrót.

— Cóż tu będziemy robili?

— Bo ja wiem. Paktować chyba z nowym rządem o uznanie dawnej konwencji.

— Nie — rzekł Krzesławski.

— A co?

— My nie jesteśmy za każdym rządem, nie jest nam obojętne, jaki jest rząd: ten albo tamtem. Jesteśmy za rządem ruchu. Zwycięży reakcja, powstanie reakcyjny rząd, i my mamy pójść z nim? Przeciwno komu? Jak to sobie wyobrażasz? Idziemy przeciw Austrii. Z Austrią jedynie rewolucja walczy, jedynie rewolucja nie kapituluje i nie układa się — jesteśmy więc z rewolucją.

— Krzesławski ma rację — rzekł Fijałkowski. — Ale i to prawda, że do walk wewnętrznych mieszać się nie potrzebujemy. Zrobiłem to w Genui i wcale kontent nie jestem. Nie wiedziałem wprawdzie, jak rzeczy stoją.

— Zrobisz to samo we Florencji.

— Nie zrobię. Gdyby tu się coś zaczęło, opuszczę miasto. Ty wtedy wyjdź z St. Marcello. Spotkamy się i pojedziemy razem.

— Dokąd?

— Do Rzymu.

— Niech będzie — rzekł Hauke.

Brzmiał fortepian. Boratyńska grała legionistom polskie pieśni. Przed rokiem słyszał tu Krzesławski Mozarta. „Ulubiona muzyka pani Czerlińskiej” — mówił Traversi. Tu, w tym salonie, pomyślał wtedy „nie jestem pierwszy i nie będę ostatni”. Trzeba było barykad, ran, zatrzymania się na progu śmierci, aby już słów tych nie powtórzyć, aby stać się człowiekiem jej najbliższym. W tym salonie rozszedł się z Mickiewiczem, sądząc, że rozchodzi się na zawsze. W tym salonie usłyszał „idź precz!” i swój głos wewnętrzny „odejdz, to nie dla ciebie”. Są takie miejsca na świecie, skąd echo wraca głos tak spotęgowany i zabarwiony piorunowo, że człowiek ledwo to znosi. Tak wracały do niego słowa: „idź precz!” Odszedł i wrócił.

Rok temu przyszedł tu za wcześnie — za wcześnie o czas zaufania dla miłości Czerlińskiej, o czas barykad, o śmierć arcybiskupa Affre'a. Wszystko musiało w nim się zmienić, aby wszedł na tę samą drogę. Czy losy ludzkości nie są podobne do losów człowieka? Czy nie ma ona swoich nawrolów takich samych? Czy nie tak samo o przyszłości swojej nie wie, czy nie tak samo przeszłość swoją pojmuje, zależnie od terażniejszości? Tak samo! Jeżeli dziś po amię skrzydła w locie ku renowacji socjalnej, to jutro wróci tą samą drogą, ale już bez tych ideałów, którymi natchnęli ją poeci, mędrcy ducha, najlepsi jej wybrańcy. Ideały te oskarży o skrzydeł połamanie. Jeśli doleci, w ideałach tych ujrzy się zwycięstwa. Historia nie jest mistrzynią ludzkości, lecz adwokatem lub prokuratorem czynów i zdarzeń obecnych. Walka dzisiejsza to walka o wiarę, że z ducha miłości i wolności powstaje szczęście — to walka o moralne zdrowie społeczeństw, o rozwój ich w słońcu. Z tym, co zwyciężyło w nim, szedł w bój o nowe prawo. Każdy idzie z tym, co w nim zwycięża. Hauke ze zwątpieniem, Fijałkowski z entuzjazmem, on z wiarą w wolność i miłość.

Miało być o inne, niż widział je ostatni raz. Straciło swą psychiczną jedność. Dusza Florencji rozczłonkowała się, stała się duszą wieloraką. Inna patrzyła z oczu wyrobnika, inna z oczu zasobnego mieszczanina, inna z oczu duchownego. Prądy nienawiści przebiegały przez atmosferę. — Florencja jest w przede dniu nowej rewolucji, Hauke nie myli się — myślał.

Przed koszarami, które oddano oddziałowi Fijałkowskiego, rosło jedno z drzew wolności, zasadzonych we Florencji w chwili opuszczenia Toskanii przez jej księcia Leopolda. Krzesławski leżał na narach, czytając gazety, gdy nagle usłyszał w oskie krzyki i pomstowania, i soczyste klęcia polskie, połączone z włoskimi epitetami. Wybiegł, jak i wszyscy, którzy w koszarach byli. Kilkunastu chłopów z siekierami parło

do drzewa. Legionista, stojący na warcie, pochylał ku nim bagnet.

— Precz, psiawiary! Precz, bo strzelać będę! — wołał śmieszna włoszczyzna.

Skoczyli mu z pomocą. Nie używając broni, wyrwali chłopom siekiery, chwytali za kark i uderzeniem kolan zmuszali do odwrotu.

— Poszli precz! Drwale! Patrzajcie ich!

Gruchnęli śmiechem, widząc zmiatających chłopów

— Cóż to za heca?! Kto ich tu nasła? Czy tak sami z siebie? Im też zachciało się robić kontrewolucję!

— Ehe! patrzajcie!

Wielka chamara chłopstwa waliła ku nim. Wpadli do koszar i wypadli z barabinami, gotowi strzelać, gdy przed nimi stanął Fijałkowski.

— Stój! Broń na ramię!

— Zetną drzewo!

— Stój! Broń na ramię!

Z drzewa sypały się drzazgi przed ich oczami. Przechyliło się, padło.

Z podniesionymi siekierami chłopci skoczyli na nich.

— Ognia w powietrze!

Chłopstwo cofnęło się, huczając, gwałtując.

— Cell!

Zmierzyli i trzymali ich pod lufami w respekcie.

Z miasta płynął krzyk, gwałt — przeciągała procesja. Zabarwiły się w słońcu chorągwie kościelne, kapiące złotem, z wizerunkami świętych, wśród nich niesiono na długich żerdziach portrety księcia Tokanii. Waliły tłumy tysiączne chłopów, wiejskich niewiast i dziewcząt. Grozili Polakom pięściami, krzycząc:

— Niech żyje Leopold!!

— Kontrewolucja!...

Między te zastępy chorągwiane i tych polskich obrońców wolności Włoch wleciała kompania gwar-

dii narodowej. Komendant jej podjechał do Fijałkowskiego.

— Przybyliśmy wam na pomoc. Lud podobno chciał was rozszarpać.

— Rozszarpać, jak rozszarpać; cofnął się na widok broni.

— Nieszczęsne nieporozumienie. Nie wiecie, że już rząd nowy?

— Nie wiemy.

— Rząd księcia Toskanii.

— My nie mieszmamy się w spory wewnętrzne — odparł Fijałkowski.

— Tegośmy się spodziewali. Co zamierzacie?

— Czekać na rozkazy nowego ministra wojny.

— Bravissimo!

Zsiadł z konia i wyciągnął do Fijałkowskiego rękę. Nie wątpił na chwilę, że Polacy tak postąpią, ale, że lud jest wzburzony, pragnąłby dla ich bezpieczeństwa otoczyć koszary. Fijałkowski z uśmiechem wstrząsał głową.

— I m p o s s i b i l e ! I m p o s s i b i l e !

— P e r c h e ?

W cudacznej włoszczyźnie, przekształcając na nią francuskie wyrazy, Fijałkowski tłumaczył, że zezwolić na to nie może. Powstałby pozór, że Polacy zostali uwięzieni. Włoch, jeśli nie zrozumiał, to się domyślił. Wymieniali komplementy, śmiali się do siebie przyjaźnie, gestykulowali, lepiej porozumiewając się gestem, niż słowem. Stało się na tym, że Fijałkowski uda się natychmiast do ministra wojny.

— Czy aby się dogadasz? — zaniepokoił się Krzesławski.

— Co się nie mam dogadać? Nie słyszałeś?

— Owszem, s'yszałem.

— Mam zresztą nadzieję, że mówi po francusku, nie tak, jak ten filut, co chciał nam przystawić straż.

Po ulicach, placach przelewały się tłumy chłopów. Czarne sutanny księży, habity zakonników utkały masę. W przeróżnych miejscach, na improwizowa-

ných podniesieniach przemawiali duchowni z egzaltacją, fanatyzmem, ogniem księży włoskich, rozkrzyżowując ramiona, podnosząc oczy w niebo, jakby jednym objęciem ogarnąć chcieli cały świat. Klęska pod Novarą była dziełem liberałów, ateuszów, wrogów Kościoła. Ciskali klątwy na Republikę Rzymską, na rządzący w niej triumwirat. Przez tę masę przedzierał się Fijałkowski z powrotem od ministra wojny.

— Zbierać się chłopcy! Nie mamy już tu co robić.

— Dokąd?!

— Do St. Marcello. Łączymy się z Haukem.

— Puszczą nas?

— Wszystko w porządku. Przedstawiłem nasze drażliwe położenie, rząd je zrozumiał, minister pozwolił opuścić miasto.

— Radzi, że pozbędą się nas w ten sposób.

— Pewne, że radzi. Chaos tam nieopisany. Ten nowy rząd jeszcze myśleć nie zaczął, a już stracił głowę. Zbierać się chłopcy!

Nad wieczór stanęli w Pistoii. Chcieli ją minąć i na noc rozłożyć się w polach, lecz zatrzymały ich strażę, i musieli udać się do fortecy. Fijałkowskiego stawiono przed jej komendantem.

— Kto? Skąd?

— Oddział polski z Florencji na rozkaz ministra wojny maszeruje do St. Marcello.

— Rozkaz?

Fijałkowski podał dokument.

Czarne, chytre oczy jenerała pod siwymi brwiami śmiały się dobrodusznie.

— Polacy! Polacy! Witajcie! Soyez bienvenus — mówił po francusku. — Dokąd? Na noc do St. Marcello? Rozgoście się u mnie w fortecy. Ja was dobrze znam i sercem całym witam, po polsku mówię.

— Pan jenerał?

— A jakże! Jecze Polka nie zginęła — co?! Umieję po polsku, parę słów, ale umiem. Psiakrew!

— Gdzie pan jenerał się nauczył?

— Z napoleońskich czasów. Nie na jednym bo-

jowisku bratałem się z wami. Fratelli! Więc pan, panie poruczniku, każesz postawić broń w kozły, dziś nie puszcę.

— Panie jenerale, mamy wyraźny rozkaz ministra wojny jak najspieszniejszego połączenia się z polską kompanią w St. Marcello.

— Ależ nie wiecie, jakie wzburzenie w okolicy, możecie się nie przedrzeć!

— My nie mieszamy się do zatargów wewnętrznych, nie służymy żadnemu stronnictwu, służymy tylko Włochom.

— Ja was jednak nie puszcę.

— Rozkaz ministra, jenerale.

Komendant znowu czytał dokument, oglądał każde słowo, wreszcie rzekł:

— Minister nie orientuje się w sytuacji — skąd może się orientować? Trzeba tu siedzieć, aby zdać sobie sprawę. Wzburzenie ogromne! Ogromne! Widok obcych mundurów jeszcze bardziej ludność podnieci. Dziś was puścić nie mogę. Nie będziecie zresztą długo czekali. Piszę w tej chwili do ministra z zapytaniem, czy możecie maszerować dalej. Za dwadzieścia cztery godziny będziecie mieli odpowiedź.

Fija'kowski zrozumiał, że nie należy oponować że przeciwnie trzeba nawet zgodzić się z zadowoleniem.

— Dobrze, jenerale. A i prawda, że ludzie zmęczeni całodziennym marszem.

— Widzi pan.

— Obowiązkiem moim było przedstawić rozkaz ministra, i proszę tylko jenerała, aby o mej chęci wykonania rozkazu minister powiadomiony został.

— Niech pan się nie obawia, wszystko biorę na siebie. Wy jesteście z tej formacji, którą tworzył poeta wasz, Mickiewicz?

— Tak, jenerale.

— Wielki człowiek. Aposto! Jak Piotr Pustelnik prowadził krucjatę na niewiernych, on prowadzi krucjatę na Austrię. Republikanin — prawda?

— U nas nie ma jeszcze kwestii republiki ani monarchii, jest tylko kwestia niepodległości Polski. Zawiązek formacji naszej powstał w Rzymie, sztandar jej pobłogosławiony został przez papieża.

Na Piusa IX republikanie rachowali, rachował nawet Mazzini.

Zafrasowany straszliwie, przyszedł Fijałkowski do koszar, gdzie oddział jego umieszczony został. Nie łudził się, że rozkaz będzie odwołany, że minister, na przedstawienie komendanta fortecy, nie pozwoli ruszyć się im z Pistoii lub odwoła ich do Florencji. Cóżby się wtedy stało? Musiałby stanąć po stronie rządu kontrewolucyjnego albo wracać do Florencji. Pierwsze by'oby zdradą hasła, za które walczył — zdradą Mickiewicza — drugie haniebną rezygnacją. Winszował sobie, że uspił czujność komendanta, że nie zagrał w karty otwarte. W karty otwarte zagrać trzeba będzie, ale jeszcze nie teraz, teraz jeszcze pokazać ich nie można. Ludzi swoich był pewny, wiedział, że skoczą na samego diabła... Zwołał ich i wyłożył rzecz całą.

— Słuchajcie, chłopcy! Komendant fortecy zatrzymuje nas, mimo rozkazu ministra wojny. Rozkaz ten, albo raczej pozwolenie, które otrzymałem, nic już nie znaczy. Domysłają się oni, co się święci. Trzeba stąd wyjść choćby siłą. Wyjdziemy przed świtem. Gdyby nas chciano zatrzymać, oprzemy się. Ze strażą przy bramach pójdzie łatwo, gorzej by było, gdyby garnizon zaalarmowany został.

Jak rzekł, tak się stało. Gwiazdy jeszcze nie zbladły, gdy z bronią nabitą, na przebój iść gotowi, opuścili koszary. Na przekór przypuszczeniom straże forteczne, nie domysłając się niczego, przepuściły ich spokojnie. Szli marszem wyciągniętym, aby być jak najdalej, gdy ich ucieczka spostrzeżona zostanie. Byli na połowie drogi do St. Marcello, gdy ujrzeli tumany kurzu, a z nich wyaniające się wojsko.

— Hauke idzie!

Na przodzie jechał Hauke, przy nim oficer wło-

ski. To kapitan Medici przyłączył się do kompanii polskiej na czele dwustu Lombardczyków.

Rozkaz: „Stój”, Hauke i Medici zsiadli z koni, wita-
jąc Fijałkowskiego.

Śluchając raportu, Hauke pośpinał.

— Wbrew rozkazowi opuściłeś Pistoję?

— Wbrew.

— Potajemnie?!

— Miałem się bić?

— Nie wiem, jak ty pojmujesz subordynację woj-
skową. Ja ją pojmuję inaczej.

— Ani sprawa, której służymy, ani nasz honor
nie pozwalał nam iść na usługi kontrewolucji.

— Subordynacja i honor wojskowy to jedno. Zła-
małeś honor wojskowy!

Fijałkowski schwycił za rękojeść pałasza, na rę-
kojeści swojego położył rękę Hauke. Patrzyli w sie-
bie zakrwawionymi z pasji oczami, w obliczu całego
wojska. Pierwszy Hauke ochłonął.

— Rozmówimy się później! Teraz tą samą drogą
do Florencji, marsz!

— Hola, komendancie! — wyskoczył Krzesławski
z szeregu. — Droga do Florencji otwarta, więc idź!
Ale my za tobą nie pójdziemy! Pójdiesz sam!

— Pójdiesz sam! — krzyknęto za Krzesław-
skim.

Hauke blady spojrzał po swoich. —

— Naprzód marsz! — rozkazał.

Nikt się nie ruszył.

Wtedy wyciągnął ich we front.

— Żołnierze! Szedłem z wami na spotkanie od-
działu porucznika Fijałkowskiego, aby z nim wspólnie
postanowić, dokąd udać się mamy...

— Do Rzymu!!!

— Ale porucznik Fijałkowski złamał rozkaz to-
skanskich władz wojskowych, będących naszą najwyż-
szą władzą. Ja w poczuciu moim żołnierskim ten krok
potępiam. Dowiedziawszy się od porucznika Fijałkow-
skiego o rozkazie naszej najwyższej władzy wojsko-

wej, muszę go wykonać. Dlatego wzywam was, żołnierze, abyście za mną szli do Florencji.

Jeszcze nie skończył, gdy Fijałkowski dobył z furją pałasza i, stojąc przed frontem, krzyknął:

— Żołnierze! Koledzy! Bracia! Naszą najwyższą władzą nie jest tokański minister wojny! Naszą najwyższą władzą jest nasz naczelnik, Adam Mickiewicz! W instrukcji jego mam: „Kto człowiek ruchu, ten wasz, przy ludziach ruchu stójcie!” — W instrukcji jego mam: „Kto walczy z Austrią, ten wasz — przy tym stójcie!” Waszym instynktem polskim się kierujcie, waszego serca polskiego w trudnych chwilach pytajcie, co czynić należy... Kto dziś ruchem jest, kto dziś z Austrią walczy?! Kontrrewolucyjna Toskania?! Ciemne chłopstwo, ścinające drzewa wolności?! To jest nasza władza?! Ruchem jest dziś Republika Rzymska. Z Austrią walczyć będzie Republika Rzymska! Tam jest nasza władza, dopóki na włoskiej pozostajemy ziemi! Gdybyśmy do Florencji wrócili, u samego rządu tokańskiego na pogardębyśmy się podali. Bo wrócilibyśmy po co? Kontrrewolucję wspierać?! My?!

— Nie żyje porucznik Fijałkowski! — krzyknęła jednym głosem kompania. — Do Rzymu nas prowadź! Do Rzymu!

Hauke słuchał, oparty na pałaszu. Bunt przeciw niemu rósł. Włosi, którzy już zrozumieli, o co chodzi, którym w krótkich słowach rzecz wyjaśniono, wznosili okrzyki za Fijałkovskim. Zwrócił się do niego.

— Obejmij komendę! Tyś teraz wódz!

Nie wahając się, Fijałkowski stanął na czele kompanii.

Wieczorem rozłożyli się, nie zapalając ogni, niepewni, czy pościg za nimi wysłany nie jest. Krzesławski leżał owinięty w płaszcz, gdy poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Spojrzał pod księżyc.

— Marconi! — rzekł — Marconi!

Uścisnęli się

— Zdawało mi się, że to ty, ale nie byłem pew-

ny — mówił Marconi — stałem daleko w szeregu. Zmieniłeś się.

— Któż nie zmieni się przez rok!

— Cóż się stało, że wróciłeś, że jesteś tu na powrót? Pamiętam, jak protestowałeś przeciw białemu krzyżowi.

— Teraz nie protestuję, więc wróciłem, i tyle. Ale ty co? Opowiedz mi o sobie, o swoich.

I Marconi rozpoczął długą opowieść legionowych dziejów. Były w tym i walki w polu, i wewnętrzne walki w koszarach, i intrygi stronnictw, i zmiany dowództwa, i rozkaz złożenia broni. Wtedy rozpierzchli się wszyscy z pierwszego zawiązku, Siodońkiewicz udał się do Livorno, ukrywając na piersiach chorągiew, poświęconą przez papieża.

— Pierwszy to był nasz sztandar, dziś nie mogliśmy z nim wchodzić do Rzymu.

— Czym innym był on wtedy, czym innym byłby dzisiaj — odparł Krzesławski.

— Prawda, polityczne jego znaczenie się zmieniło. Jednak ciężko jest tym, którzy z błogosławieństwem Piusa IX z Rzymu wychodzili, do Rzymu, co przeciw niemu się obrócił — wracać.

— Nie wracaj.

— Ty to mówisz?

— Ja. Nie powinien iść człowiek przeciw sobie. Ja cię dobrze rozumiem, Marconi.

— Bo widzisz — Marconi zamyslił się — walka w tych murach wylaże się mi czymś potwornym. I potwornością wydaje się mi w tych murach rozpętany tłum. Pomyśl — kule bijące w Forum Romanum, w Kapitol, biwaki żołnierskie, rozłożone na Piazza del Popolo. Tam papież powinien być, wyobraziciel pokoju. Walka w Rzymie — to świętokradztwo.

— Masz rację.

— Mam, prawda?

— Swoją, i wielu pewnie innych, to też nie chodź do Rzymu. Ja mam inną, też swoją, i też wielu innych — więc idę. Przelewać krew można tylko za

rzeczy najświętsze. A i wtedy konieczność to straszna, jakby kara za jakieś ciężkie winy. Przelewać ją trzeba — taki świat — a i wtedy wór na siebie by nałożyć i czołem o ziemię bić! Przelewać krew — straszna rzecz. Tylko za sprawę najświętszą. Gdy Republika Rzymska nie najświętszą ci sprawą, gdy przenosisz nad nią spokój i piękno wiecznego miasta, nie idź tam.

— A dla ciebie Republika Rzymska najświętszą sprawą? — spytał Marconi.

— Dla mnie najświętszą sprawą wolność.

— Dla mnie też, lecz mnie zrozum. Gdyby od Republiki Rzymskiej zależała niepodległość Polski, to oczywiście nie wahałbym się.

— Kiedy ja cię rozumiem, nie potrzebujesz się przede mną tłumaczyć. Moje zdanie inne, lecz przekonywać cię nie będę, to nie są rzeczy przekonania. Niedobrze jest w nich argumenty podawać, bo tworzy się dla nich fałszywą podstawę. Ty myślisz tak, ja inaczej. Powinniśmy myśleć jednakowo, bo jednakowo, przyrodniczo biorąc, mamy gatunek rozumu, i interesy nasze, czy tam dążenia polityczne są jednakowe, ty jednak za czym innym, a ja za czym innym stoje.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ani moja, ani twoja sprawa nie wyrosła z rozumu. Wyrosła z duszy, jest jej częściowym odbiciem, jednym z jej przejawów. Rozum ten przejaw przed duszą stawia, duszę duszy, żeby tak powiedzieć, pokazuje, ale go nie tworzy. Żebyś ty w tych sprawach myślał, jak ja, a ja, jak ty, musielibyśmy na dusze się pomieniać, musiałbyś ty we mnie się przemienić, a ja w ciebie. Bez tego, przyjmując twoje argumenty, tworzyłbym w sobie fałsz, jak tybyś go tworzył w sobie, moje przyjmując.

— Więc według ciebie z czystym sumieniem mogę nie iść do Rzymu?

— Tylko do Rzymu nie idąc, będziesz miał su-

mienie czyste, nie będziesz go miał, gdy pójdziesz, ja odwrotnie.

I zmrużył oczy, czyniąc pozór, że chce zasnąć. Wokół cisza była cudowna, na horyzoncie widniały łańcuchy Apeninów, zlane księżycowym światłem. Tesknął do takiej ciszy, do takich chwil samotnych. Nie zasypiał długo, aby ich nie marnować.

Człowiek wolny, czujący, czym jest wolność, nie obciąża cudzego sumienia, ani nie bierze na siebie cudzego grzechu, ani cudzej zasługi. Ludzie złączeni są między sobą, skuci, jak więźniowie, wspólnymi kajdanami — tym właśnie, że jeden drugiemu w duszę wchodzi, w niej plondruje, świeczki w niej swoje zapala. Nie obciążył sumienia Marconiemu, nie zapalił w nim swojej świeczki. Gdyby wystąpił z tyradą o obowiązku obrony Republiki Rzymskiej, o solidarności ludów, rwących się do wolności o odrodzeniu świata przez zwycięstwo ideałów demokratycznych i td., i td. — jaki by w nią męt wprowadził, jak sumienie jego by obciążył! Tak ludzie wzajem biorą się w niewolę, tak wzajem przed sobą, jak przed więzieniem, strażę trzymają. Tortury, stosy, szubienice to tylko wysypka na ciele, spowodowana wewnętrzną chorobą organizmu, ujawnienie na zewnątrz tego, co jest wewnątrz. Nawet najwolniejsi tego nie rozumieją, nie widzą, że ludzkość zbudowała sobie olbrzymie więzienie, w którym jeden więzień drugiego pilnuje i wszyscy siebie razem. Brr!

Jak żyć inaczej, jak żyć bez więzienia, gdy jest się stworzeniem społecznym? Pytanie akurat tyle warte, co niegdyś stawiane, jak żyć bez niewolników, bez kupowania ich na targu? Ludożerca też pewnie pyta, jak żyć bez ludzkiego mięsa? Bardzośmy bliscy ludożerców. Nie obgryzamy cudzych gnatów, obgryzamy natomiast cudze dusze. Ta sama cecha, przejawiająca się w barbarzyńskiej formie na niższym rozwoju, przejawia się w innej na wyższym. Lecz jak żyć? Oswobodzić siebie, każdy z osobna, i z oswobodzonych nowe społeczeństwo stworzyć. Wtedy dopiero urzeczywist-

nićby się mogła jedyna zasada społecznego życia: b ą d ź c i e s o b i e b r a ć m i i m i ł u j c i e s i ę n a w z a j e m . B ę z w o l n o ś c i , b e z z r o z u m i e n i a , ż e w o l n o ś ć j e s t p r a w e m ż y c i a , n i e u r z e c z y w i s t n i s i ę o n a n i g d y . N i e c z y n ą d r u g i e m u k r z y w d y i s o b i e c z y n i ć n i e d o z w o ł , p o m o ż m u w d r o d z e d o w o l n o ś c i , b o ś j e g o b r a t , d u s z ę j e g o s z a n u j , j a k s w o j ą w ł a s n ą , i s w o j e j p o n i e w i e r a ć n i e d a j — a b ę d z i e s z ż y ć c a ł ą p e ł n i ą d u s z y w ł a s n e j i p o z n a s z p r a w d ę , i w y j d z i e s z p o z a k ł a m s t w o . B ą d ź c i e s o b i e b r a ć m i i m i ł u j c i e s i ę n a w z a j e m . — N i e w i e r z y ł k i e d y ś w t ę z a s a d ę , d z i ś m i a ł j ą z a j e d y n ą . W o b e c M a r c o n i e g o p o s t ą p i ł j a k b r a t — d u s z ę j e g o u s z a n o w a ł . T a k b r a t w o b e c b r a t a p o s t ę p o w a ć w i n i e n . K i e d y ś w P a r y ż u , t ł u m a c z ą c z e r w a n i e s w o j e z M i c k i e w i c z e m , r z e k i : „ J a g o n i e p y t a ł e m , d l a c z e g o p r z y j ą ł n a u k ę T o w i a Ń s k i e g o , n i e c h ż e i o n m n i e n i e p y t a , d l a c z e g o o d t r a ć i ł e m b i a ł y k r z y ż ” . B y ł a w t y m o b o j ę t n o ś ć d l a d u s z y c u d z e j i ż ą d a n i e o b o j ę t n o ś c i d l a s w o j e j . W o d p o w i e d z i , d a n e j M a r c o n i e m u , o b o j ę t n o ś c i n i e b y ł o . B y ł a w n i e j m i ł o ś ć i s z a c u n e k d l a d u s z y c u d z e j i w ł a s n e j .

O samym świecie zebrali się do marszu. Weszli teraz w Apeniny, góry dzikie, bez dróg. Gdziejegdzie tylko słabo wydeptana ścieżka. Padali ze znużenia, borykając się z roztopem wiosennym, ulewne deszcze waliły w nich raz wraz, i wichry gwałtowne utrudzały pochód. Przemoknięci do kości, suszyli się w rzadko spoza chmur wyglądającym słońcu i mokli znowu. Zdarły się im buty o górskie kamienie, zniszczyły mundury przy przedzieraniu się przez urwiska. Czwartego dnia ujrzeli w dolinie miasteczko.

Było to Parretto. — Znajdowali się już w granicach państwa rzymskiego. Odetchnęli dzień i znowu szli trzy dni do Bolonii. Kilku podoficerów, wysłanych przodem dla kwaterunku, poruszyło całą ludność miasta. Wchodząc, spotkali tłumy ludu ze sztandarami i muzyką, krzyczące:

— Viva Italia! Viva Republica Romana! Vivano Polacchi, nostri fratelli!

Mimo sztandarów, tłumów i okrzyków, ci, którzy widzieli wejście Mickiewicza do miast włoskich — Krzesławski i Marconi — mieli wrażenie jakiejś pospolitości. Brak o nastroju, jaki się czynił na jego widok. Te same oczy ludności tej samej patrzyły inaczej, linia gestu była inna, okrzyk miał inną melodię, inaczej, zdawało się, faldowały się sztandary. Ale ci, którzy tego nie widzieli — Fija kowski i cała kompania — stali przed tym entuzjazmem, jak przed wykwitłym cudownie na pustce śnieżnej ogrodem. Rzuciliby się Włochom na szyję.

— Viva Italia! Viva Republica Romana! — grzmieli z całych płuc.

Kapelusze wylaływały w górę.

— Vivano Polacchi, nostri fratelli!!

Prezesa klubów republikańskich przystąpili do Fija kowskiego.

„Traversi, no tak, to Traversi przemawia do Fija kowskiego. Ach, żeby już tego Włocha nie widzieć” — zapragnęła Krzesławki w duszy.

Weszli do przygotowanych dla siebie koszar. Złożyli karabiny, ściągali, susząc, buty z opuchłych nóg. Odpasywali pasy i, jak kłó stał, rzucał się na posanie. Krzesławski, rozebrany na pół usiłował swój mundur doprowadzić do jakiegoś takiego stanu, gdy przypadł do niego Fijałkowski.

— Szukam cię wszędzie, ani wiesz, co się dzieje! Chodźże, chodź zaraz!

Zaprowadził go do stacji dla siebie, jako dla komendanta kompanii, w koszarach przygotowanej, i, załamując ręce, zawołał:

— Czy wiesz, człowieku, co się stało?!

— Nie wiem.

— Francuzi wylądowali w Civita Vecchia i idą na Rzym!

— Francuzi?!

— Między Francją a Republiką Rzymską wojna! Nowy rząd francuski przeciw Republice Rzymskiej wystąpił. Wszystkiego bym się spodziewał, nie tego.

Co robić?! My, Polacy, mamy bić się z Francuzami? My, którzyśmy z Francji wyszli? Którzyśmy z gościnności Francji korzystali? Z narodem, który ostatecznie najprzyjaźniejszy dla nas był zawsze! Co ty na to?

— Ja idę bronić Republiki Rzymskiej — odparł Krzesławski.

— Przeciw Francuzom?

— Przeciw Francuzom, przeciw wszystkim, którzy na nią następują.

Fijałkowski chodził długo po stacji i nagle:

— Masz rację! Masz rację, ja postąpię, jak ty, lecz, co uczynią inni, nie ręczę. Hauke i Marconi opuszczają nas. Haukę porządny chłop, mimo wszystko — prosił, abym do niego rankoru nie chował. Dowództwo mi zdał, ale przez ambit poszedł z nami, postanawiając bić się jako prosty żołnierz. Tej próby jednak nie mógł wytrzymać. — „Z Francuzami bić się nie mogę, trudno, nie mogę!” — mówi. — A Marconi jakieś mi inne powody przedstawiał, lecz ich nawet nie słuchałem. Bez dwóch się obejdzie. Czy jednak inni nie powiedzą tego samego!

Młody oddział, z którym wyszedł z Paryża, nie wahał się, w pierwszej jednak kompanii Haukego było wielu żołnierzy z listopadowego powstania. Tym odrazu przyszły do głowy deklaracje emigracyjnych komitetów, że Polacy nigdy w żadnej okazji przeciw Francji nie wystąpią. Fijałkowski i Krzesławski naradzali się jeszcze, gdy zjawiła się od nich delegacja.

— Komendancie, z Francuzami bić się nam nijak.

— Nie idziecie do Rzymu?

— Idziemy, ale będzie przecież jakiś układ między nami a rzymskim rządem?

— Będzie.

— Więc chcielibyśmy, aby w tym układzie było wstawione, że Polacy do boju przeciw Francuzom używani nie będą.

— Jakże taki warunek wstawiony być może? Francuzi przeciw Rzymowi idą, nie kto inny.

— Z Austriakami, gdy przyjdą, bić się będziemy, z Sycylijczykami, z Toskańczykami też, a z Francuzami nie.

— Niechże was diabli wezmą! — krzyknął Fijałkowski. — Też politycy! Też statysci! Wymyślili! Francuzi na Rzym idą, a oni na pomoc Rzymowi podążają, lecz z Francuzami bić się nie będą! A cóż robić będziecie?! Ruiny oglądać?! Muzea zwiedzać! A gdyby ci brat dom podpalił, tobyś domu nie ratował, jeden i drugi, dlatego, że brat?! Ja was nie niewolę i nie namawiam. Niech każdy zrobi, jak chce, według sumienia swego i przekonania. Powiem wam prawdę — i ja długo się biedziłem, iść, nie iść. I wreszcie postanowiłem, że Włochów opuszczać mi się nie godzi. Nie godzi mi się tym bardziej, że położenie ich stało się cięższe. Bolesnie mi potykać się z Francuzami, lecz jeszcze bolesniejsze widzieć ich następujących na wolność, łamiących solidarność ludów. Trudno! I Polacy z sobą walczyli! Czyż nie walczyli szczerzy ludzie z Targowicą? To, co Francja dziś czyni, to Targowica przeciw wolności ludów. A Francuzi z sobą nie walczyli? Nie było to barykad w Paryżu? Licho wie, czy i teraz nie walczą z sobą, właśnie o Włochy.

Spojrzeni po sobie.

— Więc komendant idzie?

— Ja idę.

— To warunek taki w układach niemożliwy?

— Nie! Zastanówcie się! I wiecie, co wam powiem: wybyście pierwsi tego warunku nie dotrzyмали, gdybyście podczas walki w Rzymie się znaleźli. Francuz nie Francuz, a gdy do miasta strzelać będzie, to wy do niego też. Co to gadać!

— To niby prawda.

— Widzicie!

— Więc komendant idzie?

— Powiedziałem.

— No, to my z komendantem.

— Widzisz! — Fijałkowski spojrzał triumfalnie

na Krzesławskiego, gdy odeszli. — Widzisz! Idą ze mną.

— Dałeś im ideę wyższą, niż mieli. Targowica ich przekonała.

— Ano, bo tak jest. Ale mnie też ciężko. A tobie nie? Powiedz! Nie ciężko ci?

Krzesławski nie odrzekł nic, i Fijałkowski, nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej:

— Pierwszy raz Polak zmierzy się z Francuzem, jak wróg z wrogiem, ciężko to na siebie wziąć. Rzekłem „Targowica”, a to jednak nieprawda. Łatwiejby mi było z Targowicą, łatwiejby mi było z swoimi, niż z nimi.

— Co ty gadasz!

— Mówię ci! Jest jakaś różnica. Ja jej dobrze może nie wyrażę, ale ją czuję. Jest!

— Jaka?

— Nie potrafię jej dokładnie wyrazić — zamyslił się. — Ja mogę przeciw bratu iść i przeciw bratu z drugim bratem, przeciw Polakowi z drugim Polakiem, przeciw Francuzowi z drugim Francuzem, ale z człowiekiem obcym — nie! Targowica! nie w tym jej hańba, że reformom się sprzeciwiała, ale że z Moskalami razem poszła.

— Ty jakoś bardzo fizycznie braterstwo pojmujesz. Cóż brat wyobraża? Człowieka najbliższego. Człowiekiem mi najbliższym nie ten, co złączony ze mną krwią ciała, lecz ten, co złączony krwią ducha.

— Masz rację, ja jednak czuję inaczej.

— Francuz też czuje inaczej. Pociesz się! Najgorzej kamać przed sobą. Prawdzie należy patrzeć w oczy. Między nami a nimi nie ma równości uczuć. Nazywamy się wzajemnie braćmi, ale nas tylko braterstwo obowiązuje. „Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam!” — wołał Poniałowski, gdy ginął za Francję. Który z nich tak by rzekł? O najlepszych pomyśl. O Neyu, o Drouot! Który? Zaden. Dla mnie Francja kiedyś wszystkim była — wolność w niej widziałem — i nie pamiętałem wówczas, że i

myśmy krew za nią darmo dawali. Nam z tego, materialnie biorąc, nie przyszło nic, ale wolność zwyciężyła, więc warto było, więc trzeba było— a dziś? Cóż mi dzisiejsza Francja! Dziś Republika Rzymska miejsce jej bierze.

— Masz rację, ale...

— Ale ty się wahasz.

— Nie, nie waham się.

Nie wahał się, ale się truł, i tak samo truli się inni. Zo nierze listopadowi, ci, co zdecydowali się już iść do Rzymu, szeptali po kątach, oddzielając się od najmłodszych, co żadnej wątpliwości nie mieli. Czasem, gdy na noc wszyscy się układli, wrzała dyskusja. Przypominali St. Domingo i jak to na Francję rachowali w czasie ostatniej insurekcji. W krzywdach i zawodach historii szukali rozgrzeszenia, i znać było, że go nie znajdują.

Hauke wyjechał do Paryża, Marconi wybiera się do Florencji. Zdejmując mundur legionu, rozstawał się z marzeniami, które za Mickiewiczem iść mu kazały.

Zachodziły mu jak słońce w oczach i, jak zachodzące słońce, ostatnie rzucały promienie na nową budowę życia, na myśli o powrocie do pracy artystycznej. W przeddzień wyjazdu siedział z Krzesławskim na tarasie ludowej kawiarenki i, spoglądając na przesuwający się tłum, nagle zagadnął.

— Powiedz mi, Janusz, cośmy poruszyli — dobro, czy zło?

— Czas pokaże, bo ja wiem.

— Człowiek, który dobro tworzy, też musi je dźwigać, ale udźwignie, bo wplata się ono w łańcuch dobra ogólnego, a suma zła przerasta złe możliwości jednego człowieka. Konstrukcja lepsza jest, niż rozkład. Kiedy rusza się cegła w murze, mur się nadwyręza i zaczyna się stopniowo walić. Naprawić go zazwyczaj trudno, i ilość szkody wyrządzonej przerasta zamierzenia pierwotne. Trzeba mieć jakieś demoniczne bohaterstwo, aby znieść obraz zła, które się ruszyło,

które rośnie, aby go wytrzymać do końca aktywnie, a nawet biernie.

— O jakiej cegle myślisz? O tej, co ją wyjmujemy z dawnego Rzymu, czy o tej, co ją wyjmujemy z naszego związku z dawną Francją?

— I o tym, i o innym, o wszystkim naraz.

— A czyż budowa Rzymu nie stała się, że z pogaństwa cegła się ruszyła, że tamten gmach się rozpadł. Trzeba plac do cna oczyścić, aby nową budowę wznieść. Na dachu starej fundamentów dla nowej nie założysz. Towiański inaczej nauczał, i niecierpię go wciąż. Myśleć spokojnie nie mogę o tym człowieku. Spytałeś, dobro poruszyliśmy, czy zło. To zależy od tego: zwyciężymy, czy przegramy. Jeżeli przegramy, uczyniliśmy rzecz straszną — bo zło owinie się koło nowej, przyniesionej przez nas idei, damy mu nowy pokarm. Zło z charakteru jest pasożytem, żyje, rozplenia się i prosperuje przez soki, z dobra czerpane, koło którego się oplącze. Samo przez siebie niczym nie jest, trzeba je od dobra oderwać, aby zginęło, dobro z pod niego trzeba wyswobodzić. Bo dobro to zgoda z naturą duchową człowieka, dążącą do coraz wyższych form życia i świadomości; zło to materialna tendencja do wyzyskania tego dążenia dla celów najniższych. Gdy siły te splecione rozłączysz, dasz życiu pęd naturalny, duchową naturę człowieka oswoobodzisz. To jest sens najgłębszy każdej rewolucji, jej istotny cel. — Kiedyż ty jedziesz?

— Jutro. Zobaczymy się jeszcze kiedy w życiu?

Krzesławski patrzył przed siebie długo i wreszcie rzekł:

— Chyba nie.

Kompania wypoczywała w Bolonii przez czas, gdy Fijałkowski układał się z Triumwiratem. Dni płynęły puste i nudne. Krzesławskiego żarła tęsknota, trudami pochodu dotąd głuszona. Czuł ją, jak istotę żywą, jak ducha odrębnego, który nad innymi uczuciami w duszy mu zapanował, terroryzował je iponiewierał. Mia-

ła swoją myśl odrębną i swoje uczucia własne, swoją wolę i swoje postanowienia. Z nienawiścią spychała w przepaść uczucie obowiązku, szarpała się z wolą kierowniczą, pogardzała sumieniem. Gdy cicha, gdy była jakby w odpoczynku, wywierała na duszę ucisk niezmierny, gdy podnosiła swoje ciężkie skrzydła, zapuszczała w nią szpony i dawała w kawały. Męczyły go nieznośnie przeglądy kompanii, odwiedzanie jej przez woskich oficerów, koszarowe rozmowy. Z myśli i wyobraźni czyniąc ster, płyną ku Paryżowi. Płyną tą samą drogą poprzez Apeniny, Florencję, Genuę, Francję — i odnajdywał Wandę w mieszkaniu Czol-gowskiego, ślęczącą nad rachunkami, albo w jej pokoju, w mieszkaniu męża. Mieszka tam zawsze, pod wspólnym dachem. Widział ją żywą, słyszał jej głos. I gasł ten promień poza jego wolą, nie mógł trwania jego przedużyć; i udręka stawała się jeszcze straszniejsza.

Bić się, zginać, a nie czuć! Nie czuć tego ucisku, co jest jak trumną na żywego człowieka. Choć trochę szczęścia w życiu! Czy ono jest? Czym jest? Jakie wartości mogą dać je na ziemi? Jakie są niezawodne? Nędza niszczy człowieka, upokarza go, budzi w nim zazdrość i nienawiść, a dobrobyt czyni go swoim niewolnikiem. Trzeba go strzec, stosować się do niego, aby go nie utracić. Troska o zachowanie stępiea zadowolenie posiadania. Sztuka i nauka daje pociechę tylko tym, których stosunek do niej jest twórczy, wplecenie się w żywy jej łańcuch krzepi przeciw poczuciu własnej nędzy. Miłość to szczęście, ale związane z wielkim cierpieniem. Wolność w kierunku poziomym na ziemi jest zawsze ograniczona wolnością innych, można ją tylko osiągnąć, pnąc się w górę, ku niebu, tam, gdzie się idzie samemu. Kto ją ma? Jakiś święty może, nikt inny. Spokój? Do niego ludzkość dąży przez ten niepokój, przez ten ruch — do osiągnięcia równowagi dąży we wszechświecie. Wielki jest w nim człowiek. Wielki, bo jeden ogarnia świadomością całość otaczającego go istnienia i wydziera się dalej poza

granice, gdzie zaczyna się nieznanne. Jak z tym dążeniem równowagę osiągnąć, jak zdobyć spokój?

Myśl wyskrzydliła się mu w wilgotnym ciepym powietrzu, oparła o błękit nieba. Co dzień tak szedł za miasto, aby w spokoju myśleć i marzyć, i z niechęcią wracał do koszar. Z daleka ujrzał kompanię polską, wyciągniętą we front, kompanię włoską pod bronią. Coś się stało, czego nie przewidział. Wyruszą! Zdzyszany dopadł szeregu. Fijałkowski czytał przed frontem pismo Triumwiratu. Papier drżał mu w rękach.

— Zważywszy, że przez wycierpiane męki, wytrwałość i nieśmiertelność nadziei Polska jest siostrą Italii, a świętą między narodami; że emigranci polscy reprezentują obecnie przyszłą Polskę, Triumwirat stanowi...

Wzruszenie go takie zdjęło, że długą chwilę głosu nie wydobył i jeno patrzył w litery. Przemógł się i donośnie, jakby rozkaz dawał, punkt po punkcie czytał warunki. Przez swoje trudy i przez swoje męki osiągnęli to, czego jeszcze nigdzie osiągnąć dotąd nie zdołali. Wojskiem polskim się stali. Wojskiem wolnym, bo mogącym w każdej chwili opuścić granice Rzeczypospolitej Rzymskiej, gdyby sprawa ich Ojczyzny tego wymagała. Sztandar polski, komenda polską, żołd, jak rzymskiego wojska.

Chciał coś rzec od siebie i nie mógł, i tylko szarpnął ręką palasza. A kapitan Medici, co przez cały czas stał koło niego, przemówił. I on miał pismo do nich, pismo od Mazziniego. Walka będzie z Francją. Triumwirat zna związki, łączące z Francją Polaków. Gdyby Polacy w obronie Rzymu z Francuzami walczyć nie chcieli...

— Niech żyje Republika Rzymska! — przerwało mu.

— Triumwirat uczucia te uzna i im się nie sprzeciwi...

— Niech żyje Republika Rzymska! — nie poz-

wolono mu kończyć. Podniósł dwa palce do czaka, salutując.

Nazajutrz wyruszyli do Ancony. Była już późna, upalna włoska wiosna. Szli marszem wyciągniętym, pod skwarnym niebem, oczy tylko rzeźwiąc cudną naturą, gdy w drodze otrzymali rozkaz, aby zmienili kierunek i śpieszyli do Rzymu. Przed Civita-Castellana dostali wiadomość o zbliżaniu się Francuzów. Cofnęli się i przeszli na lewą stronę Tybru, na drogę sabińską, przerzynającą pustą i posępną okolicę. Jedyne Tybr ją uweselał, to odsłaniając swe fale, to kryjąc się między nadbrzeżne zarośla. Dzień nastał tak skwarny, że żołnierz padał ze znużenia i oficerowie nakazali odpoczynek. Rozłożyli się, byle upał przeczekać, gdy ujrzeli idący ku nim brzegiem Tybru tłum kobiet w ludowych strojach różnobarwnych. Zbliżyły się, zatrzymały.

— Żołnierze! Nie dopuście do ponownego panowania księży! — wołały.

I z wołaniem tym szły przez cały obóz.

Późną nocą wchodzili do Rzymu. Miasto było bez latarni, ciche, jakby wymarłe. Błądzili długo po pustych ulicach, nie mogąc znaleźć drogi do Piazza del Popolo. Ujrzeli wreszcie w czerwonych błyskach pochodni oczekujące ich masy ludu. Wyrównali krok. Grubo pokryci szarym, kamiennym pyłem, który w upale dziennym ciężko unosił się gęstymi tumanami i wszyskiemu, na co padł — odzieniu, włosom i brodom pozór kamienia nadawał, w huraganie okrzyków „Witajcie!” zdążali do koszar.

XXI.

Francuzi stali pod bramami, lecz walka się nie zaczęła, w Rzymie panowała cisza zewnętrzna, w której życie wewnętrzne kipi, jak wulkan, kiedy ognista lawa płynie jego arteriami, szerząc mękę i spustoszenie; cisza bez odpoczynku, cisza, wykwitająca

pod skrzydłami szatana. W takiej ciszy skazaniec czeka śmierci lub łaski. Walka z Francuzami tym samym była, co klęska. Chłodny, mierzący siły, zdający sobie sprawę z położenia, umysł włoski widział to jasno. Walka w Rzymie była to śmierć dla żyjących w nim stuleci, była to rana niezagojona, po wszystkie czasy otwarta na ciele ludzkości. Nie rozumiał tego bohater barbarzyńca, Józef Garibaldi, nie z Rzymu rodem. Gotów był ustawić w Rzymie barykady, fortyfikować się wśród ruin i posągów. Zuchwałe, z obelgą w twarz tradycji i cywilizacji rzucone, jego słowa „ważniejsi ludzie, niż kamienie” budziły dreszcz zgrozy. Bo iluż Włochów gotowych było oddać życie za Sykstyńską kaplicę, za Forum Romanum! Wygórowana ostrożność, przebiegłość starej rasy, chęć uniknięcia walki brały początek w uczuciu o świętości tych murów, o świętości snu wieków, na nich spoczywających. A mimo to, każdy, gdyby walka nastąpiła, gotów był bić się do upadłego, choćby bez nadziei, choćby z ostateczną rozpaczą.

Polacy zastali tu swoich — Aleksandra Isenschmidt Milbitza, pułkownika wojsk polskich, mianowanego przez Triumwirat generałem brygady i Edmunda Taczanowskiego, wielkopolanina, który w wojsku rzymskim służył, jako oficer artylerii. Przez nich wiedzieli o nastrojach, panujących w rządzie i w mieście, o podziale wśród duchowieństwa, którego część wyrzekała się państwa papieskiego, a część, jak na zbawienie, czekała na wejście Francuzów, o niechęci między Garibaldim, dowódcy ochotników, który o układach słuchać nie chciał, a Mazzinim, który wszystko pokładał na republikańskiej opozycji francuskiej przeciw wyprawie rzymskiej. Według niego Republika Rzymska utrzymać się mogła, zjednoczenie Italii mogło się dokonać jedynie przez zwycięstwo ideałów republikańskich w Europie, przez zwycięstwo ich we Francji. Walka z Francuzami zwycięstwo by to opóźniła i wzmocniła reakcję francuską, za nic więc do wojny z Francją dopuścić nie chciał. Ze strony fran-

cuskiej też by' o cicho. Ociąganie się francuskiego wo-
dza, jenerała Oudinota, i przewlekanie przez niego
uk adów tłumaczono sobie, że nie był pewny, czy żoł-
nierze Rzeczypospolitej Francuskiej zechcą się bić
przeciw Rzymskiej Republice. Siły jego by y przewa-
żające, bo część wojska rzymskiego granic Lombardii
strzegła. Chwilami zdawało się, że nic z tego wszyst-
kiego nie będzie, że Francuzi się cofną, że się nie oś-
mielią. I nagle zaczęło się nieoczekiwanie.

Legion polski znajdował się ca'y w koszarach, gdy
od strony francuskiej rozleg'y się strza'y i palba przed-
nich straży włoskich. Porwali za broni.

Huczały już dzwony wszystkich kościołów, i od
pola zaczynającego się ataku przeleciał ko o nich na
koniu oficer włoski do sztabu jeneralnego po rozkazy.

— Podstęp! — krzyknął im w pędzie.

Nie było rozkazów, i oni nie mieli ich także.

Fijałkowski wyjął zegarek.

— Czekam dziesięć minut, i idziemy.

Nadstawił ucha w stronę rozpoczynającej się bitwy.

— Atakują!

Już miał skomenderować: „Marsz!”, gdy w ot-
wartym powozie, pędzącym co koń wyskoczy, ujrzał
siwego księdza, o twarzy dostojnika, w habitie Tea-
tynów. Powóz rwał zasypany kurzem, zatrzymał się z
nagłą przed oddziałem polskim. Ksiądz stanął w po-
wozie.

— Polacy?!

— Polacy!

— Ojciec Ventura jestem!

Chociaż Fijałkowski nie wiedział, kto to taki: —
Prezentuj broń! — zawołał.

— Legion Adama Mickiewicza?! — pytał ksiądz.

— Adama Mickiewicza!

— Polacy! Żołnierze! Niech was pobłogosławię
przed bitwą! Jak wasi przodkowie pod Wiedniem
chrześcijaństwa bronili, tak wy go dziś pod Rzymem
broniecie! Chrześcijaństwo to wolność! Chrześcijań-
stwo to sprawiedliwość! Najwięk=zy dziś chrześcija-

nin — to ten, który was tu posłał, Adam Mickiewicz! Adam Mickiewicz, którego Symbol — artykuły waszej politycznej wiary — ja pod rządami Piusa IX aprobowałem. O Symbolu tym pamiętajcie, żołnierze. Niech wam się nie zdaje, że przeciw papieżowi występujecie! Papieżowi wystarczy Bóg, lud i sprawiedliwość — niepotrzebna mu dyplomacja i wojska francuskie! Niech wam się nie zdaje, że przeciw Francji walczyacie! Tam Francji nie ma! Tam jest tylko generał Oudinot! Błogosławie was, żołnierze! — Uczynił nad nimi krzyż.

— Naprzód, marsz! — skomenderował Fijałkowski.

Oudinot nacierał słabo. Uderzył w niego jak piorun batalion Speranza, z wyrostków, dzieci prawie złożony. Wdarł się we francuskie szeregi z furją, złamał — padając trupem, szedł naprzód.

Fijałkowski pierwszy raz zobaczył Garibaldiego.

Siedział na rosłym koniu, w czerwonej koszuli, z głową odkrytą, ogorzałą. Wydawał rozkazy, do jednego dążące: naprzód i naprzód! Atakować! I wszystko waliło naprzód w zapamiętaniu, bez innego, zdawałoby się, planu — i Legia Garibaldiego, i Rzymska Gwardia Narodowa, i Legia Fijałkowskiego.

Po paru godzinach Oudinot cofał się na całej linii, i trąbki włoskie zagrały do zaprzestania bitwy. Fijałkowski prowadził jenców francuskich.

I znowu nastął miesiąc oczekiwania i miesiąc układów. Do Rzymu przybył francuski dyplomata Lesseps i żądał tylko ustąpienia Triumwiratu, aby Republika Rzymska przez Francję uznana została. Triumwirat gotów już był się rozwiązać, gdy niespodzianie Lesseps wyjechał.

Działo się to nocą trzeciego czerwca. Ku przednim strażom włoskim pędzili Francuzi, wołając:

— Niech żyje Republika Rzymska!

— Niech żyje Rzeczpospolita Francuska — odkrzyknęto.

Żołnierz francuski się zbuntował, nie chciał być

się przeciw ideałom, których naturalnym był obrońcą.
— Niech żyje Rzeczpospolita Francuska! Niech żyją Francuzi!

Francuzi biegli jak w objęcia, wtem o pięćdziesiąt kroków stanęli i dali ognia.

Rzym zatrzęsł się w posadach, dwanaście tysięcy Francuzów szło do ataku.

— Bóg mi świadkiem — woła legionista Witkowski — że biję się teraz ze spokojnym sumieniem.

Legionista Wern, dawny kapitan legii cudzoziemskiej w Algierze, pokryty francuskimi orderami, idzie naprzód, krzyząc:

— Lotry! Nędznicy! Strzelajcie tu, w ten krzyż legii honorowej.

Padł, ugodzony kulą.

Całą noc i cały dzień trwał bój, waliły się drzewa w podmiejskich ogrodach, kładły się pokotem winnice. Przed przeważającą siłą Włosi cofnęli się za mury. Oblężnicze armaty, podczas układów prowadzone, otworzyły ogień na miasto.

Francuzi stali się panami Pamfili, Corsini i Ponte Molle, co pozwoliło im grozić miastu od bramy del Popolo i od Corsa. Milbitz otrzymał rozkaz przejścia na drugą stronę Tybru i odebrania Ponte Molle. Zasypany ogniem przy przechodzeniu mostu, spadł z konia. Z zerwaną szlifą, z szablą strzaskaną od wybuchu granatu, podniósł się i poprowadził legionistów do ataku na bagnety na strzelców pieszych. Prowadził ich potem Fijałkowski na piechotę. Na prawym skrzydle dowodził armatami Taczanowski. Gwałtowne parcie Francuzów zmuszało go do odwrotu. Widzi to drugi Polak, Podulak, staje przed kompanią piechoty włoskiej.

— Na bagnety!

Porywa ją za sobą. Załamała się, zachwiała pod salwą strzałów. Nie widząc, co się z nim dzieje, wpada w środek nieprzyjaciela — sam jeden.

Wytracono mu bagnet z ręki.

Podniosły się na niego kolby ze wszystkich stron, pod-

nios'y się i spadły raz i drugi — krwawa miazga pozostała na ziemi.

Nie wytrzymując kilkakrotnego ataku, Francuzi cofali się ku Monte Mario, Włosi zajmowali pozycję Monti Paríoli. Po sześciu godzinach musieli ją opuścić.

Krzestawski z wstrętem uderzał na bagnety. Zostałby w polu, puszczając kompanię przodem, byle nie pchać żelaza w żywe ludzkie mięso. Przerażliwy krzyk starć ręcznych, ranni, tratowani obcasami, nurzanie się w ciepłej krwi rozprutych brzuchów, pokaleczonych piersi przejmowało go odrazą. A i w bojach na broń palną, codziennych podczas oblężenia, wywiązywanych w różnych punktach, strzelał z niechęcią.

— Co się ze mną stało, u diab'a?

Mimo to przedstawiony był do krzyża. Nie przyjął go wraz z innymi legionistami, oświadczającymi, że nie dla odznak walczą, ale gdy oni manifestowali swoje przekonania demokratyczne, gdy ich odmowa była czynem żołnierza, pragnącego mieć chwałę bez odznaki, polską pychą wśród obcych, on nie przyjął go po prostu dlatego, że potworne się mu stało walką z ludźmi się szczycić. Okazało się, że bojowość przeniknęła go tylko do pewnego stopnia; teraz inny gatunek materii duchowej przekraczał cechy przez nią wytworzone. Już nie czuł się żołnierzem. Bił się dzielnie, lecz dawny ogień w nim zgasł. Strzelając w stronę francuskich wojsk, pragnął potajemnie, aby jego kula nikogo nie trafiła. Głuszył w sobie to uczucie, jako niedorzeczne, i poddawał się mu mimo woli. Coraz bardziej potworne stawały się mu te ludzkie sposoby rozstrzygania sporów. Ponad płacz matek i sierot jeszcze straszliwsza jest rzecz inna, której nikt nie dostrzega — brutalne przerwanie przez siłę fizyczną pracy ducha, której potrzebne jest życie człowieka. Dotąd, do niedawna nie o tym nie wiedział. Albo narzucał się ludziom swą indywidualnością, albo obcy mu byli i obojętni. Jeśli co widział, to charakter, rzeźbę psychiczną, lecz nie znał siły psychicznej, która ją tworzy i wciąż ją kształci. Miał w sobie dynamikę,

co chce szarpnąć bezwładem materii, wstrzymać słońce, ruszyć ku niemu ziemię. Spali się prędzej — wielka rzecz! Świat ma iść naprzód moim rytmem, bo mój jest prawdą! Teraz rozumiał rytm innych, czuł w innych pracę, odbył w sobie. Co za straszliwa klątwa by go dosięgła, gdyby by zginął na barykadach lub wcześniej, gdyby nie dożył swojej chwili.

A iluż nie może dożyć swojej chwili przez tę nikczemną głupotę ludzką, co w walce widzi tylko niszczenie materii. Ilu jego kula nie pozwoliła dożyć swojej chwili! Więc cóż mają czynić napastowani? Bić się i zabijać, naturalnie! Cóż mają czynić innego, aby nie stać się trzodą niewolników, ludzkim bydem? Więc się bił. Zbrodnię niech tamci dźwigają, hańba i przekleństwo niech na tamtych spada. Bił się, ale nie mówił: „walka święta”, mówił: „walka ohydna”. Natężenie jego energii, wyczerpanie psychiczne były przez to jeszcze straszniejsze. Wiedząc, że bić się musi i że bić się powinien, kontrolował sam siebie, czy nie staje się niezdolny do spełniania obowiązku i powinności. Wyrывał się więc na pozycje najniebezpieczniejsze, przystawał na ochotnika do włoskich oddziałów. Bił się zawsze równie dzielnie, dzielniej może, ale inaczej. Walka przestała być jego żywiołem, stała się mu ohydą.

Pod pociskami baterii oblężniczych gotowało się miasto do obrony w razie wtargnięcia w jego mury Francuzów. Wznoszono barykady. Niedostatek pożywienia przeobraził się w głód, pieniądź papierowy stracił na wartości, żaden jednak goś nie padł za żądaniem pokoju. Mazziniego i księdza Venture, wzywających do wytrwania, witano z zapalem. Sześć tysięcy rzymianek zaciągnęło się do służby szpitalnej. Arystokracja, robotnicy i artyści w jednym łączyli się uczuciu, wyobrażali w chwili walki ostatecznej zespolenie się stronnictw i stanów.

Pod koniec czerwca pierwsze forty zostały zdobyte, obrońcy ich cofnęli się pod mury Aureliusza.

Rozgorzała ostatnia, dwunastogodzinna bitwa. Po stronie w oskiej zabrakło prochu i kul.

Do noży!!

Straszliwy okrzyk wydarł się z tysiącznych piersi.

— Do noży!!

Cisnięto nieme karabiny, dobyto sztyletów. Bój okrutny, ramię o ramię, pięść o pięść, bój beznadziejny, skończy by się rzezią, śmiercią wszystkich obrońców, gdyby nie pożył mu końca Garibaldi. I on już nie widział ratunku.

Rzym kapitulował.

Francuzi wkroczyli nazajutrz przy dźwiękach wojskowej muzyki. Koło bramy del Popolo, wzdłuż Corsa stały tysiączne, spienione tłumy. Witały zwycięzców obelgami i pomstowaniem.

— Kroaci! Barbarzyńcy! Tyrani! Papieskie żołdaki!

— Niech żyje Francja!

Zaległa straszna, złowroga cisza, a w niej spośród tłumy rwał się jeden, jedyny okrzyk:

— Niech żyje Francja!

To młody ksiądz, niepomny na nic, widzący tylko przywrócenie papieskiego państwa, wołał:

— Niech żyje Francja!!

Błysnęły nad nim sztylety. Tłum rzucił się na trupa, wypruł mu кишки, obwinął mu nimi szyję i tak niósł lachman ludzki, krwawy i potworny, przed nadjeżdżającego Oudinota.

— Weź! To sztandar francuski! Weź! Trzymaj! Niech żyje Francja!

Oudinot wzdrygnął się, zatrzymał, muzyka grać przestała.

XXII.

Francuzi odebrali legionistom polskim broń i zapytali, co czynić zamierzają. Nakaniałi ich do służby w wojsku francuskim lub papieskim. Odmówili. Żądali paszportów do Korfu, aby stamtąd przedrzeć się

do Węgier i pod wodzą polskich generałów walczyć z Austrią. Miesięczny żołd, wypłacony przez Triumwirat, wystarczał na wynajęcie przewozowego statku. W Civita Vecchia na miejsce Fijałkowskiego, udającego się do Francji dla czynienia przygotowań, z wyprawą na Węgry związanych, wybrali Milbitza i wsiedli na statek.

Troska zbiorowa, powiększona o troskę osobistą każdego, osiadła między nimi. Płynęli, milcząc, bez pokadowego gwaru, bez rozmów wieczornych, jak stłumiony jęk, jak krwawa łza, co z oczu Polski wyciekła, i, wichrem dziejowym porwana, błyskała samotna po morzach i łądach.

Wyczerpani walką w Rzymie, włoskim upałem, losu niepewnością, zapadali na zdrowiu jeden po drugim, bez lekarza, bez starania, bez wygody wszelakiej. Płynęli już tydzień, byli już na połowie długiej i uciążliwej drogi, gdy śmierć zagościła na statku. Krzesawski leżał na pokładzie — był z tych, co nie chorowali, i do kajuty schodził jak najrzadziej — gdy ujrzał kilku legionistów, niosących trupa, owiniętego w płachtę. Za nim postępowali ci wszyscy, którzy trzymali się na nogach.

— Co to?

— Pogrzeb, usuń się.

Wstał i podążył za nimi.

Rozhuścili trupa, rozsunała się płachta, ukazując rysy wykrzywione, skostniałe. Cisnęli. Chlusnęło, niczym kamyk wpadł. W kilka godzin umarł drugi, nazajutrz trzeci. A potem już wytrzymywali, już podnosili się z posłań i w jakim takim wyglądzie przybyli do Korfu. Tu władze angielskie wylądować im wzbrowniły, pozwalając tylko Milbitzowi udać się do Warda, lorda komisarza wysp jońskich. Wysoki dygnitarz przyjął go uprzejmie, lecz w postanowieniu swoim był niezłomny.

— Chcecie udać się na Węgry, prawda?

— Ekscelecjo, chcemy przede wszystkim wypocząć i zastanowić się, dokąd jechać dalej.

— Wie pan co — rzekł Ward — nie mówmy z sobą, jak dyplomaci, najlepiej mówmy z sobą szczerze. Na Węgry w każdym razie puścić bym was nie mog, Anglia bowiem pozostaje w stosunkach pokojowych z Austrią. A potem jechać tam nie macie po co. Powstanie już pokonane, już się kończy.

I, ujrzawszy rozpacz w oczach Milbitza, dodał:

— Nie wprowadzam pana w błąd, daję panu na to słowo honoru.

— A więc nie nie powinno stać na przeszkodzie naszemu wylądowaniu w Korfu — rzekł Milbitz.

— Na przeszkodzie stoi wasz charakter. My jesteśmy nienawidzeni tu przez ludność, wy zaś stanowicie prawdziwe kadry powstańcze, do których wszyscy wejść mogą.

— Cóż mamy począć?

— Jedźcie do Patras, udajcie się do Grecji. Nie macie żywności na drogę, pieniędzy na statek? Jedno i drugie wam damy.

To była pierwsza jałmużna, za nią przybyli do Aten.

Wśród starej greckiej chwały stanęli obojętni. Coż dla nich znaczył cień Peryklesa po straceniu wszystkich nadziei? Oni, co mieli świat odrodzić, co niesli ideę nową, z wiarą, że przez jej zwycięstwo zniknie niewola i ucisk, że zapanuje szczęście powszechne, stanęli tu schorowani, głodni, z ręką wyciągniętą, wśród ludności obcej, nieufnej, wrogiej, że przyjdzie jej karmić awanturników, obieżyświatów i darmozjadów. Czy żyć im dadzą?

Wszystkie inne sprawy nikły, została ta jedna, krzycząca dziurami mundurów, skomlaąca nędzą, owijająca się koło serca, aby zmaląło, łaszcząca się przed sumieniem, aby poppełniło podłość.

Dzięki energii Milbitza kilku z nich dostało zajęcie w biurach rządowych, kilku w portach morskich, resztę przeznaczono do kucia dróg między skałami. Wśród nich znalazł się Krzesławski. Upał był piekielny, wśród skał powiększony; gdy wracali od pracy,

ch'opi greccy ciskali na nich kamieniami. Znikąd nie widać by o nadziei ani ratunku. Postanowienie oszczędzania z nędznego zarobku kwoty, pozwalającej im na wyjazd do Francji, okazało się fikcją. Na chleb nie mieli, nie tylko na drogę. Opuchły im ręce i nogi. Wygłodzeni, w łachmanach, bosi — Lazarze prawdziwi — dochodzili do tego stanu w którym życie staje się niemożliwością. Wtedy zjawili się u nich urzędnicy greccy. Byli w mundurach policyjnych, mówili po francusku.

— Messieurs Polonais! — wo'ali — Messieurs Polonais! Przybyliśmy zwiastować wam radosną nowinę.

— Nam?!

Nadzieja w nich wstąpiła.

— Wam! Wszystkim, którzy należą do państwa rosyjskiego, cesarz rosyjski udziela przebaczenia i amnestii, pozwala im wrócić do swojego kraju!

Rzucili motki i szli do policjantów hurmem.

— Amnestii?! Nam?! Jakiej amnestii?!

— Wszystkim, którzy są poddani cesarza rosyjskiego...

— Tu poddanych cesarza rosyjskiego nie ma! Tu są tylko Polacy, co Polskę opuścili pod przemocą i przemocą za prawo nigdy nie uznają. Zanieście, panowie, tę odpowiedź konsulowi rosyjskiemu.

I dalej tłukli kamienie.

Tłukli latem w powietrzu przepalonym, dławiącym oddech, łykając py kamienny; tłukli jesienią, zimą i wiosną, na deszczu, w burzach i na wichurach. Na noc, konając ze znużenia, wracali do przygotowanych dla siebie szałasów z sitowia, aby położyć się na mokrej słomie.

Tak tłukli kamienie dzień po dniu, rok cały. Spoglądali na siebie wzajemnie z litością, życzyli sobie śmierci. Zbierały ich z ziemi nędza, choroby i głód.

K O N I E C



DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM
INSTYTUTU LITERACKIEGO
W RZYMIE NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

HENRYK SIENKIEWICZ: *Legiony.*

ADAM MICKIEWICZ: *Księgi Narodu Polskiego i
Pielgrzymstwa Polskiego.*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA: *Kobiety.*

PAWEŁ HOSTOWIEC: *Dziennik podróży do Austrii
i Niemiec.*

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: *Prometeusz.*

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: *Miasto mojej
matki.*

W DRUKU:

ANDRZEJ STRUG: *Dzieje jednego pocisku.*

LEON BLUM: *Na poziomie człowieczeństwa.*

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *Beniowski.*

Przedstawicielstwo wydawnictw Instytutu Literackiego na W.
Brytanię posiada :

VISTULA PRESS LTD., 45 CROMWELL ROAD,
LONDON S. W. 7

NOTICE TO THE PUBLIC

4
THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILLINOIS